BŁĘDNE KOŁO.

Czytającego prospekty, ogłoszenia, zapowiedzi o mających wychodzić nowych pismach peryodycznych lub dalszém istnieniu starych, muszą uderzać pewne wspólne cechy tych odezw i okólników. Najprzód pojawiają się one zwykle przed nowym rokiem, gdy nadchodzi czas prenumeraty. Powtóre, pisane są bardzo wymownie. Potrzecie, każda wylicza już dokonane i mające się dokonać prace. Poczwarte, następuje spis autorów, mających zasilać pismo swojemi pracami z sakramentalnym dodatkiem, że są to ludzie najznakomitsi ze znakomitych. Popiąte, przypomina się czas istnienia pisma, bo starożytność także świadczy o jego potrzebie i wartości. Poszóste, niektóre pisma obiecują prenumeratorom premia w książkach po zniżonéj cenie, lub nagrodzonych obrazach. Posiódme, i ten punkt najważniejszy, odwołanie się do publiczności w imię dobra publicznego, w imię konserwatywnych lub postępowych zasad do jaknajliczniejszego zapisywania się w listę prenumeratorów.

Byłoby rzeczą ciekawą poznać, ilu też nowych prenumeratorów przybyło pismu wskutku tych prospektów; ale dowiedzieć się o tém niepodobna, bo każde pismo niechętnie mówi o swoich prenumeratorach, póki ich liczba nie dojdzie stu tysięcy; a powtóre, któż może zaręczyć, że nowi czytelnicy przybyli wskutku odezwy, nie zaś pod wpływem innych pobudek, wcale nieznanych redakcyom. Sens wszystkich tych zachodów zrozumiały: chodzi o ilość prenumeratorów, czyli o prenumeratę. Ani się temu dziwić, ani ganić trzeba. Prawie każde wydawnictwo tak książek, jak i pism peryodycznych ma na celu zabawę lub pożytek umysłowy czytelników, a następnie swój własny pożytek, nie mówiąc już nic o zysku. Jest ono pewnego rodzaju przedsiębiorstwem, w które włożono kapitał umysłowy i zwyczajny pieniądz. Na-

rażone jest na ryzyko większe lub mniejsze, a czasami na całkowitą stratę. Prowadzący takie przedsiębiorstwo autorowie, redaktorowie i nakładcy chcą się zabezpieczyć od straty i choć mały zysk osiągnąć. Gdyby się im bowiem wróciły jedynie koszta wydawnictwa bez żadnego *plus*, musieliby je wkrótce porzucić, bo przecież manna dla nich nie spada, mecenasów coraz mniéj i sami piszący już nie na nich, lecz na publiczność oglądać się muszą. Stąd rzeczone prospekta, obietnice i premia nikogo ani gorszyć, ani dziwić powinny: *do ut des*, ja ci bajeczkę, a ty rubelka.

Co jednakże zadziwia, to ponawianie coroczne, a nieraz i częstsze tych obiecanek. Nasuwa się przypuszczenie, że albo odezwy zarówno liberalne, jak i konserwatywne nie skutkują, albo, że wydawcy i redaktorzy są tak zysku żądni, iż zawsze im mało. Ostatnią alternatywę wyłączamy, bo chociaż pożądanie uczciwego zysku nikomu ujmy nie przynosi, wolimy wszakże wierzyć, iż w ludziach przodujących społeczeństwu, w pracownikach tak idealnie nastrojonych, zysk stoi na ostatnim planie. Pozostaje zatém druga alternatywa, mianowicie, że mimo gorących odezw i bicia się w piersi, prenumeratorów jak nie ma tak nie ma. Zapewne, nie wszystkie pisma jednakowém cieszą się powodzeniem. Mówią, że obrazkowe, humorystyczne, plotkarskie i polemiczne wiążą końce z końcami; że najgorzéj się wiedzie poważniejszym, naukowym. Byłby to dobry znak świadczący, że nie lubimy pedantyzmu w szlafmycy, że mamy żołądki strawne i jak niegdyś rękę skorą do żelaza, tak obecnie język cięty. Bądźcobądź, zastanawia ten wstręt publiczności do poważniejszéj lektury. Przyganiacze i poprawiacze nasi objaśniają ten fakt zaraz naszém lenistwem głowy, przewagą fantazyi nad rozumem; dobrotliwsi zaś z pośród nich widzą przyczynę w złych czasach, w nieurodzaju, w przesileniach wszechświatowego rynku i t. p. A widzicie, mówią, jak tylko szlachta nie zbierze i nie sprzeda, to ani cyrk, ani teatr, ani hotele, ani rzemieślnicy, ani literaci nie mają odbytu na swoję produkcyą. Proścież Boga, ażeby Bismarck obniżył cło na nasze zboże, a zaraz podskoczy prenumerata na waszę mądrość.

Ludzie, poszukujący przyczyn małego pokupu, a jeszcze mniejszéj poczytności czasopism poważniejszych, takie mniéj więcéj przytaczają: są one, mówią, redagowane nieumiejętnie, ciężko, nudnie, są zadrogie i dla tego tak mało mają prenumeratorów i czytelników. Zobaczmy, ile w tych zarzutach jest słuszności.

Redagowanie pisma peryodycznego, jak każdy interes wymaga utalentowanego kierownika i takichże spółpracowników, daléj znacznego kapitału nakładowego, rozgałęzionych stosunków w kraju i za-

granicą i t. p. O zdolnych, zabiegłych, obrotnych i utalentowanych kierowników w każdym interesie niełatwo; w naukowém i literackiém przedsiębiorstwie podobno trudniéj, niż w przemysłowém raz dla tego, że wymaga ono wszechstronnych kwalifikacyi umysłowych, a powtóre dlatego, że spółpracownicy literaccy są najdraźliwszym rodzajem wyzwolonych robotników. Pozyskać ich i utrzymać, doprowadzić do pewnéj zgodności nadzwyczaj trudno; każdy bowiem ma się za mistrza w swojéj sztuce i niechętnie przystaje na ustępstwa w tém zresztą chwalebném przekonaniu, że zasadami handlować niewolno i że jego opinia jest bezwarunkowo najzasadniejsza i najzbawienniejsza. Przekreśl mu wyraz, zmodyfikuj drugi, złagodź jaskrawszy lub brutalny epitet przypięty przeciwnikowi, a nazajutrz będziesz miał sążnisty artykuł z wymówkami jak śmiałeś jego złoto zastąpić szychem. Redaktor jest więc między młotem a kowadłem: wydrukuje wszystko, co mu raczono przysłać, nawarzy piwa sobie i pismu; nie wydrukuje wszystkiego, dostanie na mydło od autora z zapowiedzią, że się usuwa od spółpracownictwa. Lawirować wśród tych draźliwości i zarozumiałości zaprawdę niełatwo. A przecież pismo rozpoczęte trzeba wydawać, a więc nieustannie lawirować między znakomitościami, co stanowi trudniejsze zadanie, niż przepłynąć cało między Scyllą i Charybdą. Tymczasem publiczność żąda od niego, ażeby umiejętnie każdy zeszyt był ułożony, żeby zawierał coś naukowego i coś lżejszego, coś dowcipnego i coś wesołego, bo smutku mamy aż nadto. Sprobójcie dogodzić tym wymaganiom, znajdźcie kierownika, któryby szanując siebie i naukę chciał w tym duchu prowadzić pismo poważniejsze naukowo-literackie. Jeżeli zaś nie zechce się zniżyć do tych wymagań, pismo jego zacznie tracić prenumeratorów i w braku mecenasów nie dążących do zysku, upadnie.

Zdawałoby się z powyższego wynikać, że to publiczność winna, gdy pisma poważniejsze nie mogą się utrzymać własną prenumeratą, lecz potrzebują mecenasów i po najdłuższém życiu, zależném od kieszeni, upadają. Nim się na taki wyrok zdecydujemy, trzeba i drugiéj strony wysłuchać, mianowicie: ile może być prawdy w tém, że pisma są nieumiejętnie redagowane.

Zarzutu tego trudno zrozumieć, ponieważ ci, którzy go czynią, nie wyrażają się jasno pod tym względem. Jak rozumieć ową nieumiejętność? Czyby to znaczyło, że przepuszczają artykuły, zawierające fałsze naukowe lub faktyczne? Zdarzyć się to może, ale rzadko i nieumyślnie, bo przecież pismu i jego kierownikowi chodzi o dobre imię, o reputacyą, więc z umysłu nie mógłby dążyć do zachwiania swojego kredytu i podkopania bytu pisma. Czy może przez nieumiejętne redagowanie rozumieją formalny układ artykałów i kolejny ich porządek, mianowicie, co powinno iść naprzód, a co następnie? Nie zdaje

się; bo artykuł dobry, wszędzie jest dobry: i na początku, i w środku, i na końcu zeszytu. Prawdopodobnie zatém ci, co zarzucają nieumiejętność redakcyi, mają na myśli niezręczność, gdy np. nie umié, albo nie chce trafiać w smak publiczności, gdy dotyka spraw zwanych drażliwemi dla uczuć czytelnika, gdy nie porusza rzeczy bieżących, będących na czasie, obchodzących w pewnym dniu lub miesiącu, czytelników. Gdyby tak rozumiano niezręczność, zarzut w części byłby usprawiedliwiony. Tylko zaraz trzeba pamiętać o zadaniu pism peryodycznych poważniejszych. Środkują one między Aktami ciał uczonych, akademii, a pismami codziennemi. Trafiać w smak publiczności codzień inny, a często bardzo niewyrobiony, polować na efekt i poklask chwilowy nie pozwala im pewne poczucie godności; muszą one liczyć się z krytyką, radeby smak publiczny wyrabiać, kierując go od budy jarmarcznéj i woskowych figur do przyjemności umysłowych cokolwiek podnioślejszych. Za to, powiada im ów smak, nie będę was czytał.

Co się tyczy roztrząsania pytań tak zwanych drażliwych, odstręczających pewną grupę czytelników, zdaje się, że publiczność nie ma za sobą słuszności. Pytania drażliwe, roztrząsane przy zamkniętych drzwiach po sądach kryminalnych, zapewne nie nadają się do rozbioru w pismach literackich; mają one swoje właściwe miejsce w pismach specyalnych, czy to lekarskich, czy prawniczych. Zresztą, wszelkie inne zagadnienia powinny być dyskutowane, bo nauka drażliwych pytań nie zna. Sądzimy więc, że może raczéj chodziłoby o formę, o ton roztrząsania, który czasami wyradza się w zgrzyt nienawiści, w łajanie. Ma to być sos podniecający nerwy smaku, ma się to nazywać barwnością stylu, życiem i t. p., a w gruncie jest niesmaczném. Jeszcze u nas niektóre pisma zbyt obficie podlewają tym sosem swoje wypracowania. Czyliżby nie wiedziały, że i nerwy można przedraźnić? Wiedzą, a jednak to czynią. Dlaczego? Odpowiadają: nie czytanoby nas, a przecie żyć trzeba. Ktoś wtrąca: *je n'en voix pas la cause.*

W zarzucie niezręcznego redagowania pism peryodycznych może najwięcéj słuszności ma twierdzenie, że organa te nie podnoszą spraw bieżących, będących na czasie w naszém społeczeństwie, że zanadto zajmują się sprawami zagranicy. Jest to zarzut tylko w części słuszny; na prawdę bowiem widzimy, że starają się i chętnie drukują wszelkie rozprawy, dotyczące bieżących interesów swojskich. Czyby mogły więcéj się zajmować miejscowemi sprawami, niż dotychczas? Zdaje się, że mogłyby i powinny. Ale skąd i jak dostać potrzebnych informacyi, cyfr, danych? Oto się rozbijają wszelkie dobre chęci ze strony autorów i redakcyi. W braku zatém danych o kwestyach bie-

żących, rade nierade, pisma muszą się zajmować archeologią, trochę historyą, a nareszcie sprawami zagranicy. Ulegają one pod tym ostatnim względem gustowi oświeceńszéj warstwy społeczeństwa, którą więcéj obchodzi rewolucya w Brazylii, wystawa paryska, ostatnia sztuka w teatrze francuskim, ostatnia moda fraków i kapeluszy, niż parcelacya ziemi i operacye banku włościańskiego, niż wystawa w Wilnie, niż chwianie się całego rolnictwa. Bo proszę pana, co ta cała nasza mizerya znaczy wobec prochu bezdymnego? Trzeba więc pisać o prochu bezdymnym, przeliczać od czasu do czasu armie europejskie, kombinować drogi, jakiemi Prusak rzuci się na Wschód lub Zachód. Jest to niejako przymus moralny, pod którym niejeden z piszących stęka, widzi całą śmieszność swoich rad udzielanych gabinetom europejskim, a jednak uprawia politykę, bo my bez wielkiéj polityki żyć nie możemy. Przychodzi nam to daleko łatwiéj i taniéj, niż zebranie choćby małéj wiązeczki faktów swojskich, bo ta polityka w wielkim stylu mieści się na paru szpaltach zagranicznego dziennika. Nie umiejąc, a częściéj nie mogąc zajmować się swojemi sprawami dla braku danych, uprawiamy cudze, obrzucając je światłem ze swojskiego kaganka.

Daléj jeszcze, nieumiejętność, czy téż niezręczność w redagowaniu pism peryodycznych przejawia się, zdaniem oponentów, gdy zamieszczają całe długie, kilkuarkuszowe lub tomowe rozprawy ciągnące się w kilku zeszytach, a czasami przez rok cały. I rzeczywiście, gotowibyśmy podzielać ten zarzut, chociaż nie jest on całkowicie zasadny. Rzeczywiście takie artykuły odstręczają publiczność od pisma; ale co na to mogą poradzić redakcye? Kto się temu bliżéj przyglądał, wié, że literaci, jest to osobliwy naród. Żebyś go zaklinał na wszystkie świętości: pisz zwięźle, jasno, resztę zachowaj w tece jako materyał do nieśmiertelnych dzieł swoch; na nic się to nie zdało, on się nie rachuje z pismem, tylko ze sobą. Świat by się cofnął o dwa wieki, gdyby téj wyroczni nie wysłuchał od *a* do *z*.

W końcu, ażeby dowieść naszéj nieudolności, uciekają się do porównania naszych pism peryodycznych z miesięcznikami angielskiemi, francuskiemi i niemieckiemi. Porównanie to ma wypadać na naszę niekorzyść. W istocie, pod wielu względami tak jest. Ale na obronę naszę możemy przytoczyć dużo i ważnych okoliczności. Oto miesięczniki angielskie, francuskie i niemieckie, mają koło czytelników we wszystkich częściach świata, a témsamém rozporządzają znacznemi środkami materyalnemi. Daléj, mają spółpracowników nietylko liczniejszych, ale i lepiéj przygotowanych do każdego działu naukowego lub literackiego. Nareszcie, spółpracownicy ci żyją w ogniskach spół-

czesnéj kultury, gdzie się ważą wielkie interesa polityczne, ekonomiczne i naukowe, a stąd i źródła informacyi lepsze, pewniejsze i poglądy szersze i głębsze. Tymczasem, nasze pisma poważniejsze czyta może parę tysięcy ludzi, a i ci nie wszyscy je prenumerują; stąd środki wydawnictwa bardzo skąpe, i gdyby nie dobra wola i ofiarność jednostek, literalnie istniećby nie mogły. O spółpracowników dobrych także nie łatwo, gdyż naukę i literaturę uprawiamy najczęściéj dodatkowo, główną zaś troską jest byt powszedni i praca powszednia, chlebodajna. O tém powinni wiedziéć czytelnicy, a gdy czynią porównania pamiętać o tych okolicznościach bardzo różnych w wydawnictwie miesięczników zagranicznych i naszych. Nie mogąc iść na czele, zdążajmy za szczęśliwszymi; pokolenie winno podawać następnemu, jeżeli nie wielką pochodnię wiedzy, to przynajmniéj drzazeczkę łuczywa, żeby nas zupełne ciemności nie ogarnęły. Pisma nasze nie dorównywają zagranicznym; zgoda. Zawsze jednak wnoszą odrobinę światła, dają i fantazyi nieco rozrywki, informują o donioślejszych faktach naukowych, słowem, dają pewien równoważnik za prenumeratę.

Ale są zadrogie i dla tego mało liczą prenumeratorów. Jest to zarzut najmniéj usprawiedliwiony. Mnóstwo czytelników nie ma najmniejszego wyobrażenia o kosztach wydawnictwa pisma miesięcznego, lub codziennego. Gdyby im redakcye składały dla ciekawości swój roczny budżet, zdumieliby się, jakie to sumy pochłania druk, papiér, spółpracownicy, ekspedycya, prenumerata zagranicznych dzienników i miesięczników. Wówczas nawet czteroklasowy rachmistrz rozwiązałby zadanie, poczemu wypada arkusz pisma w stosunku do ogólnych kosztów nakładu. Nie drożyna to jest przyczyną małego popytu na strawę umysłową.

A zatém nikt nie winien? Nie szukamy winowajców, tylko dla siebie i innych chcielibyśmy zrozumiéć zjawisko, t. j. małą poczytność pism poważniejszych. Składanie winy przez redakcye na publiczność a znów przez publiczność na redakcye jest, według nas błędném kołem. Winy mogą być i bywają obustronne, ale nie w nich leży istotna przyczyna faktu.

Jakoż, nasuwa się pytanie takie: jeżeli ciekawość jest przyrodzoném znamieniem człowieka wogóle, to dlaczegóżby ta ciekawość w naszym narodzie miała być mniejsza, czy bardziéj przytępiona, niż np. we Francuzach, Niemcach, Anglikach? i t. d. Jeżeli tam nie brak ludzi chcących poznać przyczyny zjawisk i praw niemi rządzących, a więc takich, którzy się informują, chociażby, dajmy na to, w piśmie peryodyczném; jeżeli pisma te prenumerują i czytają; to dlaczego takich ludzi u nas nie ma, lub jest bardzo niewielu? Mieliżbyśmy

być mniéj ciekawi do poznania rzeczy (z wyjątkiém plotek) aniżeli są cudzoziemcy? Nie zdaje się; przypuszczenie podobne byłoby w sprzeczności z tém, na co patrzymy. Ale żeby w człowieku mogła się zbudzić ciekawość do poznania faktów, zjawisk, praw, nie zaś plotek, trzeba go do rozumienia tych faktów i zjawisk przygotować w szkole. Dopiéro wówczas powstanie w umyśle interes, zajęcie się, zaciekawienie, a następnie i chęć zaspokojenia téj ciekawości za pomocą pisma, lub inną drogą. Obliczmyż, jaki jest u nas procent ludzi kończących gimnazya i uniwersytety, gdzie jak wiadomo, najprawdopodobniéj budzi się ta szlachetniejsza ciekawość umysłu do poznania przyczyny rzeczy, a razem uzdolnienie do rozumienia tłómaczonych, objaśnianych czy to faktów historycznych, czy zjawisk przyrody lub piękna. Ogromna ilość czytelników przerzuca kartki najgruntowniejszéj pracy powtarzając do znudzenia: a jakież to suche, a jakież to ciemne! Najzupełniéj mają słuszność. Nie nauczono ich w szkole, bo jéj nie kończyli, rozumienia faktów i zjawisk; nie rozbudzono w nich interesu, ciekawości do tych przedmiotów, które pismo traktuje, więc są one dla nich obojętne, nudne. Mająż jeszcze za nie płacić, prenumerując pismo? Sądzimy tedy, że obliczywszy kończących średnie i wyższe studya z jednéj strony, a z drugiéj prenumeratorów pism poważniejszych, nie byłoby tak wielkiéj dysproporcyi, jak się na pierwszy rzut oka zdaje. Taką tylko porcyą poważniejszego miesięcznika może wchłonąć ta lub druga dzielnica. Wszystkie zachęty, prospekty, premia nie pomogą; po za pewną granicę, oczywiście zmienną z roku na rok, a nawet z miesiąca na miesiąc, nie przejdzie liczba prenumeratorów danego pisma. I tu, równie jak w świecie ekonomicznym, popyt zależy od ilości spożywców; pomnóżcie odpowiednią edukacyą liczbę konsumentów na produkcyą umysłową, a pisma poważniejsze obejdą się bez opiekunów: zastąpi ich publiczność.

K.





POWIEŚĆ EGZOTYCZNA WE FRANCYI.

PIOTR LOTI.

„Prawdziwy poeta lepiéj zna przyrodę od przyrodnika, w sercu własném ma jéj odbicie.“ *Borroughs.*

Dwie głośne, powszechnie znane szkoły toczą bój o obecną beletrystykę francuską, dwa wrogie sobie uosabiając kierunki. Obie popadły w szablon, manierę. Zwykłe to wszelkiego szkolnictwa koleje. Próżnobyśmy w obu szukali tego zapału, téj szczerości, tego wzruszenia i namiętnego przekonania, co zaślepia nieraz pisarza, artystyczną i filozoficzną zakłóca równowagę, lecz pisarzowi magnetycznéj nad czytelnikiem użycza władzy. Psychologia w nich szwankuje, zakres wyłącznie erotyczny nie wystarcza, rozkrzyczana w jednéj z nich „obiektywność“ nie jest może — jeśli najlepszym w téj mierze wierzyć mamy sędziom—najnieomylniejszą, w zastosowaniu do sztuki, metodą. Są bezwątpienia etyczne i estetyczne potrzeby, którym obie te szkoły zadość nie czynią. W saméj Francyi niezadowolenie wyraża się protestem „niesprzężonych“ i „wrażliwych“ (*Les Incohérents*, *Les Impressionistes*) .i donioślejszém od nich, gorączkowém zajęciem się beletrystyką, któréj charakter, ideały, samo artystyczne wcielanie takowych, daleko odbiega od społecznych, etycznych i estetycznych zasad i tradycyi zachodu.

Czyżby we Francyi, w tém jasném do niedawna ognisku ducha ludzkiego, zabrakło przędzy do wysnucia nici nowéj? Czyżby, niedawno jeszcze tak tam bujna, okwiecona gałąź beletrystyki przepalić się i zwęglić miała? Nikt-że nie pochwyci jéj zarzewia?

Kto je do mety doniesie?

I.

W 1883-im roku ukazała się w „*Revue des deux mondes*,“ powieść zatytułowana: „*Mon Frère Yves*,“ podpisana „Pierre Loti.“

Kto to? Co to?

Wkrótce krytyka odkryła, że się pod tym pseudonimem kryje „młody oficer marynarki, który, nie znając piśmiennictwa współczesnego i jego prądów, własne ośmiela się notować wrażenia.“

Tak mówiła krytyka..... Z oceny téj wiał duch szkoły, lecz ostrzem swém trafiała w jądro rzecy.

Czy młody ów i zuchwały oficer marynarki nie znał literatury współczesnéj, „nie czytał“ — wszak zarzucano mu nawet nieznajomość języka ojczystego!—Flaubert'a i Goncourt'ów?—stwierdzoném nie zostało! Czy Julian Viaud legitymistą jest, orleanistą czy bonapartystą, do rzeczy nie należy; jest on Francuzem z krwi i ducha, patryotą, żołnierzem. Tu wystarcza zaznaczyć fakt, czysto literackiego znaczenia, że istotnie nie silił się na naśladownictwo mistrzów bodaj. I to pewne, że z arystokratyczną wytwornością, nie uganiając się bynajmniéj za osławionym, na wskroś demokratycznym obiektywizmem, „własne notując wrażenia“ wwodził w literaturę, dopiéro co z niéj z taką wrzawą wygnany subiektywizm. Nietylko wwodził lecz narzucał, szafując nim z absolutną młodości i talentu rozrzutnością.

Co gorsza, co głównym było kamieniem obrazy to, że pominął szkoły wszelkie i nawet w pierwszym rzucie bujnego talentu nie zahaczył o żadną. Żadnemi teoretycznemi nie sztukając się szczudłami, we „własnych wrażeniach“ znalazł ten przedmiot, co dzieło sztuki uskrzydla.

„*Mon Frère Yves*“ nie było pierwszym występem młodego pisarza. Poprzedziły go inne: „*Azyadé*“ czyli „Wyciąg z dziennika oficera marynarki,“ „*Le Roman du Spahi*,“ „*Fleurs d'Ennui*,“ „*Le Mariage de Loti*.“

W uprzednich tych utworach uwydatniły się wszelkie odrębności pióra i talenta Loti'ego. Występowały nawet jaskrawiéj. Jeśli o kim, to o nim powiedzieć można, że jest jednolitym, „*d'un seul jet*“— jak mawiają Francuzi. W utworach jego—ośm tomów [1]), wypełniających dziesięciolecie pisarskiéj działalności, — niepodobna natrafić na ślad wahania się w wyborze kierunku, lub chociażby formy, zgoła na to z czém się spotykamy częstokroć u najgenialniejszych początkują-

---

[1]) *Azyadé*, *Le Roman du Spahi*, *Fleurs d'ennui*, *Le Mariage de Loti*, *Frère Yves*, *Pêcheur d'Islande*, *Propos d'Exil*, *Madame Chrysanthème*.

cych pisarzy. Z czasem zatrą się niektóre barwy, wystąpią inne zmienią się zwłaszcza już proporcye, na dalsze plany, jak w *„Pêcheur d'Islande“* usunie się wybujała młodzieńcza subiektywność, w gamie wrażeń przycichną zaostrzonéj zmysłowości nuty, akord rozszerzy się, pogłębi, w minorowe wpadnie tony, psychologia nabierze rzutu pozwalającego młodzieńczéj subiektywności autora, z poetycką a do fizyologicznéj aktualności natężoną intuicyą, wnikać w procesy dogorywań (*„Un Vieux“*), lecz linie pozostaną niezmienne, niezmienny koloryt.

Zacznijmy od początku...

Albo nie! Cofnijmy się nieco, szybkim rzutem zmierzmy krótką karyerę wpływów życiowych, jakim podlegał pisarz, w dzieło swe przelewając duszę całą wrażenia, aż do snów mglistych, aż do niepochwytnych tęsknot, rozpołowionych, rozdartych w sobie pragnień, aż do tych na poły świadomych lub i nieświadomych drgnień, które Bain „ważkiemi“ nazywa. Te ośm tomów to zwierciadeł ośm, podobnych do morskich zwierciadlanych tafli: krąg zwarty a głęboki—przezroczysty a migotliwy... Krąg, w którym niepodobna pominąć kilku dat, szczegółów paru biograficznych. Wolimy brać je nie u krytyków, z drugiéj ręki, lecz u źródła: „z własnoręcznych, a prywatnych listów Loti'ego.

Urodzony w 1850 r., Julian Viaud dobiega czterdziestki. „Niestety! wolałbym się do tego nie przyznać, — pisze żartobliwie, — gdyż na wygląd dają mi zaledwie lat trzydzieści.“

Dwadzieścia sześć, siedm chyba, na wiarę fotografii, na któréj młodzian w szlifach porucznika marynarki podpiéra się pod bok z oficerską butą, z tém co Francuzi *„crânerie“* nazywają.

Brunet, niezłéj tuszy, średniego wzrostu, twarzy świeżéj lecz śniadéj, żywych oczu, niskiego a szerokiego czoła, przy krótko strzyżonych, gęstych włosach nosi zgrabne podkręcone wąsiki i małą, „przecinkiem“ zwaną bródkę. Typ skończenie francuski.

Urodził się w Rochefort-sur-Mer, gdzie i obecnie mieszka. Przodkowie jego marynarze, wszyscy jak Gaos'owie w *„Pêcheur d'Islande,“* zginęli na morzu. Wszyscy, z wyjątkiem ojca. Morze mu starszego zabrało brata i morze to — tak jak naszego Bohdana Ukraina—„upowiło w pieśń u łona.“ Zna on téż i namiętnie kocha kapryśną swą piastunkę. Zna i rozumié każde drgnięcie falującego jéj łona, usypiające ciszy słodycze, rozmarzające pogody kołysanki i gniewu wściekłość i buntów grozę, ryk, jęk, zgrzyt niecierpliwości i łzy perliste, i uśmiechy słoneczne. Zna harfy i trąby nadmorskich wichrów. W takt im wtórować potrafi, jak ów zacięty grajek na weselu w Ploubazlanec (*Pêcheur d'Islande*). Znane mu piastunki zmienne wstę-

gi, szaty, pierścienie, naszyjniki. Wié jakie nakłada w dni żałoby, a jakie w weselne, w jakie się stroi rano, wieczorem w jakie, a w jakie w nocy srebrzyste. Zna migotliwe blaski jéj chust rozpostartych, prostopadłych i skośnych słońca promieni podszewki, lazurów tonie, mgieł zwoje. Liczył, stokrotnie liczył rozbryzgujące się pod wiosłami opale, nizał z pereł naszyjniki na spienionych wałów piersiach, łowił obrączki złote w wód pierścieniach. Uchylał drzwi wszystkich kryształowych pałaców swéj pani i zwieszał się niejednokrotnie nad otchłaniami jéj niezgłębionych skrytek... Nieraz dojrzał gnieżdżących się w nich potworów. Gwiazdy w morzu odbite łowił w pajęcze sieci marzeń... Tak gonił i sprzęgał do fantastycznéj, na miesięcznych szlakach, jazdy het! tam! ku rozświtom. Morze odpływając wołało go za sobą daleko... coraz daléj... w przypływu godziny na fosforycznych grzywach fal, podzwrotnikowe przynosząc mu wonie i oddechy.

Z czasem piastunka zamieniła się w nauczycielkę, miękką i twardą na przemian. Rozdarła przed nim dalekie horyzonty. Uczyła go patrzéć po przez mgły i tumany. W samym huku burzy pochwytywać melodyą. Ogorzelizną młodzieńcze smagała czoło, hartowała nerwy, wyrabiała muskuły, w walce z żywiołami zaostrzała zmysły, nadawała gibkość ciału, a myśl i uczucie pogłębiała ciszą zaległą pomiędzy głębią nieba i głębią swych przestworzy. Słowo w srébrne rozdzwaniała rytmy, pod myśli melodyą szerokie podkładała wtóry. W płaszcz wspólnych przygód, rozrywek, niebezpieczeństw, marzeń i lęków, owijając wszystkich swych wychowańców, zawczasu bratniéj uczyła solidarności. W szkole téj wytworny panicz Julian Viaud i nieokrzesany chłop bretoński „Yves,“ mogli istotnie zbratać się do grobowéj deski—„ślubnemi zostać braćmi.“

Wcześnie dostrzegamy małego Viaud w roju dziatwy, zawieszonéj na linach i masztach, pomiędzy lazurem nieba i mórz lazurem, któréj z progu swéj chaty przypatrywał się „stary“ (*Un Vieux*). Wbrew woli rodziców, którzy dość już mieli złożonych molochowi ofiar,—wszedł Julian do szkoły marynarskiéj. Przemógł głos krwi, morza przemogły nawoływania, poszepty, obiecanki. Nic nie pomogło klasztorne niemal w rodzicielskim domu wychowanie. W rodzinie protestanckiéj, prześladowanéj niegdyś za wierzenia, purytańskie przechowały się tradycye. „W dzieciństwie, — pisze w jednym ze swych listów, — nie czytałem nic prócz biblii, wychowywany zdala od innych dzieci.“ To téż wchodząc do szkoły, podobnym być musiał do Sylwestra (*P. d'Isl.*) o muskularnych ramionach, dziewiczém czole, dziecięcym uśmiechu i dziewiczych rumieńcach. Zresztą, klasztorną ciszę ścian domowych, zamieniał na osamotnienie miotanych wiatrem, falami

od reszty świata odgrodzonych okrętów. Na morzu czekały go dni, tygodnie, miesiące klasztornéj, śród towarzyszy samotności, surowéj, od kamedulskiéj bodaj surowszéj reguły, miesiące przeplatane, przy wylądowywaniu, gorączkowemi życiowemi odwetami. Kto bywał w nadmorskich miastach, ten wié, jak gwarne bywają naprzykład sobotnie wieczory. Kto bywał w większych portach, temu znane wylądowania i sceny z takim niezrównanym realizmem opisane w „*Mon frère Yves.*“ Yves jest skończonym typem żeglarza. Daléj nie sięga chyba psychologia zawodu.

Wśród takich scen i ludzi zeszła młodość Julianowi Viaud. Pokochał swych towarzyszy. Wspólne trudy, wspólne niebezpieczeństwa, zbliżenie na pokładzie zaciérają towarzyskie, na lądzie przeważne różnice, rozszerzają serce, pozwalają i zmuszają uznawać i oceniać w człowieku to, co stanowi samą treść człowieka. „*Mon Frère Yves*“ i w tym względzie dostarcza świadectwa subiektywności autora. Widnieją tam przy tém niezrównane wyrozumienie na upadki, nawet zdrożności ludzkie, wielki, szlachetny nad niémi smutek, ale zarazem i przeświadczenie, że i najciemniejsze rysy przeplatane bywają świetlanemi smugami, jednającemi serca bratnie, największym bodaj grzesznikom.

Już to mnogość i rożnorodność przygód samych w zawodzie marynarza dopomaga do zrozumienia i wyrozumienia wielu rzeczy. Miejsca, sceny, wypadki, ludzie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zwykłego widza pochłonie, obałamuci mnogość i różnorodność zjawisk, sprzeczności. Taki, jak Loti, widz-artysta w samym sobie znajduje promień wiążący w tęczę odmienne, sprzeczne nieraz barwy i odcienia. Tym promieniem: zasadnicza jednolitość człowieczéj duszy. Nie traci on jéj ani na chwilę z pamięci, ani wówczas nawet, gdy jéj pozornie kłam zadają prawne, obyczajowe, moralne różnice, i to mu daje klucz do otwierania z jednaką swobodą piersi takich, jak Jan (*P. d'Isl.*) mężów i takich jak Sylwester (tamże) pacholąt; takich jak Iwon (*Mon Frère Yves*) utrapieńców i takich jak Spahis (*Le R. du Sp.*) męczenników cichych... Takiéj niby *Madonna Sass oferrata* — przezroczystéj Gaud (*P. d'Isl.*) i takiego kwiatka kobiety, jak Rarahu (*Mariage de Loti*) i czarnéj, grubéj murzynki (*Le R. du Sp.*). Z realistyczną ścisłością na szali spostrzegawczości, ważąc różnice i sprzeczności, nie rozprasza się śród nich nigdy, do czego dowiodłaby go najpewniéj bezwzględna obiektywność. Obiektywność nie doprowadza do rozproszenia, a nawet artystycznego rozprzężenia, wówczas tylko, gdy jest podtrzymywana tezą, gwoli któréj pisarz dobiéra ludzi, przedmioty, sytuacye, jak to czyni Zola np. w całym cyklu Rougonów. Loti społecznéj, ani filozoficznéj

nie stawi nigdy, nigdzie tezy—opisuje co widzi i jak widzi, opisuje co czuje. Nie jest doktrynerem, pozostaje zawsze i wszędzie artystą, a z całą swą obiektywnością w procederze opisowym realistyczniejszym bywa od samych koryfeuszów naturalizmu.

W mrowisku różnorodnych spostrzeżeń oddziela on piękno od pospolitości, rys psychiczny zasadniczy od rysów przygodnych, w szczegółach czerpie z artystyczną miarą, bo mu morze i przygodne na niém życie nietylko dostarczają nieprzebranéj ilości zjawisk: „eksperymentów“—jak to chce Zola, „dokumentów“ — jak przytém obstają Goncourt'owie, lecz na obraz swój i podobieństwo urabia filozoficzne zasady i poetyczne właściwości. Więc przedewszystkiém przestworza oceanów uczą go tego idealnego, wyż zaznaczonego uogólnienia, uczą przytém pewnéj przepływności, że tak powiemy, po szczegółach, potrzebnych w sztuce wyższego stylu o tyle, o ile uwydatniają, uplastyczniają ton główny. Więc daléj zmiana stref dostarcza kluczy do otwierania tajemnic przyrody i z otaczającą je przyrodą ściśle zespolonych ludzkich piersi. Aby opisywać przyrodę, jak ją opisuje Loti, trzeba być wielkim malarzem, lecz tylko malarz, który tę przyrodę widział w najróżnorodniejszych obrazach, zbadał wszechstronnie, że rzec można, zdoła nagromadzić na swéj palecie tyle barw i odcieni! Żeby zaś boską Psychę umiéć pochwycić za skrzydła i wzbić do lotu w porywach opilca (*Mon Frère Yves*) i w rozbujałych zmysłach czarnego dziewczęcia (*M. de Loti*), pod bestyalnym łbem murzynki (*Le R. du Sp.*), na to trzeba być wielkim poetą! Aby zaś ta w lot wzbijana Psyche nie uleciała w strefy oderwane, pozostała zawsze żywą, zawsze ludzką, prawdziwą, konkretną, na to trzeba znów być zarazem głębokim psychologiem i niepospolitym realistą.

Wszystkie powyższe odrębności znajdziemy w dziele Loti'ego, tu idzie nam o zaznaczenie wpływu, jakie owo morze, któremu pozostanie wiernym, a którego epopeę wyśpiéwa w „Rybaku Islandzkim,“ wywarło na ukształtowanie się ducha jego, umysłu, talentu. „Każdy,— mówi w „Dwugłosie miłości“ Okoński, — zagadki poznania innym otwiéra kluczem, każdy ze skarbnicy życia inną bierze prawdę.“ Loti, zagadki poznania otwiéra kluczem „własnych wrażeń“, przedziwną swą artystyczną subiektywnością, w którą wchodzi co najmniéj tyle realizmu, co i poezyi, a ze skarbnicy życia wyławia przedewszystkiém perłę—tęsknoty.

Ileż się morze i tu przyczynia do wyrobienia téj właściwości! a wyłowioną w swéj głębi perłę jakiemiż obléwa blaski! Jego to migotliwe w wieczystéj niezmienności obrębie wody, wyżłobiły w duszy wpatrzonego w nie poety zrozumienie tego wewnętrznego wrzenia,

co tęsknotą się zowie, a na które w duszy ludzkiéj składają się: niezadowolone pragnienia, nadzieje niezbyte, w dal porywające niepokoje i wstecz ciągnących wspomnień zaczarowania i do obecnych chwil a miejsc przykuwające przyzwyczajeń węzły...

Splątane, pajęcze tych wewnętrznych niesnasek struny, Loti rozpiął na swéj lirze, wydobywając z nich niezrównane akordy: rzewne w liryzmie młodzieńczych porywów wytwornego oblubieńca świeżéj jak kwiat Rarahu (*Mar. de Loti*), rozdzierające w tragicznem naprężeniu Spahisa (*Le Rom. du Sp.*), co milczący u boku milczącéj, a jak pies wiérnéj murzynki, wiądł pod żarem znoju afrykańskiego, konał w żarach pustyni afrykańskiéj. Jakże ten akord pełny, czysty, będzie w podcmentarnéj samotności oblubienicy Jana (*P. d'Isl.*).

Czémże przy tych podpatrzonych, podsłuchanych, odczutych, przebytych biciach młodzieńczego serca, drganiach męzkiego łona, przy téj burzy krwi, nerwów natężeniu, a tam głębiéj pod krwi wrzeniem, nerwów, zmysłów, wyobraźni sarabandą, przy nurtach tych wiekuistych tęsknot, co niedokształconéj bodaj ludzkiéj duszy rozrywają głębie, czém przy tym wytrysku psychicznych i psychiczne warunkujących, fizyologicznych potęg natury ludzkiéj, blady, refleksyjny, sztucznie jaskrawy naturalizm, jednych, drugich „kwiat błękitny“?

Tezy, jakiebądź zresztą, nie wzruszą nigdy przeciętnego czytelnika, tego, co obojętny i nieświadomy używanych przez pisarza sprężyn, pozostaje pod bezpośredniém wrażeniem prawdy odbitéj w dziele sztuki.

Loti jest na wskroś prawdziwy, bo „własne notuje wrażenia“ i dlatego to zwycięsko wychodzi nawet z niebezpieczeństw egzotyzmu, nadającego utworom jego odrębny charakter.

Egzotyzm wyzyskiwany bywał nieraz w beletrystyce, lecz nawet wwiedziony w literaturę europejską przeź takich mistrzów pióra, jak Chateaubriand i Gautier, nie licował z nią, trącił naleciałością, ubieganiem się za efektami. Tu dopiéro pozbywa się téj sztuczności dlatego, że Loti z dokładną „eksperymentalną“ znajomością rzeczy, posługuje się egzotyzmem jako tłem, na którém snuje motywy wszystkim dostępne; jako gruntem, na którym znane powszechnie kwiecie, rozrasta się bujniéj, w gorętszych zakwita barwach. Na tle tém uczucia, wzruszenia, wrażenia zmysłowe do niesłychanéj nieraz wzmożone potęgi, intensywnością prześcigają normę powszednich uczuć, wzruszeń, wrażeń, lecz psychicznie i fizyologicznie pozostają dostępne dla naszéj wyobraźni, a dzięki plastycznym zasobom pisarza, nie rażą naszych zmysłów. Czytelnik czuje zresztą, że nie są to naleciałości, traktowane po akademicku, na chłodno, z pamięci, wedle wzorów. Czuje,

że studyowane były z natury, aktualne, odczute, przeżyte, notowane ze świeżością natychmiastowego wrażenia.

Loti bowiem, tak młody i świeży, tak rozbujały i wrażliwy, jak ów wytworny marynarz, od którego wywodzi eufoniczny pseudonim (*Mariage de Loti*), odbył pomiędzy 1871 a 1873-im wyprawę do Oceanii. Lata 1874 i 1875-ty przebył w Senegalu i Gwinei, 1876 i 1877 w Turcyi... Rok 1880-ty w Algierze. Dwudziestoletni marynarz był niewątpliwie ulubieńcem i ozdobą arkadyjskiego dworu melancholijnéj królowéj Taiti: Pomarée (*M. de L.*). Na rozkosznych wybrzeżach Oceanii, po przez wschodu bajeczne szlaki, szafował sercem, młodością, życiem, wzamian gromadząc zapasy niepowszednich, niepowszednie artystyczne jego zdolności, posiłkujących wrażeń i doświadczeń. Natury bogate, natury na wskróś artystyczne, to mają do siebie, że ich żadne nie wyczerpują rozrzutności, — oprócz tych chyba, co powszedniością niską obniżają ich poziom. Gdy pole szerokie, w zmienność wrażeń bogate, ze wszystkiego, co je otacza, czerpią w zamian tego, co dają, a jeśli w lada żywym strumieniu z pyłu powszedniości umieją wydzielić złotego piasku ziarno, to cóż mówić o tém, gdy je okoliczności rzucą w te wewnętrzne i zewnętrzne ognie, w których z przepalonych uczuć, wrażeń, namiętności, z przepalonego życia, wyobraźnia krystalizuje a talent szlifuje brylanty.

Loti wyciągał ręce do pasących się na aksamitnych Singapuru brzegach bawołów. Obwąchiwały go ich rozdęte, mokre nozdrza. Prześlizgiwał się w czółnach wązkich, pod rytmiczną pieśnią żółtych wioślarek, po drzemiących, ciężkich wodach. Chłodził czoło w wilgotnych podziemnych pagodach. Na gwarnych rynkach wschodu mijał różnobarwnego tłumu mrowisko. Drzémał i palił się w ramionach kobiét wszelkich barw i odcieni. Namiętne spojrzenia zamieniał z murzynką wełnistowłosą i uśmiéchał się do wymuskanéj japońskiéj *musmé* [1]). Po wodach Złotego Rogu przejeżdżał się z odaliskami, marząc o jakiéjś jasnowłoséj i jasnookiéj, jak mglisty poranek świeżéj, normandce lub bretonce. Czoło mu muskały kwiaty Taiti, stopy paliły rozpalone piaski najgłębszych w Afryce francuskich placówek. Kwiat lotusu zrywał i siadywał śród białoszatych bonzów, ich nagich dzieci i tłumu prastarych, zagadkowych bogów...

W podobnych warunkach nabyty, przy odpowiednich mu, przedziwnie dopasowanych właściwościach malarskich, że tak rzec można, pióra, wprowadza do literatury jedyny w swym rodzaju, nie dający się

---

[1]) Dziewczyny.

podrobić, naśladować, pierwiastek, pierwiastek egzotyczny, lecz nowy, świéży.

Nie przeszkadza to bynajmniéj odczuwaniu przez pisarza rzeczy swojskich, ani téż Południe i Wschód nie pozbawiły go zdolności zrozumienia i malowania północnéj, ba! arktycznéj przyrody. Owszem, jeśli w „*Mon Frère Ives*“ są prześliczne francuzkie krajobrazy, „Rybak Islandzki“ jest jednym szeregiem najpyszniejszych obrazów przyrody północnéj. Słynna „Zatoka Śmierci“ Payer'a zdaje się oderwanym od nich, mniéj od tamtych powietrznym, mniéj zimnym, mniéj „północnym“ epizodem.

Ah! ta niezrównana malowniczość, powietrzność, barwność, świéżość pióra Loti'ego! Zawdzięcza on je najpewniéj, w znacznéj mierze, zewnętrznym wrażeniom, które spotęgowały w tym względzie wrodzone właściwości. Notował „własne wrażenia!“

Notował własne wrażenia! Temu téż piśmiennictwo zawdzięcza nuty surowe, brzmiące jak urwane, krótkie a ostre hasła bojowe, przeplatające tak gęsto gamę jego utworów, nadające niektórym stronicom rapsodowe zacięcie. Bo nie ufajmy pozorom. Ta aksamitna świéżość, ta malarska wytworność—to miękkość żołnierza, mającego zawsze ucho otwarte na bojową pobudkę. Loti był i jest żołnierzem. Szczęśliwszy w tém od „małego“ Sylwestra (*P. d'Isl.*), co tak marnie zginął w Tonkinie, godniejszą u wstępu w życie, dla odziedziczonéj po praojcach, wychowaniem rozwiniętéj waleczności znalazł pobudkę. W 1868 roku wstąpił do szkoły wojskowéj i wkrótce potém, jako pacholę, w czasie wojny francuzko-niemieckiéj, ojczystych bronił brzegów. Mógł wcześnie tedy w epopeję czynu zakląć marzenia swe i tradycye rodowe. Tam téż nabierał tego hartu, co się przebija w największych jego utworach, tak surowych i poetycznych rozmiarów dosięgając w „Rybaku Islandzkim“ tę znamionującą go wszędzie i zawsze rycerskość, tę cześć dla zasługi, któréj zawdzięczamy krótkie, o epicznym zakroju stronice, poświęcone pamięci admirała Courbet'a.

Bo i w Tonkinie był Loti. Dopiéro pod koniec 1886 roku wrócił z Japonii. Któż zliczy znoje, nudy, pustkę denerwującą, uciążliwéj téj i marnéj wyprawy. Wymownem tego świadectwem są *Propos d'Exil*. Dość wpatrzyć się w mgliste, półsenne ich przezrocza, w morskie tumany i żółtych wód ołowiane szlaki, w pary spowiewające aksamity nadwodnych trzęsawisk! w nieskończonych deszczów smugi, w białe, mózg pod czaszką wyżerające blaski, w znoje „porannych ćwiczeń“ (*Corvée matinale*), w kołysanie się monotonne nadwodnych szpitali (*P. d'Isl.*), w te dni bez końca, nocy bez wytchnienia, aby zrozumieć całą tę czczość tonkińską. Co tam przecierpieć musiał człowiek i oby-

watel. Wszak wyprawą tą, wygnaniem raczéj doświadczony, młody, z wrzącém w piersiach życiem oficer stał się zdolnym zrozumieć długoletnie starości konania (*Un Vieux*). Artyście cierpienie, czczość sama przyniosły korzyść: przepoiły „*Propos d'Exil*“, natchnęły mistrzowskie karty, poświęcone w „Rybaku Islandzkim“ chorobie i śmierci Sylwestra. Loti kochał, zachwycał się, szalał, marzył, tęsknił, cierpiał; bo ten tylko, co sam kochał, marzył, tęsknił, cierpiał, potrafi tak opiewać miłość, marzenie, tęsknotę i szeroką cierpień-gamę. Wszystko to wskazówki zresztą, dozwolone czytelnikom domysły—i nic więcéj. ,,Ciężko mówić o samym sobie—pisze z wylaniem w jednym ze swych listów—ciężko zwłaszcza pod rubryką dat pewnych.“

Uczucie to zrozumieć łatwo, a uszanować wypada. Prywatne życie pisarza o tyle do czytelników należy, o ile pisarz sam je odsłania, lub o ile w dziele jego przebija. Z tego téż tylko stanowiska, z widocznych śladów w dziele, wpływów na talent, pozwoliliśmy sobie dotknąć marynarskiéj karyery Juliana Viaud.

Do jakiéj towarzyskiéj należy on sfery, jakie było domowe jego wychowanie i otoczenie? jakie są obecne warunki życia, przyzwyczajenia, zamiłowania, wskazówek szukać możemy w jego dziele. Najmniéj domyślni czytelnicy i najciekawsze czytelniczki mniéj się o tém dowiedzą z dzienników, opisujących ekscentryczne uczty w pałacu w Rochefort-sur-Mer, niż ze wstępnéj naprzykład karty *Propos d'Exil*, poświęconéj pamięci pani Chee-Lee. Karta ta, oderwana karta jedna, odsłania więcéj niż tajemnice towarzyskiéj sfery, do jakiéj wytworny Loti należy, więcéj niż tajemnicę przyzwyczajeń jego i zamiłowań. Karta ta, oderwana karta jedna, rzuca jasną smugę światła w głąb tkliwego serca męzkiego.

II.

,,Miarą człowieka są jego ideały“, jak mówi Paul de St.-Victor. Gdy już wiemy mniéj więcéj, z jakich wrażeń czerpał Loti natchnienie, przyjrzyjmy się etycznym i artystycznym takowych wcielaniom, a dadzą nam one dokładną pisarza i artysty miarę. Najwcześniejszy, w chronologicznym porządku, jego utwór „*Azyadé*“, jest odbiciem oczarowań i upojeń młodzieńczych pod wpływami wschodniego nieba, rozkoszy wschodniéj przyrody, rozwiązłości wschodnich obyczajów. Utwór to, w którym przebija się niedojrzałość. Talent daje się dostrzedz w opisowości, obrobieniu szczegółów, uderza spostrzegawczość snać bardzo młodego pisarza; pomysł i kompozycya pozostawiają wiele do życzenia.

W przedmowie, bohater opowieści—autobiografii raczéj, gdyż powieść pisana w listach, téj najdostępniejszéj i najbardziéj pociągającéj dla młodzieńczéj subjektywności formie—przedstawiony jest czytelnikom jako nieodrodny potomek Hassana z „Namouna“.

W przedmowie téj, w samém zacytowaniu mussetowskiego: „...*très joyeux et pourtant très maussade... indignement naïf et pourtant très blasé...*“ tkwi sporo naiwności, młodzieńczych przechwałek, gdyż w rzeczy saméj, czytelnik łatwo się przekona, że ów Loti—tamten, bohater opowieści—o wiele naiwniejszy niż „zblazowany“. Zmysły ma upojone, a w upojeniu tém całe swe, calusieńkie oddaje serce.

A jednak wzmianka ta o Mussecie nie jest wypadkowa; większe, niż się zrazu zdawać może, ma znaczenie. Jeśli już od kogo, to od Musset'a wyprowadzić można filiacyę Loti'ego - pisarza. Brandes zauważył bardzo trafnie, że są szkoły i są grupy. Szkoła jest sztuczną, wchodzi się do niéj—rzecz to wyboru. Grupa co innego... rzecz to „doboru naturalnego“, że tak powiedzieć można. Julian Viaud spisując „własne wrażenia“, pominął szkoły, nie wszedł do żadnéj, ale... wrażliwym był jak poeta i to jak Musset. Znał zapewne, pomimo przeciwnego twierdzenia krytyki, *M-me Bovary*, *Salambô*, *Germinie Lacerteux*, czytał *Rougon'ów*, lecz rozumiał lepiéj smętnego i szalonego zarazem Musset'a. Istnieje pomiędzy nimi istotne duchowe powinowactwo: obu im wspólny zapał poetyczny, podszyty zbolałym sceptycyzmem „dziecięcia wieku“, czyli raczéj sceptycyzm, wieku naleciałość, przeplatany nieprzepartemi wzlotami ekstazy ich duszy, porywami wierzeń, nadziei, ukochań, co wręcz sceptycyzmowi przeciwne—biorą się z nim za bary, a stanowią sam rdzeń tych nawskróś lirycznych i poetycznych natur. Loti'emu nie obce mussetowskie tęsknoty—rozciąga tylko ich minorową gamę. Podobną też tamtemu posiada wrażliwość zmysłową, lecz i oba mają zakrój Don Juanów, trawionych nie zmysłowém tylko pragnieniem. Lubieżnym! któryż prawdziwy poeta nim nie był? Sam nawet Milton stanął u wrót raju, oczarowany Ewy niepokalaną nagością. Niech co chcą mówią świętoszkowie, na to niéma rady. Najczystsze, najwznioślejsze ludzkie duchy nie mogły ani się pozbyć, ani w szczerości swéj wielkiéj, zaprzeczyć siły téj ziemskiéj przymieszce. Dlaczego rzekoma „moralność“ stawia w téj mierze większe pisarzom niż naprzykład malarzom wymagania—zrozumieć trudno, a wytłómaczyć niepodobna. Nikt przecie od Tycyana, ani od Rubensa nie wymaga, aby malowali jak Ary-Scheffer? Pozwala się im wybierać dowolnie w drużynie wszystkich nimf mitologicznych i niemitologicznych nawet. Ale pisarzowi...

Czyż jak tam tak i tu nie o to tylko idzie, aby przedmiot był piękny, zdrowy i prawdziwy? Prawdziwy—tu może zajść nieporozumienie—prawdziwy tedy nie tak w realném, jak w idealném znaczeniu, to jest prawdziwy nietylko prawdą cząstkowego lub wypadkowego zjawiska, ale życiową, że tak rzec można, wszechstronną. W zastosowaniu do sztuki, norma moralności jest równie prosta, jak niezawodna. Schiller powiedział, że „geniusz nie zna przyzwoitości, gdyż zepsucie tylko przyzwoitém bywa“. Przeciętny téż widz i czytelnik w sobie nosi prawdziwéj przyzwoitości miarę i w jéj imię nie gorszy się nagością Afrodyty, zmysłowością Fornaryny, wyskokiem życia tryskającém z ciał niewieścich Rubensa, lecz odwraca ze wstrętem wzrok istotnie obrażony wszelką pornograficzną nagością. W literaturze znów Eurypidesowa Fedra wywiera wrażenie piorunującéj namiętności, a ta z „*Curée*“ macocha obudza takie wstręty, że chce się ją czemprędzéj sprzątnąć z pod słońca i zamknąć w „Salpétrière“. Wraz z nieśmiertelnymi Olimpu mieszkańcami wybuchamy szczerym śmiechem nad pochwyconym w misterną sieć, przez obrażonego małżonka, Aresem, a Olimpiad w kale „Ziemi“, przez cały tom szarganych, a stanowiących wedle Zoli alfę i omegę całego chłopskiego żywota, któż doczytać w stanie!

Zmysłowym tedy był Musset, zmysłowym i Loti. Tylko ten ma nerwy zdrowe, piersi silne, muskuły wyrobione, wichry morskiemi spalone czoło, więc i wyobraźnią ma zdrowszą i sceptycyzm nie tak gorzki i zmysłowość świeższą, nie wyziewami paryskich zaułków i orgii nasiąkłą, lecz słońcem wschodu i południa rozpaloną. Zmysłowość to, ba! lubieżność, nie cyniczna, ani téż chowająca się obłudnie po za rzekomego sentymentalizmu osłonki; po pogańsku raczéj, śmiała, pewna praw swoich, nic nigdy nie mająca wspólnego z newrozą, nigdy, nigdzie nie popadająca w patologiczne zboczenia i nigdy, nigdzie od platonizmu nie pożyczająca maski. Zresztą...

W dziele Loti'ego jest ona tylko jednym, niezaprzeczonym wprawdzie, w pewne momenty przeważnym, lecz nie wyłącznym czynnikiem. Zajmuje to miejsce, które zajmuje w życiu człowieka. W dziele Loti'ego bardziéj téż może, niż w powszedniego życia toku, odrywa się od ziemi, uskrzydla tęsknotą. Wielka tęsknota pozostaje bądź-co-bądź właściwością wyrobionych duchowo i umysłowo osobników, a nic nie pozwala nam wnosić, aby owo wyrobienie odbywało się z ujmą innych przyrodzonych naturze ludzkiéj skłonności—nie przytępia ono zmysłów, tylko je uszlachetnia.

„Jeśli dusza istnieje — mówi (*Fleurs d'ennui*) Loti — to się wyraża najpełniéj w miłości. Co do mnie, czuję ją najlepiéj przez zmysły...“

I dalėj:

„Kochając te kobiety różnych odcieni, ulicznice nieraz, czegoż szukałem: czy saméj tylko rozkoszy, czy wdzięków samych? Kochałem je tak, żem pragnął umrzéć z niemi, wziąć je z sobą w wiekuistości nieskończoność...“

Bo nigdy nie traci on z przed oczu tego, co nazywa „*l'au-delà*“. Nigdy, wobec niewiem już jakich zmysłowych upojeń, bo dusza ludzka, to... (cytuje wiersz Hugon'a):

„Le ciel qui teint les eaux à peine rémuées
„Et la vase, fond morne...

bo dusza ludzka na dnie swém wiele ma ziemskiego kału. Niechże się na to zgodzi nasza skromność i nie odwraca od wód przezroczych, w których się niebo tak często przegląda.

Więc i w „*Azyadé*“ zmysłowości sporo, ale....

„Zmysły moje równego temu, jakiego doznaję obecnie, nie znały upojenia—pisze młodzian rozkochany w odalisce, z którą pocałunkami samemi porozumieć się może, lecz — dodaje — kochałem więcéj inną dziewczynę“. Inną, czystą, w domu, daleko, pod Szkocyi niebem pozostawioną, pacholęcych lat towarzyszkę. Upojenie jego zmysłowe jest takie, że nie zdoła przeżyć swéj odaliski. Przebrany za Turka, jako Turek zginie pod Karsem. Lecz jednocześnie ileż w samém upojeniu doznaje niesmaków, jak odczuwa samotność, jak często myślą wraca w rodzinne strony.... Już w téj pierwszéj, młodzieńczéj sielance, pobrzękuje liryczna nuta tego wewnętrznego rozdwojenia, co sielance dramatyczne nadaje rozmiary.

Jesteśmy w sielanek okresie, druga z rzędu prześcignie tę pierwszą, stając u mety, po za którą sielanka nie sięga. Nietylko we francuskiém, lecz we wszechświatowém powieściopisarstwie trudno natrafić na coś bardziéj artystycznie wykończonego, a równie świeżego jak *Le Mariage de Loti*. Słynne *Paul et Virginie* Bernardina de Saint Pierre, jest wobec tego wymuskaną, mdłą, konwencyonalną tezą. Gdyby nie przysłowie „*comparaison n'est pas raison*“, porównaćby można chyba *Mariage de Loti* z „Przez Stepy“ Sienkiewicza, będącém tém w prozie, czém „W Szwajcaryi“ jest w poezyi. „Przez Stepy“ posiada wprawdzie szerszy etyczny zakrój, polot rycerski i słowiański smętek, *Le Mariage de Loti* pospolitsze, lecz prostsze i realniejsze, równie wytworne, równie poetyczne a świeże! świeże jak poranek majowy, żadną łzą nie zaćmiony, żadną... jeno mgłą lekkiéj jak wiosenne pary tęsknoty.

Taiti! zaczarowany ogród!! Ile tu woni, zieleni, barw, słońca! Kto nazwie wszystko to kwiecie, kto zliczy na niém rosy perełki! Nie

tak tu, nie tak jak w słynnym *Paradoux* (Zola, *„La faute de l'Abbé Mouret"*). Nie ma muru, ani żywopłotu odgradzającego wyśniony ogród od świata całego. Raj to, raj prawdziwy. Niebo nad nim błękitne rozciąga namioty, oblewają dokoła błękitne Oceanu Spokojnego fale, u wrót żaden z ognistym mieczem nie stoi archanioł, w raju nie błąka się żaden, niby dusza w czyscu, przezroczysty i chorobliwy kleryk. Człowiek żyje tu zgodnie z prawami saméj przyrody. Rasa piękna: mężczyźni rośli, kobiéty drobne o delikatnych kończynach, o czarnych, płomiennych, jak rozkosz sama, oczach. Świadczą o tém jednogłośnie najpoważniejsi świadkowie: Lubbock, Cook, Elis, a gdyby i tamtych nie było, zaświadczyłby utwór Loti'ego, co doścignie i pozostawi wrażenie tam, gdzie nie dościgną Lubbock i jemu podobni.

Kobiéty te wdzięku pełne, oliwkowéj cery, słodkie są i ciche, to téż, choć tam kapłan stułą rąk nie wiąże, choć kobiécie upośledzonéj przez prawo i obyczaj, u jednego z panem swym i mężem stołu i ogniska zasiąść nie wolno, rozwody bywają rzadkie.

Po nad arkadyjskiém tém społeczeństwem, są jak bogi szanowani władcy, których imienia nie śmią wymówić usta zwykłych śmiertelników. Zamieszkane przez nich pałace zwą się *Aaraï* (obłokami niebios), nie pochodnie im przyświecają, lecz „błyskawice", a pomimo to dostępni..., przynajmniéj dobra królowa Pomaré, tak jest sympatyczna w wielkim swym smutku nad dogasającą dynastyą swą i rasą.

Po nad tymi panami są bogowie, jest naprzykład wielki Tarwataihetoomoo. Są, lecz tak wysoko, tak daleko, że ich śmiertelni zupełnie tracą z oczu, a prawdopodobnie i z pamięci. Bogowie ci nie mieszają się téż do spraw ludzkich, co najwyżéj bujają czasem po nad kamiennemi ołtarzami ofiarnemi, w postaci ptaków, są idealnym jakimś zbiornikiem życia, ustawicznie zasilanym przez ulatujące ku nim, a przez śmierć zdmuchnięte oddechy: zwierząt, kwiatów, owoców, kamieni samych. Tak przedstawiona śmierć, jako zamiana promieniowania życia ku niéj, a jéjże ku życiu, zgodna z ostatecznemi wnioskami fizyologii, nie jest straszna. Malajczycy nie lękają się jéj wcale, a nieśmiertelność duszy ludzkiéj, w znaczeniu, w jakiém ją wykładają im misyonarze, pozostaje niedostępną dla tych... panteistów. Przypuszczają, że zmarli muszą mieć gdzieś jakieś miejsce pobytu. Jest niém może oddalona wyspa Balotoo? Kto wie! Żadna tam łódź dopłynąć nie zdoła; raz tylko zuchwali dotarli żeglarze, lecz gdy wylądować chcieli, wszystko im jako sen z przed oczu znikło..., brzegi wyspy cofnęły się, oddaliły... Poetyczne a wierne nieśmiertelności uplastycznienie! wykazanie tych kresów, co przed ludzkością i każdym z osobna duchem ludzkim tkwią w oddaleniu i cofają się, usuwają coraz daléj, im bliżéj się do nich dopływa...

Zagrobowe życie! Co po niém tym żywym i teraźniejszością żyjącym! Jakiż raj będzie rozkoszniejszy od Taiti? Zaczarowany ogród, łan kwiecia, na którym niewiadomo co zrywać: owoce soczyste na zielonych konarach drzew, barwne na murawie kwiaty, czy te żywe, pod zielonych drzew konarami, na miękkiéj murawy kobiercach, nad szemrzącemi w gaju strugami rozsypane, a lekkiemi jak mgły, muślinowemi *pane* (tuniki wązkie) ledwie przykryte, niewieście wdzięki? Wszystko tu tchnie życiem, rozkoszą, młodością. Rarahu, kwiat przedziwny! Lecz Loti czuły na wrażenia zmysłowe, notujący każdy półdźwięk w ich pełnéj i rozbrzmiałéj młodością gamie, nie zapomina duszy i taką wonną, cichą, kwiecią iście duszyczką obdarza tę, do czasu wprawdzie, lecz prawowitą wedle miejscowych wyobrażeń, oblubienicę wytwornego Piotra Loti. Na tém tle wytwarza poemat miodowych miesięcy, jak samo tchnienie wiosny, świeżéj pary kochanków. Gorące to jak namiętność sama, jak namiętność szczere a tkliwe, rzewne.

Zkąd tu ten smętek nad tą wonną sielanką? Powtarza się prześliczna bajka Platona o Rozkoszy, którą Zeus skuł z cierpieniem. Ten smętek, to z téj wieczystéj za nieskończonością tęsknoty, wobec przeświadczenia o ograniczoném trwaniu wrażenia. Ten smętek, w połączeniu z tą niesłychaną wesołością i świeżością, uskrzydla, uduchownia utwór Loti'ego, co pod względem wykonania nie pozostawia nic do życzenia. Zespolenie formy z treścią jest doskonałe. Forma! Prawdę powiedział Hugo, zwracając się do rzeźbiarza Dawida: *La forme, o grand sculpteur! c'est tout et ce n'est rien.* Wszystko z ożywiającą ją myślą, nic bez niéj. Tak a nie inaczéj trzeba téż rozumieć „sztukę dla sztuki"—tak dziś okrzyczaną, w niektórych literackich kołach tak opacznie tłómaczoną. Bo téż znów... czémże w sztuce myśl bez formy? Niepochwytną marą. Sztuka sama przez się jest ostatnim konkretności wyrazem: skoncentrowaniem idei lub uczucia. Im ogólniejsze, im prostsze będą idee lub uczucie, tem większe, donioślejsze będzie ożywione przez nie dzieło sztuki; ale im forma wcielająca je, piękniejszą, plastyczniejszą, poetyczniejszą będzie, tém większe, donioślejsze, a zwłaszcza już trwalsze będzie wywarte przez dzieło sztuki wrażenie.

Dziwić się téż można, że podobnéj jak „*Le Mariage de Loti*" artystycznéj miary dzieło, nie wywarło odrazu tego wrażenia, jakie wywrzeć było winno. Jestto piękno, co się odrazu narzuca, olśniewa masy i jest inne, dyskretniejsze niby, przyćmione zwykle subtelnością rysów, wytwornością samą. To drugie właśnie odznacza twórczość Loti'ego. Należy on do tych pisarzy, o których inny, wielki pan pióra, Alfred de Vigny mówi: *Ce n'est pas le public qui vous juge, se sont*

les pairs. Popularność jest zapewne rzeczą cenną, perłą nad perłami i wielkim pozostaje dopiéro ten, co w masy przenika, lecz i w wyczekiwaniu sądu *parów*, być muszą dla wytwornych wytworne słodycze. Czekając tedy sądu parów z jednéj strony, z drugiéj przeniknięcia w te czytające masy, bez którego to znów można być wytwornym artystą, ale nie można zostać wielkim pisarzem. Skupiając się do dramatycznego rzutu o jakim „*Azyadé*“, a nawet „*Le Mariage de Loti*“, wnioskować nawet nie pozwalały, a który jak raca wystrzeli w „*Le roman d'un Spahi*“, Loti kreśli stronice, zatytułowane „*Fleurs d'ennui*“. Zbiór to w oryginalnéj a zawsze wytwornéj formie, urwanych wspomnień, wrażeń, paradoksów, w rodzaju naprzykład: *L'idéal c'est trop bête à la fin!* Jest tam tu i owdzie coś, co zakrawa na literacką, bardzo subtelną krytykę; parę trafnych spostrzeżeń, dowcipu sporo, trochę ironii. Ta rzekoma *nuda* nie jest nudą, gdy się jéj z bliska przyjrzymy, jeno tęsknotą, co się późniéj, przy większéj dojrzałości pisarza i świadomości saméj siebie, nazwie *Propos d'Exil*, a na którą Francuzi osobnego nie wymyślili dotąd wyrazu, dlatego może, że w ich literaturze i duchu tęsknota jest młodém jeszcze zjawiskiem. W literaturę wwiódł ją dopiéro Musset—on, nie Chateaubriand, nie płaczliwy Lamartine, nie gromowładny Hugo, lecz Musset. W ducha narodu, na rdzennym pniu tego co w nim pozostało *gaulois*, wszczepiają ją dopiéro naleciałości wieku, a zwłaszcza przebyte klęski polityczne.

Są tam, w tym, w chwilach nudy zrywanym bukiecie różnych różności, są sny rozwiewne i pacholęco-świeże wspomnienia, jak np. wiejskiego na wybrzeżach Bretanii kościołka. Stronice te podobne są do wieśniaczéj, przez sceptyka nuconéj kolendy.

„Niebo moje zawsze mroczne“—woła rzekomy ów sceptyk i pragnie śmierci, „końca wszystkiego“. Utrzymuje, że jest zmęczony „daremném ramion wyciąganiem“. Jak mędrzec doświadczył wszystkiego i dotarł dna „marności, wszechmarności“. Ale przypatrzmy się tylko, jak chce umierać. Z lubą, z kochanką, „zanim młodość minie“.... „Chciałbym by ją przedtém wyrzeźbiono w marmurze, dla pokazania przyszłym pokoleniom jéj piękności“.

T-a-k! Zniechęconym na prawdę, na prawdę zmęczonym, pokoleniom przyszłym? Hartmann i Schopenhauer rzucili już na nie przekleństwo: zgińcie! przepadnijcie! Pesymizm jest nieunikniona naleciałością społeczną i prywatną: okoliczności życiowych, pewnych chwil psychicznych, wniknięcia w życie. Pesymizm, jako wynik pewnych filozoficznych, a zwłaszcza już społecznych momentów, może zaciężyć, ciąży na pokoleniach, na dobach całych literackiéj i artystycznéj twórczości. Na to niema rady. W takich momentach nie podlegają mu

chyba bardzo płytkie umysły lub bardzo wystudzone, boleć i wątpić niezdolne serca... Przeciw „ostatecznemu“ jednak zniechęceniu protestuje to, co w nas złożyła przyroda sama, instynkt zachowawczy, porywy ducha ku słońcu i rozświtom... Wiemy, że po nowych świtaniach nowe przyjdą zachody, że nowe dzienne blaski przed nowych nocy zgasną zasłonami, że takie prawo na zegarze czasu ludzkości jak i przyrody, lecz każde nowe świtanie nieprzepartym pociąga urokiem, każde budzi i zagrzewa do pracy, nie wiém już jak długiéj, ciemnéj, gorączkowéj, rozpacznéj nocy czuwaniem wyczerpane siły... Czy panteista może być zresztą zrozpaczonym aż do zapatrzenia się w nicość? A wszak Loti jest panteistą—świadczą o tém jego zrozumieniu przyrody, śmierć Spahisa, śmierć Jana. „Skréśliłbym—pisze daléj o kochance, na ozłoconym przez słońce, jak bursztyn złotym marmurze, dokoła jéj oczu, rys ciemny naśladujący cień rzęs jéj i nadający spojrzeniu to, czego określić nie umiem, a co pociąga i czaruje, zwłaszcza gdy się w nie wpatrzę zbliska, z bardzo bliska, tuż...“

O lubieżniku! Nie wystarcza mu białość marmuru, chce ją rozgrzać słońca bursztynowego promieniem a w oczy lubéj patrzéć tuż, zbliska. Wystarczyłoby to naturaliście. Jemu, poecie, trzeba tego c z e g o ś co pociąga i zachwyca, co spojrzenia jest duszą, tkliwością, pieszczotą serca. Jemu ta chwilowa nie wystarcza pieszczota, chce ją uwiecznić, pragnie unieść z sobą, nie rozstawać się z nią... przepaja go ta nieskończoność, któréj rozciągłość rozumiemy istotnie najlepiéj, w zupełności, wówczas gdy kochamy. Każdy kto kochał wié, że wówczas wszech końca rzeczy ani pragnąć, ani nawet przypuszczać nie podobna. To też miłość, w najrozciąglejszém i najszlachetniejszém tego słowa znaczeniu, chociaż z jednéj strony zradza pesymizm, z drugiéj broni przeciw ostatecznym takowego wynikom. To, co kochamy namiętnie, wyłącznie, idea, lub mniejsza z tém co, jak ta kochanka Loti'ego, przetrwać musi, m u s i pięknością swą przyszłym błysnąć pokoleniom...

W tomie zawierającym „*Fleurs d'ennai*“, jest jeszcze kilka drobiazgów, nie odznaczających się szczególną wartością artystyczną. Talent obcy temu, co w technice pisarskiéj „rutyną i robotą“ się zowie, twórczy, częstych potrzebuje wypoczynków? Takie talenty, jak to widzimy w historyi wszelkich piśmiennictw, bywają zwykle mniéj płodne i najczęściéj nierówne. Płodność i względna—o absolutnéj nie może być i mowy! — równość, bywają siłą refleksyjnych talentów. „W literaturze jak i w polityce, wedle słów Taine'a, nie można miéć wszystkiego. Jedne zalety wyłączają drugie“. Refleksyjne talenty zużywają mniéj wyobraźni, posiłkują się retoryką, podtrzymuje je,

że tak rzec można, obrana, z góry wytknięta teza. Rozpalają się broniąc takowéj. Są to częstokroć głęboko obmyślane, umiejętnie rozstawione, świetnie przeprowadzone etapy — ale, etapy o obrachowanym, rozmierzonym biegu. Loti zaś należy w literaturze do tych jeźdźców z natchnienia, co celu biegu nie wytykają sobie nigdy, puszczają wodze rumakowi twórczości, zależą od niego tyle, co i kierują nim, dościgają szczytów i zwalniając biegu, mijają padoły. Tacy nawet, gdy z bystrym swym zrosną się wierzchowcem, zmienią w centaurów, częstych i długich potrzebują wypoczynków. Szczęśliwi ci, co to rozumieją i nie przeciągają twórczości struny.

Loti skupiał twórczą siłę, lecz mu brzmiała ciągle ta nuta rozdwojenia wewnętrznego, dwóch jakichś ścierających się z sobą konieczności, dwóch różnych, odmiennych, pogodzić się z sobą niemogących uczuć. Nuta ta brzmiała, wzmagała się, aż w „Romansie Spahisa“ do niesłychanéj doprowadzoną została dramatyczności.

Tło się tu pogłębia, rozpala. Nie Bosforu to kołysanki źwierciadlane, nie Złotego Rogu blaski, nie przedmieść Stambułu ciche zaułki. Nie ma tu miejsca na rodzajowe obrazki, w które obfituje „*Azyadé*“. Nie Taiti zaczarowane ogrody, wonie, zefiry. Blaski afrykańskiego słońca wyżerają mózg pod czaszką, od znoju opadają ociężałe powieki, dokoła pustynia, piaski, ochłody żadnéj, nigdzie. Nad żrącem tém słońcem, które „co rano z nieubłaganą wstaje niezmiennością, zawsze żółte, zawsze czerwone, nigdy żadną nie przysłonięte chmurką, piekące, suche“, pod żrącém tém słońcem, ogień krwi staje się gorączką, myśl i zmysły w nieprzemożoną popadają senność, w głowie się mąci, w piersiach pali pragnienie, atonia pożera, miraż wabi, wola gnie się i łamie. Trzeba iście afrykańskiéj naiwności murzynki Fatou-gaye, by pytać kochanka:

— „Co ci jest, mój biały?“

Co mu jest? Przedewszystkiém już to, że biały on, czarna ona, że się zrozumiéć nie mogą, nie są sobie równi. Co mu jest? Ależ mu brak powietrza pod skwarném, roziskrzoném jéj niebem, na białych, od słońca spopielonych piaskach jéj ojczyzny. Odurza go, rozpaja, lecz i w omdlenie wprawia ta woń taka korzenna. Omdlewa w czarnych jak heban, piekących a miękkich, denerwująco miękkich, cichéj swéj niewolnicy ramionach. Czyż nie widzi, nie czuje, nie rozumie ona, że zaledwie jego owładnęła zmysłami — a duch jego daleko, daleko, w dali zielonéj, chłodnéj, wilgotnéj... Wody! kropli wody! bo z pragnienia umiera. Pragnie wyrwać się „z przeklętéj ziemi, którędy nigdy chyba Pan Bóg nie przechodził“, umiéra z tęsknoty za ojczyzną swą, rodziną, pożéra go nostalgia, a gdy jest bliski pragnień

swych urzeczywistnienia, czuje znów w piersiach ból piekący. Coś mu się tam rwie, coś mu to biedne, słabe serce omotało, węzły jakieś, nici... Ha! „z przeklętą“ tą ziemią związały go, spętały przyzwyczajeń i więcéj niż przyzwyczajeń łańcuchy... tyle tu przeżył, przetęsknił, przebolał a... w łono czarnéj niewolnicy rzucił zasiew nowego życia...

Do miejsc obcych nam, ba nienawistnych, przywiązujemy się prędko, wiemy to, dość o to spytać wygnańców. Czy piaski pustyni paliły im stopy, czy mrozy na ustach mroziły oddechy, czy wichry stepowe roznosiły jęki, każdy przylgnął do ziemi wygnania cząstką swéj duszy, swego bólu, każdy na niéj cząstkę samego siebie pozostawia, rzuca w nią chociażby potu i łez zasiew. Człek gdy dzień cały kamień na swych piersiach przenosi, przywiąże się, wedle słów poety, do kamienia, cóż dopiéro do ziemi, do wygnania bodaj ziemi! cóż do ludzi, do tych, co mu jedną bodaj gorzkiego wygnania osłodzili chwilę!... A jeśli tą duszą ludzką jest kobieca dusza?

Spahis nie wié, a nawet stanowczo wątpi, czy okradająca go, zdradzająca dla swego plemienia obdartusów podejrzanych, murzynka ma duszę, lecz niewolnik krwi i zmysłów obejść się nie może bez téj czarnéj u kolan swych „małpki“. Śmiertelnie smutny, roztęskniony, dobrym jest dla niéj i łaskawym, na same wyrządzone sobie krzywdy, patrzy ze wspaniałomyślném pobłażaniem silniejszego, wyższego i szlachetnego. Do krwi i zmysłów przyłączają się z czasem inne, te, co krwi i zmysłów popędy zmieniają w najszlachetniejsze męskiego serca, najtkliwsze, najpoczciwsze uczucie: ojcostwa i narzuconéj przez ojcostwo odpowiedzialności. Uczucie ojcostwa w etycznéj skali prześciga o wiele przesławione, a instynktowe, wrodzone uczucie macierzyństwa. Macierzyństwo wobec niego wygląda zaczątkowo, pierwotnie, to téż gdy macierzyństwo w pewnéj mierze dostępne jest istotom niższego gatunku, ojcostwo z jego obowiązkami spada wyłącznie na człowieka, odczute i zrozumiane bywa przez samych najlepszych.

Czy Fatou-gaye ma duszę? Sama się może tego nie domyśla. dowié się o tém dopiéro w męczeńskiéj, za śladami kochanka, po przez piaski Dialakary, pielgrzymce. Spahis nie dowié się nigdy, nigdy! Szeroko otwarte, pobielałe, na żrące słońca promienie nieczułe jego źrenice nie ujrzą tragicznéj grozy chwili, w któréj Fatou-gaye, w ojczystych piaskach udusi własne dziecię, białego sierotę. Silne niedawno, rozrosłe ramiona Spahisa, niezdolne teraz odpędzić krążących po nad nim sępów i gorszych, ohydniejszych wiedźm, trupów-obdzieraczek i gwałcicielek, nie przygarną do łona skłaniającéj mu się na piersi do snu wiecznego a dobrowolnego towarzyszki. Rozchylone usta, w które wlatują jak do pustego domu brzęczące muchy,

nie oddadzą murzynce pocałunku, w którym zmarłemu kochankowi odda swe życie i więcéj niż życie... wielką, kochającą, kobiecą duszę.

Czarna ta „małpka“ kochała. Jak? mniejsza z tém. Rzecz to stref geograficznych. Na takie kochanie mało-jaka biała, ucywilizowana, zbierze się dusza, a wszelkie już kochanie wystarcza dla wytworzenia kobiecéj duszy. Głębokość, wzniołość, rozciągłość, siła tego uczucia są pono i pozostaną najwierniejszym duchowym probierzem kobiety. Fatou-gaye jest kreślona z realizmem, świadczącym i o psychicznéj jéj wierności.

O bardziéj prostą, ludzką, w saméj swéj prostocie, w uwzględnieniu najpowszedniejszych, najbardziéj poziomych motywów realistyczniéjszą powieść, jak „Romans Spahisa“ trudno, lecz téż trudno o dramatyczniejszą i bardziéj rozdzierającą. Miękki, rozwiewny w „*Azyadé*“, wdzięczny, poetyczny w „*Le Mariage de Loti*“, na wskroś dotąd liryczny pisarz, w utworze tym wykazuje siłę pomysłu i wykonania, z którą spotykamy się potém w „Rybaku Islandzkim“. Mniéj skupioną, lecz bardziéj wybuchową. Jeśli w całości etyczna równowaga i artystyczna miara mniéj zadawalniają wybrednych czytelników w „Romansie Spahisa“, niż w „Rybaku Islandkim“, jeśli „Romans Spahisa“ nie jest tak artystycznie zaokrąglony, jak „*Le Mariage de Loti*“, to za to posiada epizody niezrównanéj siły dramatycznéj. Szczególny, rozdzierający w swéj prostocie patos. Postać Spahisa w prostocie swéj klasycznych dosięga rozmiarów. Powalony na piaski pustyni afrykańskiéj, niemniéj śpiżowy od Sofoklesowego, na wulkaniczném Lemnosu wybrzeżu; z bólu wijącego się Filokteta. Owszem, przerasta go spokojem niemego bólu, bo chociaż stoikami byli starożytni, w boleści ich, wyrzekaniu, biadaniu, jest coś dziecięcego niemal. Może bo ludzkość, jak i człowiek, dojrzewając a o same ocierając się bóle, uczy się cierpiéć dostojniéj i dlatego to temu spahisowi stać na większą, bo milczącą, przeciw przemocy wrogich losów zaciętość, niż bohaterskiemu Heraklesa druhowi?

A może ta, tak nie rzadka w nasze dni, duma bólu i cierpienia wspaniałe milczenie, jest naturalnym wyrazem sceptycyzmu graniczącego o miedzę, o wąską, z fatalizmem? Dla Greków zło jak dobro w konkretne wcielało się kształty. Nieszczęściem obaleni, bólem ścigani uważali się za ofiary takiego lub owego bóstwa. Gniew bogów nawet daje się przebłagać; dowodem mnogie ofiarne ołtarze. Całopalenia nie z saméj krwi tylko, lecz i z łez ofiar powstać mogą. Z bogami... z bogami walczyć można. Walczyli z niemi Ajaks i Dyomed, Prometej do zapasów z samym stanął Zeusem... Kto wierzy, ten płacze... kto wierzy, ten

walczy. Lecz jakże cięższe bezmowne cierpienia, bierne poddanie się jemu!

Loti zbyt długo przebywał na wschodzie, by nie miał wiedzieć, że człowiek nie jest panem siebie. Na niewydanéj i do wydania nie przeznaczonéj karcie pisze:

— „*Si l'on pouvait finir les histoires de la vie, comme celles des livres, à volonté!*“

Ale téj woli nie posiadamy. Rządzi życiem naszém fatum, najczęściéj zresztą w nas-że samych spoczywające, takie bowiem nowożytna idea wyznacza mu siedlisko. Niech kto chce wolną nazywa to wolą! Takie fatum nad biednym zaciężyło Spahisem.

Z męską tą, a tak ludzko-słabą postacią, Loti wyrósł, zmężniał, wyrobił tę siłę i łagodność, z jakiemi rozwiera braterskie nad bratem Iwonem („*Mon frère Yves*“) ramiona. Nie jest to już szałem zmysłowym płonący, sentymentalny przytém młodzieńczo kochanek turczynki „*Azyadé*“. Nie rozmarzony a wykwintny oblubieniec ślicznéj Rarahu! Nie subtelny sceptyk-marzyciel fechtujący się na dyalektykę z przyjacielem Plumcket'em („*Fleurs d'ennui*“), nie pedant, nie filozof, nie dok tryner żaden, broń boże! brat starszy, rozciągający nad młodszym opiekuńcze ramię, przejęty moralną swą odpowiedzialnością. Iwon, to „brat młodszy“ w całém moralném i społeczném tego słowa znaczeniu. Ten znowu starszy, nie lepszy od tamtego, o nie! rozumniejszy tylko, wnikający głębiéj, widzący daléj. Wnika też w duszę Iwona, w jego domowe otoczenie, rodzinne stosunki. Waży i rozważa wszystkie, mogące mu się przytrafić wypadki, wszystkie wpływy szkoły życia, jaką to olbrzymie bretońskie przechodzi dziécię. Z tego względu „*Mon frère Yves*“ zahacza mimochodem o tysiące społecznych, naturą przedmiotu, biegiem powieści wywołanych zagadnień, tak postawiony sam brat Iwon staje się nietylko psychiczną, lecz i społeczną kwestyą. Utwór też ten posiada nastrój i zakrój społeczno-obyczajowéj powieści, rozmiarami inne przerasta utwory. Iwon, pierwszy plan wypełnia barczystą, rozbujałą, rozrzuconą indywidualnością. Dokoła tłoczą się ludzie, dopełniający typ główny. Pole psychicznego i filozoficznego rzutu pisarza rozszerzyło się. Z własnych jeszcze czerpie wrażeń, doświadczeń, lecz się odrywa od swéj indywidualności, wnikając w duszę Iwona, tak jak był wniknął w duszę Spahisa, wprawia się w tę mistrzowską intuicyą, którą podziwiać będziemy w „Starcu“ („*Un Vieux*“); w Janie, Sylwestrze, babci Moau, w Gaud („Rybak Islandzki“).

„*Mon frères Yves*“, posiada tedy zalety, których nie miały uprzednie utwory Loti'ego; ale nie posiada artystycznéj zwięzłości tamtych, siły, jaką podziwiać trzeba w „Romansie Spahisa“, zaokrąglenia, poe-

tycznéj świeżości „*Le Mariage de Loti*“. Pisarz oderwał się od samego siebie, aglomerat psychicznych i społecznych na zewnątrz dokonywanych spostrzeżeń, wytworzył bryłę większego kalibru, lecz mniejszéj artystycznéj wagi. Równowagi téj dosięgnie dopiéro w następnym utworze: w „Rybaku Islandzkim“.

III.

Islandya! jakeśmy daleko odbiegli od stref podzwrotnikowych! Jak dla wytchnienia, w tym nagłym przerzucie, zatrzymaliśmy się z Iwonem na brzegach Bretanii, zanim wkroczymy w arktyczne północy przedświty.

Inne tu niebo, oj! inne! inne wody i ludzie inni. Niebo nie szafirowo złote jak nad Bosforem, nie żółte jak nad afrykańskich pustyń białemi popiołami, nie szare jak tam w dżdżystą pogodę nad Anamu zielonemi łąkami, lecz jak jutrzenka różowe, liliowe, zielonkawe, wszystkich, nawet mlecznych opalu odcieni. Wieczyste świtania, nad któremi nocne nie zapadają mroki, śród których południe samo złotych i ciepłych nie rozpuszcza promieni. Słońce — słońceż to, te blade, skośne, z pod spodu, z pod wód przedzierające się smugi światła! co niegrzeją, nie olśniewają, w które źrenice bezkarnie wpatrywać się mogą!

Cicho! jak tu cicho! ni tu szmerów, ni szeptów zaczarowanych Taiti ogrodów. Cicho! jak gdyby życie całe, przyroda cała pozostawały w zawieszeniu... tylko czasem plusk wody zakłóci tę ciszę: nadpłynęły ławą wieloryby i ogon potworu przerznął do stygnącego ołowiu podobne wody. Cicho! może to te mgły, co się zewsząd, jak nieprzeniknione nasuwają opony, głuszą tak wszelkie odgłosy? Opon tych mglistych nie rozpruwa nawet przelotnéj mewy skrzydło, na pomosty nie opadają, jak tam na podzwrotnikowych morzach, stada zmęczonych, wichrem zbitych, wędrownych ptasząt: dziób statku nie pruje fal znieruchomiałych... Cicho! lecz niech o te ołowiane wody muśnie burzy skrzydło, a cóż wyrówna wyciu, rykom, wściekłości sinéj północnych wichrów wysłanki?

Tak na islandkich wodach, a tam na rodzinnéj Bretanii wybrzeżu? Na piaszczystych wydmach mnogie krzyże w dal wyciągają ramiona, na skalistych wzgórzach cmentarne bieleją kapliczki. Szaro! Gdzie niegdzie krępe zielenią się janowce, gdzie niegdzie tarń brunatne kolczaste, splątane wije gałązki... Mewy o fale białe ocierają skrzydełka, nad wydmami, nad skalistemi wzgórzami, nad męką pańską, cmentarzem, tarnią, janowcem, morskie przelatują wichry i tylko w głębokich jarach zieleniéj, zaciszno a na wiosnę od rozkwitłych gło-

gów, aż różowo. Tu i ptaki i ludzie gniazda sobie ścielą, nisko przy saméj ziemi.

I tu cicho... Słychać jeno ptasząt szczebioty, ochrypłe starców kaszle, niemowląt kwilenia, tam u cmentarnych kapliczek spłakanych wdów modlitwy, w niskich, omszonemi dachy pokrytych lepiankach żon i matek ciche rozhowory, a na cienistych okwieconych wąwozów ścieżkach, tęskne piosenki dziewcząt wyczekujących powrotu kochanków. Miesiącami całemi męskiego tu nie usłyszysz głosu... cała ludność męska na wodach islandzkich!.. gdy wrócą, zakipi życie. Przez wydmy, po skalistém wybrzeżu przebiegać będą wysmukłe muskularnych przechodni cienie, wąwozy zaszemrzą szeptem i pocałunkami, pod strzechą słychać będzie dźwięk szkła, srebra i muzyki i dźwięki wesołych i pijanych piosnek krocie, a opowiadań, a przygód ile!

Mieszkanki tych wybrzeży, w czarnych fałdzistych sukniach i białych na głowie namiotkach, zakonny mają wygląd. Przechowały w całéj jego przedziwnéj czystości, zatracony w Germanii saméj typ holbejnowski. Nawet jasne warkocze tak samo w ślimak zakręcają dokoła uszu, wzdłuż owalnych białych twarzy. Spokojne, jak tamte malowane staroniemieckiéj szkoły, madonny.

A ci, na islandzkich wodach, pod arktycznem niebem, miesiące całe trawiący rybacy?

Olbrzymy! barczyści, rośli, gibcy, nieodrodni potomkowie bajecznych skandynawskich tytanów. Spojrzéć w błękitne źrenice—przezroczyste jak u nowonarodzonych niemowląt, łagodne, razmarzone jak u dziewcząt. Na dziewiczo białe czoła, jasne opadają włosy. A ręce, a ramiona! Góry im dźwigać i przenosić, potwory miażdżyć, jak téż z zimną krwią, bez drgnięcia nerwów miażdżą na pokładach wieloryby nieme i mierzą się i w zapasy codzień tam na islandzkich wodach idą z hydrą burzy, z ciszy hydrą, z przestrzenią, z mgłą, chłodem, trudem, samotnością. Krwi im żadna nie rozpala gorączka. Czekają cierpliwie, działają z rozmysłem i tylko wola ich tężeje, w niewzruszone zastyga kształty. Ludzie ci wierzą — w samych siebie wierzą — tyle zwalczyli niebezpieczeństw!... lecz też na taką patrzyli nieraz grozę przyrody, że w nadprzyrodzone wierzą też potęgi i nie symbolem samym jest dla nich w niskiéj kajuty kątku stojący, wśród spłowiałych, sztucznych kwiatów wianka, fajansowéj Matki Boskiéj posążek. Wierzą, kochają... Kochania ich tak głębokie, jak te nieprzeniknione, w które się codzień wpatrują tonie, tak tkliwe, jak jutrzenek odbite w mórz zwierciedle blaski. Blade, niby wielkie srebrne miesiące, słońca, dziewiczo opromieniają im czoła, lecz męskie piersi piją oceanu północy krzepiące kordyały. Nie świętoszkowie to, o nie! umieją i lu-

bią się bawić, życiowe odwety, po długich na morzu postach, rzucają ich w kał rozpusty południowych miast pobrzeżnych, gdzie zbywają swe połowy. Znają życie i wszelkie jego tajnie, tylko te chwilowe szały nie mają niby przystępu do serc ich, ani nawet wyobraźni. Serca i wyobraźnia pozostają, jak czyste, zamknięte przybytki, w których panują ciche, wielkie domowego ogniska bogi. Oto Sylwester Moau, o rozłożystych ramionach, jak dąb wyrosłe niemowlę. Jego dziewicze serce dziecięcą tkliwością pała do brata Jana i dla pomarszczonéj starością babci Moau; wyobraźnię wypełnia na brzegach ojczystych wyczekująca go narzeczona. Wielki Jan zna życie nawylot, jego upadki, spody, manowce, lecz nic sobie z tego nie robi, panuje nad tym ze skandynawskich iście bogów spokojem, chyba gdy w podrażnionéj dumie pragnie miłostkami swemi rozdrażnić i upokorzyć biedną Gaud. A ile tam pod tą dumą, pod tym uporem tkliwości! Spojrzyjmy nań tylko, gdy przesiaduje z narzeczoną na kamiennéj, u progu chaty babci Moau stojącéj ławie i na kolana dziewczyny nagłym ruchem rzuca spragnioną pieszczot, jasnowłosą głowę. Czystszego a bardziéj tkliwego, ludzkiego, w platonizm nie bawiącego się romansu w całém powieściopisarstwie nie znajdziemy może, chociaż w życiu powszedniém, jest podobnych pewnie więcéj, niż się powieściopisarzom zdaje!

Tło powieści wypełniają rybacy, załoga statków, co wracają co pół roku i tych co nie wracają nigdy i tylko jak widmo po przez mgieł opony, zahaczają o „Leopoldynę“. Ciżba ta robi wrażenie chóru z greckiéj tragedyi ogłaszającego wolę bogów lub opiewającego pobudki. Chór składa się z mężów, ojców, braci. Pierwsze i ostatnie ich słowo dla dawno niewidzianych żon, nieznanych sobie, pod nieobecność ich zrodzonych niemowląt. Po przez mgły, przejmujące islandzkich mórz chłody, przedziéra się blask domowego ogniska, rasy zdrowéj, silnéj, pięknéj. Przepysznym wyrazem patryarchalności jest rodzina Gaosów, olbrzym Jan zdający matce sprawę z każdego grosza. Prześliczną ilustracyą stosunków rodzinnych jest stosunek Sylwestra do babci Moau i nawzajem babci Iwonii do wnuka. Wnętrze chaty zamieszkałéj przez dwa sieroctwa, dwie słabości: staruszki i dziewczęcia—babci Moau i Gaud. Zalecanki Jana do téj ostatniéj, wszystko, aż do poślubnéj ich nocy w ciasnéj chacie, tchnie poezyą, uczciwością, a przytém taką prawdą, i tak dalekie jest przesady, czy to w sentymentalnym, czy we wręcz przeciwnym kierunku. Wszystko to owiane atmosferą twardéj pracy, wytrwania, cierpliwych wyczekiwań. Nad wszystkiém tém unosi się niezrównana poezya wiekuistych zmierzchów

przestrzeni, mgły, tęsknéj w wiekuistych czuwaniach nuconéj piosenki: „*Saint François de Nantes...*“

Tam na wybrzeżu jakowém tęskni i marzy Gaud, a wtórują jéj tęsknoty, wyczekiwania, nadzieje całego legionu matek, żon, kochanek...

I nigdy słowa skargi, wybuchu nigdy! ani wówczas nawet, gdy babcia Moau wraca z kancelaryi, gdzie się o śmierci ostatniego dowiedziała wnuka. Chwieje się pod brutalnym ciosem, ale prostuje, naciąga stary szal, na gnące się pod krzyżem swéj doli i starości ramiona. Upadnie, opuści się tam dopiéro w cieniu, w nieprzeniknionéj tajemnicy swéj chaty... Ani wówczas nawet, gdy Gaud czeka i doczekać się nie może powrotu „Leopoldyny“... ani wówczas, gdy na cmentarnéj kaplicy kamiennych płytach czyta: „Gaos! Gaos!! Gaos!!!“ i spotyka drugą domniemaną wdowę. Odwraca się od niéj, nienawidzi jéj niemal, że ją zeszła w jéj rozpaczy... o jakże pysznie! jak przepysznie zrozumiane i oddane we wszelkich najsubtelniejszych jego odcieniach, dostojeństwo boleści, największe z dostojeństw, osiągnięciem których duch ludzki szczycić się może. Proste te, zwykłe po rybakach wdowy, toć spartanki!... I któż z tych, co współczuciem szeroko rozwarte źrenice zapuszcza w życie spartanek, podobnych na każdym nie spotykał kroku?... Ale podpatrzone pochwycić, oddać, zakląć w typ nieśmiertelny, bo wierny, wszechludzki, w przedziwne dzieło sztuki podobne temu, w jakie („*Propos d'Exil*“) rozkochany Loti chciał, na podziw przyszłych pokoleń, zakląć wdzięki swéj lubéj, na to trzeba być artystą niepospolitéj miary—mistrzem!

Jeśli w „Rybaku Islandzkim“ nieprześcignienie już może dojrzały artyzm i psychologiczna intuicya pisarza, to i filozoficzną związał tu syntezę. Nie ma już tych rozpołowień, będących osią „*Azyadé*,“ „*Le Mariage de Loti*,“ „*Le Roman du Spahi*.“ Ponad islandzkich mórz przestworzem, ponad jałowém, męką pańską, zjeżonémwybrzeżem Bretanii ustawiczne unoszą się tęsknoty, rzekłbyś mgły, z samego łona wód i ziemi powstałe westchnienie całéj ludzkości. Z takim smętkiem spotkać się trudno. Usprawiedliwia niemal pesymistyczny krzyk włoskiego z zeszłego wieku filozofa Verri: „*Il solo principio motore dell'uomo è il dolore*.“ Smutne to, rozdzierające w cichym smutku powszedniego życia biegu, lecz nie ma tu już żadnéj wewnętrznéj niesnaski. Etyczna jednolitość do przedziwnéj artystycznéj dostrojona została harmonii. Żaden się tu właściwie nie odgrywa dramat. Dramatem nie można nazwać romansu Gaud i Jana, — płynie on naturalnym, powszednim biegiem. Ale nad Gaud, nad Janem, nad całą tą rybacką ludnością cięży siła nieprzemożona: *fatum!* znów *fatum*, ale już nie owo

spółczesne, w nas-że samych zrodzone i życiem a losami naszemi rządzące, za pośrednictwem uczuć, namiętności, słabości naszych, lecz starożytne, w postaci sił przyrody, sił ślepych. Stąd i to tragiczne wrażenie i tragicznéj grozy spokój. Nie ma rady! Z tém trudniéj jeszcze, niż z samym sobą walczyć. Tam wola nasza, pozornie wolna, burzy się i to właśnie stanowi dramatyczności zawięź, tu, żadne nie pomogą wysiłki... żadne! Ze spokojem tym nie spotykaliśmy się w uprzednich utworach Juliana Viaud. Tamte były nawskroś liryczne i dramatyczne, w tragedyi „Rybaka Islandzkiego“ dramatycznym jest sam epizod służby i śmierci Sylwestra, boleści osieroconéj babci Moau. Na to była rada, temu winni byli: ludzie, społeczne, polityczne, przeważne na daną chwilę, lecz wiemy, jak dalece przemianom podlegające porządki. Ludzie wymyślili służbę państwową, podatek z krwi i potu! Ludzie wymyślili nawet dla państwowego rzekomego interesu, tak niepotrzebną, wyprawę tonkińską... a szatani chyba budowali te pływające ambulansy-piekła! istne piekła.

Te to porządki rozdarły serce babci Moau, te taką tęsknotą szarpały łono zawieszonego u wroniego gniazda pachołka i umierającego śród wstrętów szpitalnéj kajuty żołnierza. Trzebaż go było odrywać od ojczystych wybrzeży! Wiek nasz, co podpatrzył tyle tajemnic przyrody, nie przejął się jeszcze tą elementarną prawdą: że ludzie, jak rośliny, na własnym tylko swym gruncie kwitnąć, owoc i nasienie dobre wydać mogą. Biedne, oj biedne, na marne przekwitanie skazane, z własnego gruntu ludzkie wyrwane rośliny!

Ale przeciw komu, przeciw czemu skargę wzniesie sierota Gaud, odepchnięta przez Jana? Cóż, że cierpi w dumie i miłości zraniona, że z tęsknoty, z nudy umiéra w pustéj, mrocznéj, zimnéj chacie zdziecinniałéj, zdziwaczałéj babci Moau? Możeż oskarżać obojętność Jana? Starała się ją zwalczyć, starała! śmiało, dzielnie, bez sentymentalnych przesądów—wszak szło o wynalezienie szczęścia! Nie pomogło!

A potém, gdy w przepysznéin stopniowaniu tragedya się rozwija i dochodzi do zenitu, gdy Gaud czeka codzień na brzegu powrotu „Leopoldyny“ i doczekać się nie może i czekać przestaje, przeciw komu, przeciw czemu skarżyć się będzie? Przeciw tym wichrom, co tam z północy pędząc, mórz smagają fale i mórz roztwiérają otchłanie? Przeciw spienionym tym falom i niezgłębionym otchłaniom. Ależ one to, one, wszystkich, z ojca na syna pochłaniały Gaosów, ścieląc im śmiertelne łoże. Janowi usłały ślubne! Wszak Gaud wiedziała, że w morzu ma rywalkę... Pamięta przecież jak Jan, własny jéj Jan, w poślubnym ich tygodniu przyjął nieśmiałą jéj propozycyą opuszcze-

nia dla niéj dawnéj kochanki... I na to nie ma rady. Daremne byłyby skargi, daremne!

Nie mało trzeba było twórczéj siły, by z tak prostych motywów wysnuć, a tak po mistrzowsku przeprowadzić tę tragedyą. Więcéj jéj trzeba było w skupieniu i filozoficznym spokoju, niż w przeprowadzeniu wybuchowego dramatu Spahisa.

Ile tu przy tém malowniczości, obrazowość jaka, jakie obmyślenie i obrobienie każdego szczegółu. To się chyba czytając i odczytując utwór da zliczyć. Cytaty są niemożliwe — trzebaby chyba każdą przepisać stronicę. Można pisarzowi, a zwłaszcza oczarowanym czytelnikom życzyć, by ten, co takie stworzył arcydzieło, zdobył się na drugie podobnéj wartości... o lepsze, niech się nie kusi. Lepszego nie wydała beletrystyka naszego czasu. *Pêcheur d'Islande*" tak treścią, jak formą i jak zespoleniem treści z formą, należy do utworów literackich klasycznych, w tém znaczeniu, że się przestarzéć, wyjść z mody, jak to się nawet wielu zdarza arcydziełom, nie może. Jego miejsce śród nielicznego pocztu dzieł, świecących pięknością, nie zależną od czasu i miejsca. Przestaje być ozdobą literatury francuskiéj, staje się własnością duchową wszech ludów.

IV.

W „*Propos d'Exil*" i tomie zawierającym utwory ulotne, pod tym ogólnym złączone tytułem znajdujemy stronice pisane z właściwym Loti'emu artyzmem, z właściwą mu wytwornością, połączoną z głębokiém wzruszeniem, jak np. poświęcone pamięci admirała Courbet'a, i wytworniejsze stokroć, tkliwą przepojone przyjaźnią, święcące pamięć pani Chee-Lee, dla któréj w formie listów, opisywane były wrażenia te z wyprawy tonkińskiéj. Opisy prześliczne! Z takiem arcydziełem opisowości, jak np. „Pagody podziemne" w Anamu zagadkowéj krainie, rzadko spotkać się można. Pełno przytém krajobrazów rodzajowych i obyczajowych bardzo śmiało, zamaszyście, jak np. „*Corvée matinale*," lub też „*Obock*," kreślonych zarysów. Rzucane na nie jednym dosadnym do krańcowego realizmu, to znów poetycznym rysem, ludzkie i nieludzkie postaci, sylwetki żołnierzy, przekupni, tragarzy, markietanek, wesołych cór Wenery, wszelkich rasowych odcieni, meger też wszelkich odcieni, zagadkowe, *con amore* odcieniowane bogi, potwory o szklanych oczach i niepokojących uśmiechach, bawoły o ciepłych, wilgotnych, różowych nozdrzach, bosonogie dzieci bonzów i długorękie małpy, sztucznie przedziwne kwiaty, skałom tym, pustyniom białym, łąkom nieprawdopodobnie zielonym, wodom o ciężkich, leni-

wych biegach, ulicom miast bajecznych, rynkom o wschodnim zgiełku i wschodnich barwach, samotniom i ustroniom wypukły nadają charakter. Czém byłaby Obock'u spalona placówka bez francuskiego garnizonu? A gdzieindziéj („*Revue des deux Mondes*,“ 1888, „*L'Impératrice Printemps*“ przedziwne Japonii ogrody przepełnione bajecznych złocieni kwieciem, bez tego hieratycznego orszaku cesarzowéj, przesuwającego się w blaskach gasnących zachodu i gasnącéj cywilizacyi?

Nie wiem już, w Drezdeńskiéj galeryi, czy w Belwederze w Wiedniu, jest ramka skromna, płótno cali kilka, a na nich staruszka ze złożonemi na kolana rękoma bezczynnie spoczywająca. Zmarszczek jéj nikt nie zliczy, a oczu od nich oderwać trudno. I nie dlatego pociągają wzrok i przykuwają, że z natury są policzone, lecz że są widomą osłoną przeżytych długiego żywota oczarowań i rozczarowań, skąpych radości i mnogich boleści.

Taką pieśń zmarszczek, wygasających stopniowo oczu, myśli, uczuć, instynktów samych, opadających bezczynnie, zmęczonych ramion, pustki, chłodu, dogorywania iskry życia, nuci Loti w „Starcu“ („*Un Vieux*“), wieńczącym tom zatytułowany „*Propos d'Exil.*“ U mety, u ostatniéj stanął ten wygnaniec życia, a mistrz spostrzegawczości. i pióra śmiałą, zuchwałą ręką zdarł osłony przykrywające te dogorywania. Skończony w każdym szczególe, z holenderską precyzyą wycieniowany obrazek, portret, typ, jest zarazem rzeczywistém, psychicznóm i fizyologiczném studyum.

Przy schyłku 1887-go roku wyszła w Paryżu ostatnia powieść Loti'ego zatytułowana „*Madame Chrysanthème*,“ cacko sztuki wydawniczéj.

Właściwie mówiąc, nie jest to powieść. Japońska bohaterka służy za pretekst i słabą zawięź dla opisów, rodzajowych i obyczajowych obrazków. Zawięzi dramatycznéj i niezbędnéj w powieści akcyi, nie ma tu wcale.

Malarskie zalety pióra i wytworność Juliana Viaud, szerokie tu znalazły pole do zastosowania, równie jak jego spostrzegawczość. Właściwościom tym artystycznym i niezaprzeczonemu realizmowi spostrzegawczego autora, utwór zawdzięcza swą oryginalność. Takim, jakim jest, nie mógłby powstać bez téj sporéj dozy wytworności, co o wszelką trywialność ocierać się umié, i bez tego realizmu, co poręcza wierność opisu. Co do téj jednak wierności, jest ona w danym razie względną — i to właśnie stanowi artystyczny jéj realizm — bardzo względną, poetyczną raczéj niż historyczną prawdą.

Czy Japonia jest istotnie kartonowém państwem, Japończycy kartonowemi i porcelanowemi lalkami i potworkami, czy w państwie

Mikada, wszystko jest „*à la Mikado*," twierdzić trudno. Tak się to nam wydaje, z naszego europejskiego stanowiska, a także i z tego, z jakiego Japończycy spojrzéć nam na siebie pozwalają. Sam Loti w inném opowiada miejscu („*L'Impératrice Printemps*") o zasłonach z czarnéj, niby całuny, srebrem lamowanéj krepy, co w cesarskich ogrodach zasnuwają przed niedyskretném europejczyków okiem, niektóre widoki. Sam Loti opowiada, że ogrody te cesarskie, pałac, nikną, są „*dissimulés*" śród samego Yeddo, zdają się „snem, przywidzedzeniem," marą, a gdy się do nich przedrze przez labirynt wąskich, niskich, pustych kurytarzy, zdumiewają swą rozciągłością. Sztuczne to zresztą może tylko perspektywy... Kto ich tam wié.

Co pewna, to że na ustach każdego, czy to porcelanowego, czy żywego Japończyka [1]), w głębi ich małych błyszczących oczu tkwi uśmieszek na poły sarkastyczny, coś, co w chwili najpoważniejszéj dyskusyi z europejczykami, przy najbardziéj uprzejmem obejściu się, zdaje się szeptać i szemrzéć: „bierzem was na kawał." I niewiadomo, jak to słusznie zauważył Loti, kiedy są przebrani,—czy wówczas, gdy europejską naśladują cywilizacyą, czy gdy do swych hieratycznych wracają porządków? Mają oni w stosunku do nas tę nad nami niezaprzeną wyższość, że nas znają, gdy my powierzchownie ich tylko sądzić możemy. Stokroć trudniejsi do przeniknienia od australczyków, np.: „Jéj Cesarska Mość Wiochua," to nie dobra królowa Pomaré. Tam cywilizacya zaczątkowa, przezroczysta, tu wyrobiona, prastara, ale tak obca nam, daleka w niedostępnym dla nas wyrafinowanym kierunku, że jéj przeniknąć nie możemy tak łatwo. Kto wié, czy nie pochwycim słowa zagadki wówczas dopiéro, gdy to, co jest tam dopiéro zagadką, zwiędnie już pod europejskiéj cywilizacyi tchnieniem. Jak dziś na Babilonu, tak kiedyś na Japonii ruinach, czytać będziemy tajemnice istnienia i zaniku tego, co w niéj japońskiém było. Dziś zwierzchnie rysy, barwy, pociągają nas i w zdumienie wprawiają. Barwy się mienią przedziwnemi blaski, kształty w przedziwne wiją się linie, lecz mienienie się barw wywołujące odcienie, lecz sprężyny w ruch linie te wprawiające pozostają tajemnicą. Dla widza, dla naj-

---

[1]) Pisząca to miała zręczność przyjrzenia się zbliska jednym i drugim. W Jeziorach—pod Grodnem—własności jéj dziada, hrabiego Walickiego, był zbiór przepyszny wschodniéj ceramiki, spuścizna... dziś po stepach rozproszona, po podstolim Walickim. Przed kilku zaś laty zawiązała towarzyskie bliższe stosunki z bawiącą wówczas w Wiedniu legacyą japońską. Z panią, panem Watanabé, księciem Jamasaki i ich świtą, spotykała się przez kilka miesięcy codziennie; a możność porozumienia się z niemi w języku angielskim i francuskim ułatwiała rozmowę o najróżnorodniejszych przedmiotach.

baczniejszego, dla obdarzonego nawet poetyczną intuicyą, Japonia, jak każdy dom japoński, jak dusza i myśl każdego na europejski bodaj ład ucywilizowanego Japończyka, każdéj bodaj u Wortha ubranéj Japonki, przedstawia się jako misterne, o przedziwnie przystosowanych wsuwkach i zasuwkach pudełko. W pudełku o dnach niezliczonych widzim to, co nam zręczny chce pokazać kuglarz. Uderza nas sztuczność, że zaś Loti pozostaje wierny metodzie zasięgania „własnych wrażeń“ świadectwa, i tło i mnogi, różnorodny, pstrzący się na stronicach „*Madame Chrysanthème*“ personel, wywiéra i na czytelniku wrażenie postiszu i potichu.

Bohatérka powieści—to misterna laleczka, cacko wschodniéj ceramiki! Porusza główką o misternie napiętrzonych warkoczach, lecz co się w téj główce gnieździ? Składa i rozkłada drobne, przezroczyste rączęta... ale do jakiéj roboty? Gdy biega po swym białym domku, natrętne odpędzając myszy, nóżki jéj jak porcelanowe stukają o kartonowe dachy, i jak porcelanowa wygląda w księżycu promienia, idąc po wodę do źródła.

Nie tak, oj, nie tak wyglądała w księżyca promieniu, po okwieconych ścieżkach Taiti przechadzająca się Rarahu. Żywa tamta była, jak kwiat świeży giętka u boku rozmarzonego kochanka. Ta... ta obok kochanka zjawia się, jak na sprężynach nakręcona laleczka... Nie, nie marzy on przy niéj... pragnieniem nie ściga nieśmiertelności... nie jest upojony... nawet zmysły jego milczą... Śmieje się, bada, igra... żart to przelotny, kalambur niemal...

Nie, nie prawdę, mówił Schiller, że człowiek zupełnym jest wówczas, gdy igra. Nie, zupełnym wówczas jest dopiéro, gdy jest wzruszony. I człowiek i artysta...

Jego wzruszenia w „*Madame Chrysanthème*“ nie ma śladu. Nie ma tego tchnienia, o którém w „*Propos d'Exil*“ Loti mówi, że „rzeczom i krajom użycza barwy, rzucając na nie tajemniczych czarów blaski.“ Przeważył sceptycyzm. Leży on, jak to widzieliśmy wyżéj, w saméj naturze przedmiotu, lecz o ile naleciałości wieku, życia naleciałości, o ile na wybór przedmiotu wpłynęły?

Duszy ludzkiéj namiętny w „*Rarahu*,“ „*Fatougaye*,“ w „*Azyadé*“ poszukiwacz, o duszę nie zapytał japońskiéj laleczki: „*Madame Chrysanthème*.“ Szkoda! Jeśli kto, to Loti mógł choć za sam koniec skrzydełka japońską pochwycić Psyche... z pozostałych mu na końcu palców pyłków ileżby się wywnioskować dało!

V.

A namiętnym był dotąd Loti poszukiwaczem w duszy ludzkiéj tego odbicia nieba, o którém mówi poeta. Usiłował pochwycić je po przez zmysłów upojenia, krwi gorączkę, życiowe ewentualności, sumienia tak płonne, niestety! zamęty, po przez twarde, solą morską nasiąkłe oczka grubéj, piersi „Islandzkiego Rybaka“ pokrywającéj koszuli. Szukał jéj w woni kobiety-kwiatu Rarahu, na dnie ciemnéj myśli murzynki, w aureoli madonny rozbłysłéj nad Gaud czystém a majestatyczném czołem. Szukał w błękitnych źrenicach Sylwestra, w gasnącym „Starca“ wzroku. Policzył każde ludzkiego serca bicie, radość każdą, każdą boleść, wszystkie światła i cienie, aż do przelotnéj sensacyi przebłysku, aż do zmysłów omamień, sennych złudzeń, policzył i w dziele swém, z niesłychaném oddał natężeniem. Nie pominął żadnego wrażenia, fizyologicznego bodaj, co o psychologią zahacza.

Poszukiwaniem tém wypełnia pewną, w powieściopisarstwie francuskiém powstałą lukę.

„Staram się, — pisze on we „*Fleurs d'Ennui*“ — żyć pomiędzy ludźmi najprostszymi, pomiędzy tymi, co kwitną i rozwijają się jak rośliny, wydają owoc i umieją, gdy pora przyjdzie, odkwitać, opadać spokojnie.“

Takie właśnie dusze proste pominęła była obecna francuska powieść, lub téż brała je jednostronnie, uwydatniając jakiś rys szczególny, albo i naginając do potrzeb téj lub owéj tezy. Z jednéj strony godnemi badań wydawały się jéj takie tylko dusze, jak panów de Camors i całego legionu jego dziedziców, z drugiéj — wpatrywała się w te zbiorniki newrozy, chuci, histeryi, patologicznych zboczeń, które szkoła naturalistyczna obiéra za przedmiot swych psychiczno-społecznych studyów. Zdrowéj a prostéj, takiéj, co jak roślina na słońcu rozwija się, kwitnie, odkwita, nie ma może ani jednéj w całém obecném powieściopisarstwie francuskiém. Sama młodociana bohatérka „Marzenia“ (*Le Rêve*) jest histeryczką, chorobliwie—i niesmacznie—rozmarzoną. O wieleż zdrowszą, świeższą jest Rarahu! Ani Safo, ani Nana, ani Germinie Lacerteux, ani Julia de Trécoeurs, ani Sybila, nie dosięga miary typu. Każda z nich, bodaj w artystyczném udatna, w społeczném wierna znaczeniu, psychologicznie należy do wyjątków, pozostaje wyskokiem jeśli już nie saméj wyobraźni lub stawianéj przez autora tezy, to pewnéj wyłącznéj społecznéj sfery, pewnego momentu. Po za tą sferą i tym momentem ani przedstawić jéj sobie, ani zrozumieć nie możemy.

Loti za przedmiot studyów psychicznych obiéra sobie motywy i dusze proste, pierwotne, i z nich wytwarza typy. Są niemi: Spahis i brat Iwon, Jan Gaos i Sylwester Moan i czarna Fatougaye i Rarahu oliwkowa i biała, biała Gaud.

Czy te proste dusze są gminnemi, to inna rzecz. Nie są niemi i nie przez samę wytworne zalety pióra pisarza, ale w istocie swéj gminnemi nie są. Każda bo dusza ludzka jest subtelną, każda, najprostsza. Rzeczą poety pochwycić i wyłączyć z niéj to, co lotne, i lotność tę ściśle do duchowéj zastosować skali. Gdy nieoddzielny od niéj-że saméj promień przejmie najgłębsze bodaj, duszy ludzkiéj mroki, ociężały, zmysłami z ziemią wygnania skuty Spahis, będzie nietylko żywym i prawdziwym, lecz dramatycznym i posągowym; pijak Iwon obudzi współczucie, a poniekąd nie utraci naszego szacunku; odaliska Azyadé rozbroi cichą serca pokorą, Rarahu w naiwności i szczerości uczucia odzyszcze niewinność, Fatougaye, czarna, bezwstydna Fatougaye, doświadczona macierzyństwem i cierpieniem, ciśnie jak racę ognistéj miłości pocisk.

Czy te proste dusze są subtelne? Pomińmy już subiektywną subtelność kochanka Azyadé i oblubieńca Rarahu, a zastanówmy się nad typowemi powyżéj wymienionemi postaciami. Wiemy, że dwie są subtelności odmiany: sztuczna jest, jest i wrodzona. Subtelną niewątpliwie dusza pana de Camors, ale też subtelny, bardzo subtelny ciężki Spahis, subtelny zaprzepaszczony brat Iwon, subtelny, bardzo subtelny z jednéj bryły kryształu odlany Jan Gaos i młodociany Sylwester. Subtelną jest Sybila i Julia de Trècoeur, ale subtelnemi są też—kto zaprzeczy?—Gaud, Rarahu, czarna Fatougaye. Ile tam w tych prostych duszach tego wszystkiego, co najtkliwszém jest i najtkliwsze budzi wzruszenie! Ile dla najbardziéj złożonych dusz, niedostępnych często porywów, a ile tych delikatnych odcieni uczuć, co w prostych duszach uchodzą baczności pospolitego widza, a które oko artysty i poety podpatrzéć umié.

Wszystko to składa się na wytworzenie typu. Takich, jakiemi są, jakiemi autor zrozumiał ich i z doskonałą przedstawił nam plastyką, ludzi tych rozumiemy i wyobrazić sobie możemy śród innych, śród jakichbądź okoliczności, nietylko śród tych, śród których podobało się autorowi ich postawić. Poznajemy ich dokładnie i raz nazawsze.

Typy te nie są liczne u Loti'ego, na palcach policzyć się dadzą,—bo Loti posiada rzadką dziś powściągliwość i szczegółu i tworzenia charakterów. Za to szczegóły nie są u niego nigdy zbyteczne, a typy skończone są zawsze. Posiadają zresztą dziwną przezroczystość—nigdy, ani w psychicznem, ani w plastycznem znaczeniu nie bywają

mętne. Nadmienialiśmy już nieraz, w przebiegu téj pracy o przewiewności, powietrzności, jakie posiada twórczość Loti'ego. Przeciętny czytelnik, uderzony niemi, przypisuje je wyłącznie malarskim właściwościom jego pióra, mnogości krajobrazów i tym podobnie. Względy to drugorzędne. Istota wrażenia wypływa z powściągliwości pisarza, z odosobnienia i wszechstronnego oświetlenia typu, z przeniknięcia na wskroś badanéj duszy ludzkiéj, z czystości i prostoty szkicowych linii, podstawowych rysów.

Typy to wyłącznie ludowe: Spahis, brat Iwon, Sylwester, Jan Gaos, babcia Moau, Gaud. Po za temi ciżba żołnierzy, przekupniów, tragarzy, rybaków, — słowem, lud. Znalazł on też w Spahisie swój wyraz, znalazł w bracie Iwonie, w Sylwestrze, w Starcu wyrazy wierne, realistyczne, lecz bynajmniéj nie brutalne. Nie uderzają one odrazu wyobraźni czytelnika, jak ludowe typy Zoli, inaczéj-bo malowane i wyskokową nie odznaczające się potęgą. Nie bywają nigdy krzykliwém, a równie nieprzyzwoitém, jak wyszukaném ochrzczone imieniem. Nie są też w najmniejszéj mierze symbolem. Realizm Loti'ego bywa gruby, dosadnym podkreślony tu i owdzie rysem, nie bywa nigdy brudny, typy jego są zjawiskiem ludzi pospolitych i przeciętnych, amalgamatem dodatnich i ujemnych właściwości, wrodzonych i nabytych, dających się i nie dających przekształcić. Wszelkie zewnętrzne wpływy tego co się nazywa „*le milieu*,“- wszelkie wewnętrzne, aż do fizyologicznych nastrojów danéj chwili, są tu szeroko, bardzo szeroko uwzględnione, a pomimo to—pomimo ciążącego nad nim *fatum*, człowiek u Loti'ego nie jest bierną pastwą rzeczy, wybija się z pod ich władzy, nie licującą z niemi tęsknotą, wspomnieniem, pragnieniem. Popychany niemi, działa, pozornie przynajmniéj, na własną rękę. Natura ludzka nie została sponiewieraną, przyroda szarganą w błocie i spotwarzoną o rozbudzanie i nasycanie w człowieku samych zwierzęcych instynktów. W Spahisie przeważa męzka ludu siła, obok pewnego ociężenia. Dusza drzémie w sieci zmysłów, lecz tęskni i cierpi. Iwon— to rozrosłe, na poły tylko odpowiedzialne, świetnie uzdolnione niemowlę, któremu brak tego hartu, jaki dać może wykształcenie. Wobec różnorodnych wpływów otoczenia, nikną, w walce z niemi powszedniéj zwyciężone, dodatnie wpływy „starszego brata.“ Wpływy te jednak, owo „braterstwo“, podniecają ustawicznie przyrodzone zalety tego utrapieńca. W „Rybaku Islandzkim“ zaś Loti wzniósł ludowi francuskiemu przedziwnéj piękności pomnik. Budował go z realnych, czysto ludzkich pierwiastków, lecz zbudował odmienny, bardzo odmienny, a w poetyczności swéj wierniejszy chyba od tego cokułu z błota i hańby, chciwości i ani na chwilę, ani nawet w przesyceniu nie milknących

zwierzęcych chuci, jakim pierś swego ludu, niebacznie, niechcący zapewne, gwoli recepcie swéj szkoły, przytłoczył mistrz naturalizmu (*La Terre*).

Wierność psychiczną typów Loti'ego popiéra plastyczna ich siła, zasadzająca się zarówno na poetycznem wniknięciu i realistycznem obrobieniu.

Z kolei tedy nasuwa się pytanie, w jakiéj mierze realistą jest Loti? Że jest nim, nie ulega wątpliwości, sama jego opisowość i spostrzegawczość świadczą o tém dostatecznie. Widzimy nawet, że tu i ówdzie, w ofierze prądom czasu, składa rys grubszy, chociaż od prądów tych odrywają go ustawicznie, może potężniejszę, samą głąb jego talentu nurtujące prądy — wytworności.

Że wytworność się godzi z realizmem, dowiedli tego u nas Okoński i Sienkiewicz, we Francyi dowodzi Loti. Dotąd sądzono, a u nas płytcy czytelnicy i krytycy sądzą, że wytworność jest właściwością salonu a wszystko, co się dzieje lub zamierza dziać w salonie, wytworności nosi piętno. Loti przekonywa, że tak nie jest. Przekonywa i o tém, że po za salonem nie sama istnieje karczma, nie sam rynsztok. „Są przestworza mórz i lądów, dalekie są nieboskłony“. Krajobrazy niezliczone, słoneczne i pochmurne, południa i północy! Lasy cieniste, łąki zielone, góry, skały, a nawet, do zaczarowanych ogrodów podobne podziemia. Są rynki miast wielkich, są i zaułki. Są chaty i gorzéj niż chaty: bywają k o s z a r y. Ani zaułków, ani koszar nie pominął Loti, owszem rysował je z natury a bardzo różnorodne, pod rozmaitéj geograficznéj szerokości stopniami, rysował śmiało, zamaszyście z brawurą niezrównanego kolorytu, a jednak... nigdzie niemal nie przekroczył miary, granicy, przed którą cofa się artyzm. Vernon Lee mówi gdzieś, że geniusz ratuje szpetotę i Szekspirowi wybaczyć można Kalibana, Rubensowi jego trupy i w konwulsyach wijących się opętańców. Tak samo Loti'emu grubsze tu i owdzie rysy, jako to kobiét-szakali w Spahisie, zbyt dosadnéj charakterystyki rozrywek znudzonego w garnizonie żołdactwa, lub azyatyckich obyczajów, wybaczyć można gwoli jego wytworności wrodzonéj, nie nabytéj, nabyć się nie dającéj, co się ociéra o gminność i trywialność, tak jak dziewiczy Sylwester („Rybak Islandzki“) ociérał się o wybielone piękności trotuarów Brestu: „*Ici, garçon, ici*“.

Wytworność to ta, chociaż nigdy nigdzie nie wwodzi czytelnika do salonu i buduaru, nadaje utworom Lotie'go arystokratyczny odcień. Ten to odcień właśnie nie dozwala im spopularyzować się dość szybko w społeczeństwie demokratycznem, radykalnem, domagającem się de-

mokratyzmu tam nawet, gdzie nie jest możliwy, jako to w formie zastosowanéj do sztuki.

Loti'ego pociąga widocznie subtelna, wyrafinowana, na poły tajemnicza wytworność japońska. Pociąga, czaruje. Dość przeczytać opis cesarskich w Yeddo ogrodów (*L'Impératrice Printemps*) *„Rien de banal, par exemple!*—pisze—*rien qui ne soit extrêmement raffiné et rare. Dans un lieu tout à fait unique, une réunion de gens disparates au dernier point, mais en somme choisie*".

Sama banalność mu wstrętna. Nie popada téż w nią nigdy, nigdzie. Wyłączność, rzadkość, nęcą go i tylko instynkt poety, tylko realizm w tém, co realizm ma orzeźwiającego, jędrnego, ratują go od wycackania. Loti jest wytworny, lecz wcale, wcale nie wymuskany. Owszem, pozostaje surowym. „Romans Spahisa" i „Rybak Islandzki" są trzymane w tonie tego, co Francuzi zowią: *„le grand art"*, poważnym, surowym. Kładliśmy— i umyślnie — nacisk na to, że Loti jest realistą, i pytaliśmy w jakiéj jest nim mierze? Tylko że znów...

W samém rozumieniu realizmu zachodzi wielkie, a dla sztuki fatalne nieporozumienie. To co niedawno jeden z pierwszorzędnych mistrzów pióra pisał do „Niwy" z Konstantynopola o zachodach słońca, o grze barw i świateł Złotego Rogu i o... „psach zdechłych", jest właśnie tém wielkiém, a dla sztuki fatalném, nieporozumieniem. I to i tamto prawdą jest, jawą... co zaś godniejszym przedmiotem sztuki, co na czytelniku wywrze to podniosłe wrażenie, które wywiérać sztuki jest zadaniem?

I to i tamto prawdą jest i jawą, a w duszy ludzkiéj i najpowszedniejszego bodaj życia toku, są motywy odpowiadające téj i tamtéj jawie. Artysta wybierze zawsze motywy i prawdy piękniejsze, donioślejsze, bogatsze, kładąc na nie nacisk nieumyślny bynajmniéj, nie retoryczny lecz „naturalnego", że tak rzec można „doboru".

Bo czyż realizm zasadza się na malowaniu rzeczy szpetnych, brudnych, trywialnych? Czy nie ma być raczéj malowaniem wierném, z natury, ale i z tym przebłyskiem idealnym, co sztukę sztuką czyni? Dawniéj Grecya, późniéj w epoce odrodzenia, Włochy, dostatecznych dostarczają w téj mierze wskazówek.

Realizm przejawia się nadto w sztuce dwojako: w zrozumieniu przedmiotu i w wykonaniu. Któż wątpi, że Rubens, Tycyan, sam nawet miękki Carlo Dolce, znali anatomią? — znali lepiéj może od niejednego z tych realistów, co na trumnach i drzwiach cmentarnych kaplic kościotrupów malują.

Toż samo w piśmiennictwie. Wszystkie tajnie życia, przyrody znane, oj! dokładnie znane być muszą poetom i ta to tylko znajomość,

to uwzględnienie, wielkimi ich czyni. Bez téj znajomości pozostają bezsilni, jak niemowlęta, na niemowlęcego wdzięku zdobyć się tylko zdolni szczebioty.

Elementarne to prawdy, lecz...

Pospolitych, obałamucanych rzekoméj krytyki pomyłkami czytelników, uderza sam realizm formy. Gdzie tego realizmu nie ma, czytelnicy dzisiejsi wraz z dziewięciu-dziesięcioma krytyków, obwiniają pisarzy o romantyzm, arystokratyzm, sentymentalizm i Bóg wié o co. A na odwrót, gdzie forma jest realną, wszelkie kryjące się pod nią społeczne i psychiczne fałsze uchodzą niepostrzeżone. Ileż fałszów podobnych posiada rzekoma realistyczna beletrystyka!

Loti jest przedewszystkiém realistą, w zrozumieniu prawdy i jawy piękna. Jest nim téż we wniknięciu w przedmiot. Formę zachowuje wytworną i posługuje się w niéj realizmem tam, gdzie tego plastyka wymaga. Nie waha się stałe podstawowe linie obrzucać kwiatami, barwą, mgłą. Nie waha się być poetycznym, rozwiewnym nawet. Są tam stronice, wywierające wrażenie sennego widziadła, mirażu, haszyszem wywołanéj halucynacyi. Lecz uspokójmy się. Gruntu, realnego gruntu z pod nóg nie traci, tylko mistrzowstwo formy wywołuje to złudzenie, tylko je wywołuje pochwycenie we własnéj i w inteligentnego czytelnika duszy, tego czegoś, co w niéj jest rozwiewném, przywidzeniem, mirażem, halucynacyą, snem na poły, na poły jawą... Któż tych stanów nie zna, któż ich nie przebywa?...

Niejednokrotnie, w biegu niniejszéj pracy, dotykaliśmy malarskich zalet pióra Loti'ego. Są bowiem pióra o których mówią i słusznie, że są lapidarne, są inne muzykalne niby i są malarskie. Pióro Loti'ego tak dalece jest malarskiém, że czytając go same się widzi obrazy, barwy, promienie, mgły, czuje niby zimno i gorąco, niesłychaną podziwia powietrzność. Nikt w całéj literaturze francuskiéj nie jest takim, jak on pejzażystą, my mamy w naszéj Sienkiewicza. Malowniczość krajobrazową wprowadzili do piśmiennictwa francuskiego: Chateaubriand i George Sand, lecz jakże różnie rozumieją przyrodę! Loti rozumié ją jak kochanek, znający dokładnie wszystkie swéj kochanki wdzięki, niezliczone odmiany, aż do samych grozy uroków. Bliżsi już mu w odczuciu przyrody amerykańcy pisarze: Emmerson, od którego poszedł popęd, Walt Whiteman i Thoreau, przedstawiciele tak zwanéj „*out doors*“ literatury. Tylko nie posiadają ani w części takiego kolorytu, ani téż tak potężnéj poezyi podmuchu.

Pod temi dwoma względami Loti jest niezrównany. Malowniczość jego pióra nasuwa mimowoli porównania z malarzami. Czytając go, niepodobna np. nie myśléć o Peruginie. Jak u tamtego, kompozycya

nie jest zawiłą, ale za to co za barwność, jakie cieplo, jaka gra świateł i cieni, powietrzność jaka! Powietrzność Perugina i słodki, błękitny spokój Sasso Ferrato. Innym razem — to Ruysdael pióra, a niektóre karty z *„Fleurs d'Ennui“* i *„M-me Chrysanthème“* mają całą wymuskaną wytworność Vatteau i Wouvermanów. Gaud, niby z Holbeinowskiego wycięta płótna, a plac kościelny małego miasteczka, na który patrzy rozmarzona, z ram kamiennych swego okna wychylająca się dziewczyna w namiotce białéj, jakie to znów flamandzkie. A ten orszak weselny z grajkiem na czele, na skalistém pobrzeżu morskiém wichrem smagany... A morze, zwłaszcza téż morze! Ta tęcza, ta gama krajobrazów, których „Rybak Islandzki“ jest jednym, nieprzerwanym szeregiem, gama tak po mistrzowsku stopniowana aż do końcowego akordu burzy, tak przepiękna, rozmaita, że nigdy nie nuży czytelnika. Jakiż pędzel zdąży za tém bogactwem, tą rozmaitością opisów. A te wichrów wycia, ciszy szmery, jakiż odda je pędzel?...

W opisach Algieru, Afryki, pióro Loti'ego o lepsze walczy z pędzlem przedwcześnie zgasłego francuskiego malarza Gustawa Guillaumet. I ten malował Algier *con amore.* Zarzucano mu nawet, że jego kobiéty są za białe i za piękne. Fatougaye chyba z takiém się nie spotka zarzutem? Chciałoby się znów, by Japonią, Tonkin, Anam opisywane przez Loti'ego, ilustrował nasz Fałat. Pomiędzy naszym akwarelistą i francuskim pisarzem zachodzi bliskie pokrewieństwo duchowe, tak w zrozumieniu, jak i odtwarzaniu zjawisk przyrody i typów, a nawet w metodzie tworzenia. Wnikając z zamiłowaniem w dzieło jednego i drugiego, dostrzega się to pokrewieństwo. Realiści podszyci idealistami! Poeci zdolni podpatrzyć rys komiczny i pospolity! Ta sama pewność i zamaszystość rysunku w łowieniu przelotnych zjawisk, śmiałość i szczerość barw ta sama.

Przypatrzmy się tylko tym zadowolonym Chinczykom, siedzącym na pokładzie okrętu i tym gibkim, lśniącym, muskularnym, czarnym i oliwkowym torsom, ładujących dna statków tragarzy. Przypatrzmy się Ardenu zatoce, Singapuru żółtym wodom. Wpatrzmy się w tę pustą, znojem upału zgniecioną ulicę w Toledo... Wszędzie ten sam, obu im wspólny, obu zaszczyt przynoszący, istotny a nie sztuczny, z pięknem ściśle rachujący się realizm.

Na jednéj z akwarel Fałata, śród bezładu od niechcenia rzuconych szkiców stref podzwrotnikowych, wygląda blada, o ociężałych powiekach twarz Anamity. Jakże ona wiele, wiele mówi! Tak wyglądać muszą milczący, w białe szaty odziani, w potworne a tajemnicze swe bogi wpatrzeni bonzowie. Twarz ta wyłania się ze stronic utworów Loti'ego niejednokrotnie. O ten typ azyów! Jeśli prawdą

jest ta zahimalajska nasza kolébka, jakżeśmy od niéj daleko, daleko odbiegli.

Pod tą często aż zawrotnie śmiałą szkicowością, pod powodzią barw i świateł, pod temi obrazami tak znów gdzieindziéj odcieniowanemi, że się rysy zlewają i rozwiewają niby, tkwi zawsze pewność ręki wytrawnego rysownika i wówczas nawet, gdy wpadamy w otchłań mgły, świateł, ich gier opalowych, w otchłań powietrzną samą, i wówczas nawet, gdy w mirażu lub haszyszu ojczyznach, Loti probuje w czytelniku obudzić intensywne wrażenie jednego lub drugiego, bywa on plastycznie, malowniczo konkretny.

Żeby podobne wywołać wrażenie, takiemi posłusznemi sobie posługiwać się efektami, trzeba nielada zewnętrzne posiadać środki. Dla malarza tym środkiem są farby, których kombinacye i odmiany od jego zależą natchnienia. Dla pisarza jest nim język i styl, słów ograniczona liczba, których kombinacye, odmiany, ład zależą od natchnienia, a są tak indywidualne, że się aż wytworzyło przysłowie: „*le style c'est l'homme.*“

Słowa są to przezroczyste niby pryzmaty, które jak słońce kryształ, przenika w danym razie geniusz języka. Jak malarz farby na palecie, pisarz rozkłada, szykuje, miesza słowo i jak malarz z farb, wydobywa z nich barwę.

Trudno téż uwierzyć zaręczeniom krytyki francuzkiéj, by pisarz, którego pióro zadziwiającą posiada malowniczość, nie znał własnego języka. Trudno! Wprawdzie językowe i stylowe subtelne usterki wymykają się z pod badań cudzoziemców, ale bądź co bądź, nie wymyka się ta giętkość słowa, to bogactwo w oddaniu uplastycznienia niepochwytnych nieraz odcieni. W opisach Loti'ego z pogodą i barwą obrazu zmienia się samo *tempo* stylu, a rytmiczność tego stylu jest szkopułem dla oczarowanego i wsłuchanego w nią tłómacza. Oj! oj! czy w téj tam krytyce zarzucającéj mu nieznajomość ojczystego języka, nie było czasem nieco złéj a nieszczeréj woli, nie akademickiéj już, lecz po prostu bakałarskiéj szykany.

Aby do takiéj dojść obrazowości i malowniczości, trzeba miéć nadto bogatą wyobraźnią. Nietylko trzeba widziéć, trzeba nadto umiéć patrzéć i umiéć pamiętać. Trzy czwarte uczestników w tonkińskiéj wyprawie nie dostrzegło najpewniéj tego, co widział Loti. Ocierali się o to co dzień i nie dostrzegli. Wyobraźnia jest dopiéro tém optycznem narzędziem, co chłonie obraz i przeistacza w dzieło sztuki. Im głębszą będzie o szerszym rzucie spostrzegawczym, tém obraz wyjdzie pełniejszy, wierniejszy.

Nasuwa się z kolei pytanie, co do saméj opisowości i miejsca, ja-

kie w powieści zająć winna. Szablonowe wymiary nie byłyby tu stosowne. Chemia sztuki, jak chemia przyrody, posługuje się nieokreślonemi z góry miarami i wagami, i gdy całość dodatnie wywiéra wrażenie, stosunek wzajemny składowych części na dalekie usuwa się plany.

Kwestya opisowości tak często jednak poruszaną bywa, że milczeniem pominąć jéj nie wypada wobec miejsca, jakie opisowość zajęła w dziele Loti'ego.

Powieść jest parafrazą dramatu. Z tych samych, co dramat, winna się składać pierwiastków, z dodatkiem opisowości, któréj dramat nie znosi, która w nim osłabia akcyą i zawsze chybionym bywa efektem. W powieści opisowość jest pasmem wiążącém powieść z eposem, jest tém, czém przy śpiewie muzyka: wtórem, akompaniamentem, nadaje i podtrzymuje ton. Nie ma wątpliwości, że akompaniament melodyi głosu głuszyć nie powinien, a nadużycie zwłaszcza krajobrazów, osłabia akcyą w powieści. Z tego względu jest bezwątpienia za wiele opisowości w Loti'm. Sama piękność obrazów jego odrywa i rozprasza uwagę czytelnika. Dramatyczność téż powieści Loti'ego nie polega na akcyi, lecz tkwi raczéj w założeniu psychiczném. Właściwie mówiąc i ze stanowiska powieściowego rozważając, utwory te są pozbawione akcyi jednolitéj. Są raczéj szeregiem obrazów i stanów duszy, lecz posiadają zarazem i ten rys realistyczny, co tak wiernemi je czyni, i ten liryzm, co takiéj użycza im poetyczności i tę dramatyczną zawięź, bez któréj obraz wrażenia nie wywiéra. Można téż i trzeba zarzucić utworom Loti'ego wady kompozycyi, rozluźnienie, do którego opisowość nie mało się przyczynia! W samym „Rybaku Islandzkim“ pisarz zachował stopniowanie potęgujące wrażenie. Są to zapewne zarzuty poważne. Tém nie mniéj dzieła Loti'ego wzruszają do głębi. W tym to może głównie względzie wypełnia on lukę w obecném piśmiennictwie francuskiém. Wzrusza bo przekonany, wzruszony, subiektywny.

Psycholog wdziéra się w głąb duszy i dotyka strun wiecznie w niéj dźwięczących, podstawowych, nie zaś społecznemi napiętych kwestyami. Podmuchem wielkiego uczucia i bujnéj fantazyi odrywa od ziemi, a rzadkiemi plastycznemi i malarskiemi zaletami przemawia do oka i wyobraźni czytelnika. Realista, tak, realista — bez tego nie miałby żywotnéj siły!—ale rozkochany w pięknie, rozumiejący piękno, wydzielający je z prawdy wszelakiéj; myśmy tak piękna spragnieni, tak go nam skąpo wydzielają najgienialniejsi dzisiejsi pisarze! Do Loti'ego zastosować można to, co Wiktor Hugo mówił o Szekspirze: *„Montre moi ton pied géni et voyons si tu as de la poussière terrestre.“*

Jest ten pył, ślad ziemi, bez którego obcym się nam staje sam ge-

niusz. Jest. Nie ma tylko szkolniczego, grubego balastu, tamującego siłę rzutu tego na wskroś poetyckiego talentu.

Do żadnéj nie wszedł szkoły...

Czy pamiętacie klechdę o téj pokojówce, co pod nieobecność swéj pani, używanego przez nią, odmładzającego eliksiru połknęła taką dozę, że aż w niemowlęctwo popadła?

Heine przed laty, przed wielu, klechdę tę do romatycznéj stosował szkoły.

I to niemowlę wzrosło, postarzało, zwiędło. Okazała się potrzeba zażycia na nowo odmładzającego nektaru... Ma nim być realizm... Ostrożnie!

Jest inna baśń jeszcze, stara, oj stara! Przed laty, przed wielu, opowiedział ją słynny mąż bogatéj afrykańskiéj wdowy. Baśń o tym biédaku, co, chcąc zamienić się w ptaka, wypił dekokt zmieniający go w uparte, ociężałe stworzenie...

Szkoły! Loti nie wszedł do żadnéj...

Na cennym mym wachlarzu czytam:

„Szkoły w literaturze są to omnibusy; kto ma własne konie, ten niemi nie jeździ.“

Z arystokratyczną swobodą talentu rzucony aforyzm, podpisany imieniem Henryka Sienkiewicza.

I Loti ma własne konie, ogniste, nadpowietrzne rumaki. U wielkiego niedawno jeszcze, — dziś śród walk szkolarskich przygasłego ogniska powieści francuskiéj porwał zarzéwie... Roziskrza je tchnieniem dobrze zrozumianego realizmu i niepospolitego, niezależnego talentu.

Grodno, luty, 1889 roku.

Wila Zyndram-Kościałkowska.





GŁUCHY MICHAŁ.

Głuchy Michał liczył trzydziesty rok życia, jak mu biéda tak we wsi Rozdołach dokuczyła, że postanowił porzucić łaskawy chléb gromady, a wyszukać sobie, jaką, choćby najkrwawszą służbę.

Pewnego téż wiosennego poranka, z tém silném postanowieniem w głowie obudził się w oborze sołtysa Salamandry, który mu dawał nocleg w zamian za różne małe wysługi.

Głuchy Michał bowiem nosił czasem papiery do kancelaryi gminnéj, gdy sołtys miał pilne roboty w domu, około roli.

Przetarł oczy, zerwał się z barłogu słomy, leżącego między ścianą a krową „Mordulą", i wybiegł do drzwi, w których progu stanął.

Słońce dopiéro co wysłało na świat swoje pierwsze blaski, zaświéciło brylantowym łyskiem rosy na polach i łąkach, ozłociło chmury i w kłos rozwijające się jęczmiona.

— Śliczny dzionek! — zamruczał Michał, zarzucając na siebie starą sukmanę. Nałożył na głowę szeroki słomiany kapelusz i pobiegł lekki jak pióro ku strumykowi, który po pod zagrodą Gorzenia, wśród kilku brzózek wpadał do rzeczki.

Nikogo w drodze nie spotkał, bo jeszcze chłopi się nie ruszyli.

On tylko wstawał zawsze najwcześniéj, a dnia tego jeszcze wcześniéj, niż kiedykolwiek, bo głowę miał nabitą projektami tlejącemi w niéj od lat, ale które teraz dopiéro do skutku doprowadzić postanowił.

Chłopi w Rozdołach nie dawali mu dobrego słowa, nazywali go głuchym Michałem, choć wcale głuchym nie był, jak stary Fedko Bazarnik lub Stypulina.

Niedosłyszał wprawdzie na lewe ucho, od czasu, kiedy dzieckiem będąc wpadł był w osuszoną studnię, ale nie był głuchym.

— Głuchy Michał! ciewy? — idąc nagle zamruczał i przystanął. Oparł się o płot, za którym bielały, jak panny młode, czereśnie i wiśnie, i zadumał.

— Co on miał na wsi robić i żyć z łaski i żebrać strawy i odzienia, gdy nadchodziły śniegi i mrozy? Albo to on nie miał rąk zdatnych do pracy, które podnosiły wóz w drabicach u sołtysa, gdy go chciał nasmarować, jadąc na jarmark? Albo to on nie miał nóg zdrowych, co chyżéj biegały po pastwisku, niż „bułany“ Gorzenia, gdy się rozbrykał i prosto w szkodę, lub w pańskie niwy pędził?

Bardzo się zasępił i zamyślił, bo zapuszczając błędny wzrok w dal, ku niwom i polom stał nieruchomy, dłubiąc tylko palcami w nosie i wzdychając od czasu do czasu.

— Co on miał na wsi? — myślał — żałowali mu mléka, wyrzucali mu chléb, który darmo jadł, poniewierali nim, jak jakim najdą, a on najdą, ani cyganem przecież nie był. Ojciec jego miał zagrodę w Rozdołach, a matula, co go dzieckiem odumarła, z dawności, z ojców i dziadów Rozdolską była. A wczoraj parobek od Iwaniaka nawymyślał mu pod karczmą, do bicia się czepił, a gospodarze ino się śmiali.

Głuchy Michał otrząsł się. Przeleciała mu przez głowę jakaś myśl, jak błyskawica, bo uśmiechnął się do niéj i poskrobał w głowę tak, że aż kapelusz mu z niéj zleciał.

Nie podnosił go, tylko się zamyślił.

Wczoraj był słyszał, że we dworze chłopak od stadniny uciekł. Dwór ciągle miał kłopot z tą stadniną, bo to w niéj konie były już, a nie łoszaki, bestye jak hamany, szkódne i uparte. Nikt nie chciał, żeby go tam ze skóry darto, iść do stadniny na pastuchy. Była to krwawa praca pilnować tych konisk, aby się nie rozbrykały i niepoleciały „światami“. Albo téż zganiać je z pastwiska i zastępować drogę, gdy źrebiec jaki zbaczał z wygonu. A co trzeba było nahajek wycierpiéć od polowego, gdy bestya która wlazła w pszenicę. A ekonom ile razy plecy wygarbował, gdy się w polu zaspało, a konie się porozchodziły, kiejby robactwo, zapozwoleniem, w kożuchu.

Tak myślał Michał i stał. A słońce coraz wyżéj się wznosiło, ptaki coraz głośniéj świérgotały i z chałup wysuwały się powoli krowy, dążące na pastwisko.

— Michał! głuchy! niezdaro! co stoisz? ot lepiéjbyś mi zagnał chudobę do strumienia—odezwał się donośny głos z za płota i obudził chłopa z zadumy.

Zerwał się, poznał głos skąpéj Woźniakowéj, podniósł kapelusz i odparł:

— Zaganiajcie sobie sami! Co człowieka napastujecie? nie macie nóg, czy co?

— A ty najdo jeden! ty zbereźniku! ty zbóju! ty... — wołał głos baby z za płota, wzburzonéj hardą odpowiedzią Michała.

Ale on już szedł daléj i zdawał się nie słyszéć całéj gadaniny.

— Co będzie, to będzie! — mruczał tylko pod nosem i przyśpieszał kroku.

Na jego młodéj twarzy, opalonéj promieniami słońca, ozdobionéj długiemi złoto-blond włosami, malowała się decyzya.

I w ruchach jego była ona do odgadnięcia, bo Michał tak zamaszyste walił kroki, że w dal odbijało się klapotanie jego bosych nóg o wydeptaną ścieżkę.

Nad strumykiem stanął, i rozejrzał się po łąkach, na których już paradował bocian szukający żabki dla swéj samicy, co siedziała w gnieździe na jajach.

Zastanowił on głuchego Michała, bo mu się długo przyglądał, a wreszcie zaśmiał się serdecznie i na całe garło wołając:

— A to bestya! jak to temi nogami sztychuje, a dziobem sobie dopomaga. Co to pan Bóg wydziwia? takich sobie tworzyć... ha-ha-ha... kiejby dziedzic jaki, czy ukonom...

Obmył się w strumyku i krokiem pośpiesznym podążył wprost ku dworowi.

— Co będzie, to będzie! — mruczał — przystanę do stadniny. Niech dziedzic nademną przewodzi a nie caluśka gromada. Pałki, czy nahajka?... albo mi to jakie nowości, małom ich się nabrał? ho! ho! Człek zarobi na buty i sukmaninę... Głuchy Michał! ciewy?

II.

Tegoż samego dnia jeszcze, głuchy Michał zgodził się we dworze i pasł stadninę aż do zachodu słońca.

A pod noc tak się uczuł zmęczonym, jak nigdy.

To téż, gdy legł na słomie razem z stajennymi, nic nie uważał na ich śmiechy, uwagi i kpiny.

Mało ich nawet dosłyszał, ale wiedział tylko, że zbereźniki z niego drwiły.

Michał bowiem, chłop już silny i nie lekki, zabawnie wyglądał, gdy zaganiał źrebięta i irytował się na rączejsze konie.

Usnął wśród gwaru w ciemnéj stajni i spał kamieniem do pierwszego brzasku.

Mimo to, iż zwykle bardzo w czas się budził, nazajutrz rano, przecierając oczy ze zdziwieniem spostrzegł, że w stajni go uprzedzono.

Ten i ów się już wokoło koni kręcił, a inni ziéwali i przeciągali członki.

Nagle Michałowi zdało się, że go ktoś woła. Zerwał się na posłaniu i słuchał. Wyraźnie, pod stajnią, za zamkniętemi wrotami odezwał się powtóre głos dziwny:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek podniósł się w okamgnieniu i zawołał z przerażeniem:

— Kiejby kto wołał!

Śmiéch zabrzmiał w stajni. Jedni śmieli się cichaczem, inni głośno, a największy psotnik i najstarszy z chłopaków, pomocnik furmana, Antek, odezwał się:

— A juźcić! wołają was ekunom czy rządca może. No, biegnijcie!

Michał już skierował swe kroki ku drzwiom, z po za których głos dochodził, gdy go śmiechy chłopaków zastanowiły.

— Cóż ta się śmiejeta?—zapytał zdetonowany.

Ale równocześnie odezwał się znów głos tym razem wyraźniejszy i jeszcze, jakby bliższy:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek, nie namyślając się dłużéj, odryglował drzwi i wybiegł, słysząc za sobą wesołe śmiechy.

Rozejrzał się dokoła. Nie było nikogo. Dopiéro się rozjaśniało.

Słońce obrzucało strumieniami światła i blasków zielone kląby drzew, białe mury dworu.

Był to nowy dla Michała widok, zastanowił go téż.

Wschód słońca w tym, ręką ludzką utrzymanym ogrodzie, inne robił wrażenie, niż na wsi, wśród pól i dziczy.

W kląbach drzewa, odcieniami swéj zieleni dobrane, uśmiéchały się różnémi tonami do słońca, a rosa na gazonach robiła wrażenie posiewu drobnych szkielek.

Nad dużym stawem wznosiła się mgła do góry i rozjaśniała dalsze tła obrazu.

Chłop zachwycony tym widokiem stał chwilę w drzwiach od stajen nieruchomy, ale niedługo, bo tuż nad nim zabrzmiało jeszcze donośniejsze dwukrotne wołania:

— Mi-choł! Mi-chooł!

Parobek podniósł głowę i otworzył szeroko usta.

Na rosochatéj wierzbie, zachodzącéj jednym konarem na dach stajni, trzepotała skrzydłami pawica.

Michał zaczął się jéj przyglądać, pierwszy raz w życiu widział takiego ptaka, z białą główką i takim zabawnym czubem.

— Toż to także bestya! — zamruczał i przyglądał się jéj szarawym piórom.

A chłopaki wybiegły do bramy i stanęły za nim.

— Któż was wołał, Michale?—huknął nad nim jeszcze Antek.

— A juźcić — odparł parobek — dwa razy wołał, a nikogosik nie widać.

I zakłopotany poskrobał się w głowę i rozglądał na prawo i lewo, ale żywéj duszy widać nie było.

W tém znów zabrzmiało tuż nad nim:

— Mi-choł!

Chłop ogłupiały, podniósł raźno głowę, a pawica, wyciągając swoją cienką szyję, kończyła:

— Mi-chooł!

— Czy licho jakieś, czy co? — zawołał Michał wściekły — toż to ta bestya się tak darła, a żeby cię...

Klął daléj, wracając do stajni, zażenowany, zły, jak wszyscy dyabli, ale sam z siebie się śmiejąc. A chłopaki kładły się od radości.

— Głuchy Michoł! głuchy Michoł!—wołano.

A chłop zawstydzony zawołał:

— Cóż się śmiejeta? zbereźniki! toż każdegoby ta bestya oszukała, komuby Michał było na przezwisko.

A Antek dodawał:

— Wiécie co, Michale? toż wam teraz żawdy trzeba będzie wartować, bo nie pomiarkujecie, czy was dziedzic, czy pawica wołają.

W stajni śmiano się do rozpuku, a zły i zafrasowany Michał zabiérał się do rannego obrządku.

Gdy chłopaki i inni poszli do czeladniéj kuchni na śniadanie, Michał pozostał w stajni.

A gdy się przekonał, że nikt go już podejrzyć nie może, bo nikogo w budynku nie było, wyszedł do bramy i rzucił oczami na wierzbę.

Ale na wierzbie było pusto.

Rozejrzał się dokoła.

Pawica siedziała na płocie, Michał zaś usiadł na progu i długo się jéj przyglądał.

— Kiejby teraz bestya chciała jeszcze się zadrzyć—mruczał.

Ale pawica już przywitała słońce, spokojnie sobie siedziała, zaglądając dzióbem między skrzydła i upatrując robaczków na ziemi.

Michał wstał, podszedł ku niéj i obchodził ją dokoła, i w nosie dłubał, i dumał.

— Ciewy! ciewy! — mruczał — nie gęś, nie indyk... ptak sobie, a drze się tak kiejby Gorzeniowa, gdy chce, bym jéj drew urąbał... Dziwota...

Powrócił do stajni, wyjął ze swéj sukmany, która mu służyła za poduszkę, kawał razowego chleba i z nim powrócił do pawicy.

Ta już zeszła z płotu i chodziła kiwając głową po trawniku. Widząc, że Michał je, podeszła ku niemu.

Chłop co drugi kęs jéj rzucał i mruczał tylko.

— No, zadrzyj-że się bestyo!

Pawica gdakała tylko do chléba, ale się już odezwać nie chciała.

Odtąd największa zapanowała przyjaźń między Michałem a pawicą.

Skoro tylko ta odezwała się do pierwszych promieni wschodzącego za gajami słońca, Michał się budził i zrywał,—choć już wiedział, że to nie ekonom, ani rządca, tylko pawica woła.

Dzielił się z nią chlebem i sérem, gdy go dostał. Szukał jéj, gdy się czasem na uczty spóźniała. A gdy go nikt nie słyszał, a ptak mu się gdzie zapodział, to wołał:

— Pawiu... pawiu... pawiu...

W stajni śmiano się z niego, a drwiono jeszcze z jego pomyłki, ile razy pawica w dzień, czując deszcz, zawołała.

Ale „głuchy Michał“ nic sobie z tego nie robił. Jemu się zdawało, że pawica jakoś inaczéj, przyjemniéj, czuléj, żałośniéj, niż ludzie, wymawiała jego przezwisko.

A czasem, to i pawica, zapomniana nadzwyczajnym wypadkiem przez chłopa, podchodziła pod stajnią i krzyczała:

— Mi-chooł!

Wtedy Michał wybiegał z przygotowanym już chlebem i mruczał:

— Ot... ptaszyna, nie woła „głuchy Michał,“ a taj słyszę.

Przyjaźń się utrwalała.

III.

Od niejakiego już czasu Michał spostrzegał pewną zmianę w zwyczajach i obyczajach pawicy.

Bardzo to go frasowało. Przemyśliwał nad tém długo, gdy brzuchem do ziemi godzinami leżał na pastwisku pod miedzą od bujnéj pszenicy.

Stąd też i konie wpadły czasem w szkodę, a raz to tak się był

zamyślił nad faktem, iż pawica rano, nie czekając na śniadanie, gdzieś znikała, że, gdyby się był w ostatniéj chwili nie był spostrzegł, cała stadnina byłaby przeszła Rozdolską granicę.

Utrapienie jego jednak dopiéro większe przybrało rozmiary, gdy raz rano, nie usłyszawszy głosu pawicy, się obudził.

Wybiegł czémprędzéj ze stajni, już dawno słońce z za gór wyjrzało. Spojrzał na wierzbę, na któréj wietrzyk poruszał gałęziami rosochatego konara, ale pawica na niéj nie siedziała, jak zwykle.

Dokoła przerażony rozejrzał się, ale nic widać ani słychać nie było. Panowała cisza, którą ziemia uroczyście wita swego pana.

Michał się zasępił, nadstawił prawego ucha, azali nie usłyszy gdzie „*gdy... gdy...*“ pawicy, która gdakać miała zwyczaj, gdy go zobaczyła.

Nic! cicho dokoła.

Przypomniał sobie, że już wieczór poprzedniégo dnia nie zauważył przyjaciółki na gałęzi.

Zresztą nie pamiętał, bo wracał był z kuchni w stanie rozdrażnienia, spowodowanym drwinami czeladzi, a o téj porze zwykle sprawdzał obecność pawicy na swojém miejscu.

— Może przepomniałem...—mruczał w rozpaczy.

Obiegł ogród cały, zaglądał w krzaki i parzące pokrzywy, i nigdzie nie znalazł pawicy. Spotkał był wprawdzie pawia samego, jak swą długą szyją sięgał do porzéczek na krzaku, jedném okiem na niego zerkając, ale ten go nie obchodził.

Przygnębiony, zamyślony, z jakiémś uczuciem troski, którego nie znał, powrócił do stajni i wypędził w pole stadninę.

Po drodze spotkał starą kucharkę, jak niosła wodę ze studni.

— Nie widzieliście ta gdzie pawicy? — zapytał jéj pokornie i na pozór obojętnie.

— Pawicy? — odpowiedziała baba przystając — jakto! zczezła? a toż prawie tak, jak t a k r o k u ją psy zagryzły.

Michałowi aż w piersi serce zakołatało, ale nie było czasu na zatrzymanie się, bo gniada źrebica już wymijała stado, a trudna z nią była sprawa, gdy się rozbrykała.

Michał téż wołając, strzelił z bata, wskoczył na siwulę i pognał w pole.

Gdy wrócił na południe, nie zastał pawicy. Nie zastał jéj téż i wieczór, ani nazajutrz rano, ani przez całe dwa długie dni.

— Cóż się z nią stało... ale wróci — mruczał, chowając dla niéj w żłobie kawałki chleba i séra, i gryząc się tak, że mu wszystko obmierzało.

Coś mu wciąż brakowało, a południowe godziny, w których zwykle légał pod wierzbą i przypatrywał się pawicy, jak dokoła niego chodziła i tą szyją kręciła i gdakała, wydawały mu się strasznie długiemi.

Z pola wracał tylko ochoczéj, niż zwykle, bo w nadziei, że zastanie czekającą nań pawicę.

— Przecież zginąć, bez śladu, na wieki nie mogła—myślał.

Aż trzeciego dnia, wróciwszy z kuchni, położył się pod wierzbą i myślał o swém frasunku.

W tém zdało mu się, że słyszy ciche:

— *Gdy... gdy...*

Zerwał się jak oparzony. Pawica nad nim stała i kręcąc głową to na prawo, to na lewo, ciekawie mu się przypatrywała.

— Pawiusia... pawiusia moja... — zaszeptał Michał cichutko, bojąc się, by go kto nie podsłuchał i wyciągnął do niéj swą żylastą rękę.

— *Gdy...* —odpowiedziała mu tylko pawica i zwykłym swym ciekawym a trwożnym ruchem głowy, zajrzała w rozwartą dłoń Michała.

— Głodnaś moja biédna! — zawołał chłop, zerwał się i pobiegł do żłobu.

Całe zapasy wysypał przed przyjaciółką, a ta gdakaniem, jakby mu dziękując, łapczywie je pożerała.

Nagle nie dokończywszy przysmaków, mimo nawoływań Michała, zaczęła się powoli oddalać i wkrótce w gęstwinie zachwaszczonego kląbu zniknęła.

A Michał stał zadziwiony i mruczał:

— Co się bestyi stało? Jakiż zbereźnik musiał ją nastraszyć, czy co u licha!

I znów trzy dni nie było pawicy i znów się ni stąd, ni zowąd pojawiła.

Michał zachodził w głowę, coby to miało znaczyć.

A tak przywykł do jéj rannego krzyku, do dzielenia się z nią chlebem i sérem, do cichéj poufnéj z nią rozmowy, że mimo to, iż wiedział, że żyje, smutno mu było i tęskno.

Pawica nadto chudła, pióra jéj traciły połysk, szyja się wyciągała, główka z trzema piórkami malała, a oczy jéj nabierały jakiegoś wyrazu zmęczenia i niepokoju.

Głuchy Michał zauważył nawet, że inaczéj gdacze, jak gdyby z zaschłego i chorego gardła.

Nie zwierzył się nikomu ze swych smutków, ale postanowił rozjaśnić tajemnicę, jaką się od pewnego czasu otoczyła się jego przyjaciółka.

Za pierwszym też razem, gdy pawica, nie dokończywszy rozrzuconego przed nią chleba, w krzakach zniknęła, Michał podążył za nią.

Pawica szła powoli, wsuwając się popod liście łopuchów i między wybujałe pokrzywy, a Michał zdala, śledząc każdy jéj ruch, każde poruszenie się chwastów i krzaków, szedł za nią.

Zachodził w głowę, coby miał znaczyć ten pochód pawicy, jakby umyślnie przez najgęstsze zarośla, osty i kolce.

Szła zygzakiem, jakby mu zmylić chciała pogoń, to przystawała i wyciągała szyję, trwożnie się rozglądając, czy jéj kto nie śledzi.

Wtedy Michał zapierał oddech w piersi i wystawiał jedno oko tylko ponad trawy i łodygi roślin.

Wreszcie pawica wsunęła się popod gałęzie rozłożystego świerka, które leżały na ziemi i szpilkami swemi broniły do pnia drzewa przystępu.

Michał przystanął.

Wszystko ucichło, liście daléj się już nie poruszały, pawica widocznie pod świerkiem została.

Chłop jednym susem podskoczył, odsunął, swą nieczułą na igły ręką, odwieczną gałąź i stanął pod świerkiem.

— A szelmo!—zawołał i urwał.

Pawica siedziała, i wyciągając szyję i rzucając pełne trwogi na Michała wejrzenia, cicho szepnęła pełne przerażenia:

— *Gdy...*

Michał sięgnął ręką do niéj.

Pawica jednak, do téj ręki tak przyzwyczajona, przeraźliwie krzyknęła, zerwała się i odsłoniła chłopu trzy jaja, w mchu misternie ułożone.

Michał osłupiał. Długo stał nieruchomy nad przyjaciółką, która powoli zajmowała nazad swe na jajach miejsce.

Wreszcie zamruczał rozrzewnionym głosem.

— Toć to siedzi na jajach! mocny Boże!

I cicho, jak najtroskliwszy ojciec, odsunął gałąź i na palcach oddalił się od świerka, zupełnie inną drogą, aby zatrzéć wszelki ślad do ustronia swéj przyjaciółki.

Odtąd Michałowi życie daleko miléj płynęło, bo nietylko, że wciąż myślał o tych stworzeniach, które z jaj wyjdą, ale nadto niecierpliwie czekał dnia tego.

Nieraz na pastwisku po kilkogodzinnéj zadumie, otrząsał się i mruczał.

— Jakie to to będzie? takie maleństwo? czy też temu odrazu ta-

kie piórka wyrosną na głowie? a czy téż to odrazu będzie wołać: Micholł! Dziwoty! dziwoty!

Niezaglądał do pawicy, aby jéj nie niepokoić, tylko codzień szerokiém kołem obchodził świérk dokoła, ażali nie ma na trawie śladów stóp ciekawego nieprzyjaciela.

A bał się szczególnie Antka.

— Ten Antek zbereźnik! gdyby wiedział!

IV.

Ale radość głuchego Michała niemiała granic, gdy pewnego dnia, po długiém oczekiwaniu, pawica zagdakała pod stajnią.

Właśnie był przygnał stadninę z pola i zaganiał ją do właściwych przegród, gdy mu się coś tak zawidziało, jak gdyby słyszał „*gdy...*“ pawicy.

A równocześnie mignęło mu coś żółto-szarego w roztwartéj bramie.

Opuszczając robotę, wybiegł z gwałtownie bijącém sercem.

Nie omylił się.

Pawica stała i wesoło do niego wynędzniałą główkę wyciągała, a wokoło niéj trzy małe pod brzuchami żółtawe ptaszki szukały czegoś po ziemi.

— Oj rety! rety — zawołał Michał, wybuchając śmiéchem radości — taż bestya wszystkie wysiedziała... dobra matka! toż to ciekawe ptaszyny... oj rety! rety!

I zamyślił się głęboko, stojąc nad rodziną przyjaciółki.

Pawica wyglądała dumna i szczęśliwa. Czytał to w jéj trwożném o małe, ale szczęśliwém wejrzeniu.

Ile razy które z pawiątek odbiegało, zastępowała mu drogę i nawracała je do Michała, jakby pragnęła, aby je wszystkie dobrze obejrzał.

Chodziła pomiędzy niemi i od czasu do czasu odzywała się tylko:

— *Gdy...*

A pawiątka biegały, drobiąc kroczkami i piszczały, zdziwione tém nagłém powołaniem ich do życia.

— *Pi... pi... pi...*—rozlegało się dokoła Michała, który widząc, że ptaszyny dzióbki otwiérają, przykucnął i nadstawił prawego ucha, dopomagając sobie ręką.

Nagle radość znów okrasiła jego oblicze i zawołał:

— Toż bestye już gadają! oj rety! rety!

I pobiegł po zapasy do żłobu i wydziwić się nie mógł, że pawią-

tka rzucały się na drobne okruszyny chleba, które matka im rozdrabiała.

Tak minęła godzina obiadowa i gdy chłop przyszedł do kuchni, nie zastał już w niéj nikogo prócz staréj kucharki.

Długo się namyślał, aż wreszcie zagadnął.

— Wiecie co, Leonardowa?

— A co?

— Nie powiecie nikomu?

— A cóż takiego?

— Ale nie wygadacie?

— Cóżbym miała wygadać? albom to taka niepowstrzymana?

Michał westchnął, a kucharka rozdrażniona tém czekaniem, zawołała:

— To gadajcie głośno, głuchy Michale! bo nic nie słyszę.

Michał zniżył głosu i mówił tajemniczo:

— Pawica wyszła z trzema pawiątkami.

Kucharka spojrzała na niego, jak na waryata, przystanęła, opuszczając rękę z warząchwią i wpatrzyła się w chłopa.

— Toście mieli mi powiedzieć? — zapytała.

— A ino!

Baba poczerwieniała ze złości.

— A żeby was stary, głupi! głuchy! siarczyste pioruny... a żebyście nie dożyli! tak mnie zestraszyć i rozciekawić! Ot głuchy! pawica mu wyszła? ciekawość, micyje! A!... niezdara!... Ja tam mam czas słuchać o waszéj pawicy! żeby was!

Kucharka, spodziewająca się z przedmowy Michała jakiéj ciekawéj nowiny o ekonomie lub szafarce, nie mogła się uspokoić i daléj, na czém świat stoi, wymyślała Michałowi.

Ale ten niedługo jéj słuchał, bo prędko zjadł obiad, pół porcyi swego grochu w szmatę zawinął i wybiegł z kuchni.

Gdy wrócił do stajni, nie zastał już pawicy: poszła w ogród. Widział ją, jak za płotem od grzęd warzywa zaganiała swe małe, ginące jéj wśród główek kapusty.

— Michał głuuuchy! — zabrzmiało na gumnie — a staadnina, wyganiaj!

Parobek się zerwał. To ekonom darł się na podwórzu na niego.

Jeszcze raz pożegnał tęsknym wzrokiem pawicę, wsiadł na siwą i pognał szerokim wygonem, aż ziemia dudniała.

— I jemu „głuchy Michał“ — mruczał galopując na szkapie — głuchy, a słyszy, jak pawiątka *pi... pi...* Toż to ludziska niewyrozumiałe... tfu!

Ale dnia tego i następnych czas mu się na pastwisku strasznie długim wydawał.

Bał się o pawiątka i jak zmora trapiły go myśli, że zły człowiek może tam w ogrodzie krzywdę wyrządzić matce i maleństwom.

Aż go coś podrywało, gdy pomyślał, że tam jego przyjaciółka mogła być narażona na tysiące przykrości.

Ogrodniczek wszakże mógł bryłą ziemi, wypędzając z grzęd pawicę, uśmiercić maleństwo.

A pies, ten półchart, półwyżeł, mógł jak nic, złapać i zdusić pawiątko.

A Antek zbereźnik! jakże łatwo mógł złapać taką ptaszynę i znęcać się nad stworzeniem.

Aż łzy mu prawie w oczach na te myśli stawały. Szczególnie zaś trapił się o pawicę.

— Toż to matka — mruczał — biedula! cóżby ona poczęła, gdyby tak?....

I zrywał się z granicznego kopca, na którym siedząc, doglądał koni, aby tylko rozpędzić złowrogie myśli.

Przypuszczenia jego były płonne. Pawiątka rosły, ale trzymały się chudo i mizernie.

Michał drżał o ich życie i zawodził tęskne żale nad pawicą, gdy go nikt nie słyszał.

Pawiątek skrzydła się strzępiły i nadół opuszczały, głos ich robił się żałosnym i piskliwym.

— Mój Boże! mój Boże! — wzdychał Michał — jakże to się wychowa?

Aż raz w południe zagdakała na chłopa pawica, bo to o téj porze przychodziła zawsze do niego na chléb i przysmaki.

Michał wybiegł i załamał ręce.

Około przyjaciółki biegały tylko dwa pawiątka; najbiedniejszego brakowało.

Wpatrzył się w oko pawicy i zdawało mu się, że w niém czytał żal i rezygnacyą.

— Ha! co robić! — zamruczał — taka wola Boża!

Dwa pawiątka, z których jedno jeszcze szwankowało, żyły.

Ale nadeszły zimna i wody świętojańskie.

Pawica chowała się pod kapuściane liście i bujne krzaki porzéczek, i nie przychodziła nawet do Michała, bo tak deszcze lały bez przerwy.

— Dobra matka! — pocieszał się Michał — wychowa i ogrzeje.

Słońce bowiem już przedzierało się przez posiane po horyzoncie

chmury i pojawiały się na niebie różnobarwne tęcze, zwiastujące koniec słót i niepogód.

A dwa pawiątka, jak się codziennie przekonywał Michał, żyły.

Wreszcie wypogodziło się. Wietrzyk raźno suszył zmoczone zboża i trawy, w pył zamieniał błota i wysuszał kałuże.

Słońce jaskrawe, pogodne, gorące, wzniosło się pewnego poranku i rozjaśniło błękitne, oczyszczone z chmurek niebo.

W powietrzu panowała świéżość, pozbawiona wszelkiéj parnoty.

Pawica opuściła ogród i liściaste warzywa. Pośpieszyła pod stajnię i zawołała na głuchego Michała.

— *Gdy...*

Głodną była sama, bo trawki i porzéczki przesiąknięte wodą, nienasycały.

— *Gdy...* — powtórzyła głośniéj.

Michał wybiegł i stanął jak wryty. Na twarzy jego malowała się rozpacz. Usta otworzył i milczał.

Przy pawicy kręciło się tylko pawiątko, które przetrzymało dwutygodniowe słoty nieprzyjaznego mu klimatu.

V.

Nastała jesień.

Głuchy Michał, który wogóle więzów służby nie lubił, „spodobał sobie“ w Rozdołach i do roku dobyć postanowił.

Szybko nadchodząca zima cieszyła go, bo obiecywał sobie wziąć pawicę z pawiątkiem do stajni i nie rozłączać się już z niemi.

A pawiątko rosło jak na drożdżach i miało już zarodek pysznego ogona i piórka z gwiazdkami na głowie.

— A zabawne toż to było młode, a stare takiesiutyńskie jak matka, tylko czupurniejsze „jak żawdy samce“.

Pawica go już uczyła, jak ma się wspinać na nocleg po rosochatéj wierzbie.

Sama wskakiwała na gałąź i wołała z niéj swym, jakby z trudnością wydobywającym się głosem.

— *Gdy... gdy...*

Ale pawiątko się bało, chodziło pod wierzbą i tylko na odważną matkę zérkało ukradkiem.

Na płot, to już się odważało.

A jakże pociesznie oboje wyglądali na płocie w ulubioném miejscu, opodal wierzby i stajni, po nad mostkiem nad rowem, w gałęziach leszczyny i czeremchy.

Michała zastanawiało tylko, że pawica, która zawzięcie na niego się z początku darła, teraz zupełnie nie krzyczała.

Czasem, gdzieś w ogrodzie, gdy ją co zestraszyło, to się i odezwała, ale tych regularnych rannych nawoływań oddawna już słychać nie było. I to od wiosny, od chwili, jak zaczęła siedzieć na jajach.

To milczenie pawicy bardzo Michała trapiło. Bał się, czy to nie było oznaką niezadowolenia z jéj strony, a może... cierpienia.

Bolało go, że nie mógł się nikogo co do tego poradzić, ale taił się ze swojém przywiązaniem do pawicy, jak z największym sekretem. Sądził, że gdyby o tém się dowiedziano, to niejeden umyślnie, aby mu na złość zrobić, gotówby był skrzywdzić, lub dokuczyć przyjaciółce.

Nie mógł więc więc czémkolwiek nigdy zdradzić swych afektów. O pawicy téż nigdy nie mówił, nawet z Leonardową, od czasu jak go ofuknęła w odpowiedzi na jego radosne zwierzenie.

Ale ludzie podejrzeli go, jak się czulił do pawiątka, jak mu drobił chléb, jak chował dla nich ser i groch.

Kpili téż niego w kuchni, że ślub wziął z pawicą.

A Antek zbereźnik wciąż drwił.

— Pawiątko Michała ladaco takie głuche, jak i on, nie pożyje...

Czeladź się śmiała, a Michałowi, aż się serce ściskało na samą tę myśl.

— Cóżby pawica poczęła, gdyby jéj ostatnie maleństwo miało zmarniéć?

Toż podwójnie bał się dla niéj słót jesiennych. Próbował ją zagnać do stajni, ale mu się nie dała.

Na pastwisku, gdy zoczył nadciągającą chmurę, to truchlał o swoje stworzenia. I choć ekonom surowo mu nakazał nie uciekać z pola przed byle chmurą, on skoro tylko pojawiły się na niebie od zachodu ciemne płaty, zganiał konie do stajni.

Przecież musiał być na stanowisku, gdyby pawica podeszła pod stajnię, szukając przygotowanego w niéj schronienia przed październikową ulewą.

Tak nadszedł i listopad ze swemi wiatrami i przymrozkami.

Jednego z pierwszych dni tego brzydkiego miesiąca, głuchy Michał poczuł w nocy dokuczliwe zimno, choć spał w stajni, ogrzanéj nawozem i końmi.

Zaraz mu stanęła w myśli pawica, która biédna nocowała gdzieś w ogrodzie, pod krzakiem tuląc swego jedynaka pod skrzydło.

Łzy cisnęły mu się do oczu, ale zagryzł wargi i odwracając się na drugi bok, zamruczał tylko:

— Dobrze głupiéj bestyi. Czemu się zagnać do stajni nie daje? Mądry Bóg...

I zasnął na nowo.

Ale nie mógł się przyzwyczaić do tych długich nocy jesiennych. Nad ranem, to mu się wciąż zdawało, że już dnieje. Budził się i rozglądał po stajni, czy jasno, czy ciemno. Gdy w okienkach ciemność panowała, to znów zasypiał.

Tak też i tego dnia. Michał dospać nie mógł, ale drzémał, nie mogąc się doczekać dnia.

Wtém, jakby nagle się ocucił, bo mu się zdawało, że słyszy głos pawicy.

Zrazu nie wiedział, czy słyszał, czy mu się też śniło.

Otworzył zaspane oczy i zerwał się z przerażeniem.

W stajni jasno było. Zaspał wschód leniwego słońca. Przez okienka przedziérał się jasny i słoneczny dzień.

— Oj! przymrozek i to dobry! — zawołał Michał skoro tylko spojrzał w okno.

Wstał ze słomy, mrucząc.

— Czy mi się widziało? czy pawica się darła?

Na twarzy jego malowało się lekkie pomieszanie.

— Mi-chooł... Michooł! — zabrzmiał głos ptaka od strony płotu.

Ale głos ten, którego od wiosny nie słyszał, przestraszył go. Wydał mu się innym, pełnym trwogi i rozpaczy.

— Mi-chooł! — powtarzała pawica.

Parobek gwałtownym ruchem odryglował drzwi i wybiegł.

Słońce promieniało i przeglądało się w pościnanych mrozem kałużach, olśniewało pokryte szronem trawniki i drzewa.

Michał biegł boso do płotu, od strony którego dochodził żałosny głos przyjaciółki, odzywający się raz po raz, jakby potrzebowała prędkiéj pomocy.

Biegł jak szalony, w jednéj koszuli, a serce mu biło młotem, bo przeczuwał nieszczęście.

On już znał nuty i odcienie głosu pawicy.

Ta stała na płocie i krzyczała przeraźliwie.

Pawiątka przy niéj nie było.

Gdy Michał podszedł ku niéj, zagdakała i spojrzała na niego tak, iż chłopu łzy w oczach stanęły.

— A gdzie twoje małe? — zapytał, rozglądając się i nie wierząc jeszcze oczom.

W odpowiedzi pawica żałośnie zakrzyczała. Głową dziwaczne robiła ruchy i jakby pod most, obok leżący, zaglądała.

Michał rzucił się pod most.

Za chwilę wyszedł z rowu trzymając w dłoniach, zimne już, zmarźnięte pawiątko.

Pawica widząc swoje małe w jego rękach zefrunęła z płota ku niemu, jakby sądząc, że jéj syna ocucił.

Michał oniemiały z bólu, opuścił ptaka na ziemię. Pawica rzuciła się ku temu, a wyciągając do Michała swą białą główkę, zagdakała.

Michał dłużéj na nogach ustać niemógł.

Usiadł na moście, opuszczając w rów nogi i zaczął płakać jak dziecko.

A pawica chodziła wokoło niego i gdakała, ale jakoś inaczéj, niż zwykle.

Ile razy też odezwała się: *Gdyy...* — Michał wybuchał spazmatyczném łkaniem.

W kilka godzin późniéj stadnina stała w stajni jeszcze. Nie było komu jéj wygnać w pole, bo głuchy Michał zniknął bez śladu.

I długo o nim nie było ani słychu.

W dwa lata późniéj dopiéro spotkała go Leonardowa w miasteczku na jarmarku i zapytała, czemu opuścił Rozdoły.

— Miałem swoje przyczyny!

— I już nie wrócicie? — pytała jeszcze baba — cóż wam takiego się tam stało?

— Co się stało, to się stało— odparł Michał — ale mi już Rozdoły obmierzły. Póki życia moja noga tam już nie postanie. Nie krzywduję sobie. Dobrze mi było we dworze... ale tfu!

Splunął, jak to miał zwyczaj, gdy chciał odpędzić złe myśli i poszedł daléj.

Wincenty hr. Łoś.





JULIUSZ HR. ANDRASSY.

„Wielkie wypadki a mali ludzie, wielkie, straszne pytania o rozwiązanie wołają, a karły tylko dają odpowiedź.“

Takie skargi słychać coraz częściéj przy końcu XIX-go stulecia. Czy skargi te słuszne? Może nie tak bardzo, jak się skarżącym zdaje. Nie mówimy o dniu, czy roku bieżącym, témbardziéj nie będziemy mówić o przyszłości; ale epoka, ale pokolenie nasze wydało pewną liczbę ludzi niepospolitych, oryginalnych, genialnych nawet, którzy czynami swemi piętno téj cząstce czasu nadali i wpływ na nią potężny wywarli, tak w swojéj ojczyźnie bezpośrednio jak pośrednio, a niekiedy bezpośrednio, wpływ ten na całą rozszerzając Europę. Jakiego rodzaju był ten wpływ, jakie przyniósł owoce, czy błogosławione, czy niebezpieczne lub nawet zgubne, o tém z czasem historya wyda sąd, którego my już czytać nie będziemy. Dziś tego bezstronnego sądu jeszcze brak. Każdy z tych ludzi jest sądzony stronniczo, uwielbiany lub potępiany stosownie do przekonań, celów, interesu, wierzeń wyrokującego. Najchłodniejszy, najoświeceńszy i najsumienniéj działania tych ludzi rozbierający, jeszcze się całkowicie z téj stronności otrząsnąć nie może. Bo żyje pod naciskiem i wpływem działań owych ludzi, za które ich albo błogosławi, albo przeklina; bo zresztą nie może znać dokładnie wszystkich pobudek niemi kierujących, wszystkich szczegółów mogących potępiane czyny usprawiedliwić, lub wychwalanym uszczerbek przynieść; bo nie wié, jakie przeszkody skrzywiły drogi i popsuły ich robotę, lub téż jakie pomoce tajne ich zamiary poparły. W epokach zwłaszcza przejściowych, jak nasza, ludzie stają się bardziéj nerwowi, niecierpliwi, wymagający, więc w sądach pospieszni, w uniesieniach przesadni, w potępieniach skwapliwsi, aniżeli w epokach spokoju i moralnéj równowagi. Trudno im się dziwić. Społeczeństwo europejskie

wygląda dziś jako okręt mocno burzami skołatany, rzucany po oceanie na fali niepewności i zagadek, daleki od portu, w bardzo czarnych na widnokręgu chmurach czytający na dalsze, a może nawet bliższe, jutro zapowiedź jeszcze straszniejszych huraganów. Pod ciśnieniem zaś przeróżnych kwestyi, wątpliwości, zagadnień, czy to politycznych, czy społecznych, wszystkie deski i tramy tego skołatanego okrętu złowrogo trzeszczą, a przestrach przesadza jeszcze tego trzeszczenia znaczenie.

W takiém położeniu rzeczy dziwić się nie można owym skargom na brak wielkich ludzi, którzyby tak dorastali wielkości wypadków, zmian i zawieruch społecznych, by nad niemi od razu zapanować i okrętu ster potężną dłonią pokierować mogli. W Europie te skargi są bardzo naturalne. Zbyt bliskiemi jesteśmy epoki Napoleona I-go, zbyt nią olśnieni, zbyt nawykli do tego kultu bohatérów, rozszerzonego zresztą przez odrębną historyozoficzną szkołę, zbyt przyuczeni do opieki i kierownictwa, zbyt nazwyczajeni do posłuszeństwa, zbyt odwykli od myślenia samodzielnego o sobie, o pracy samoistnéj nad sobą i nad porządkowaniem spraw własnych, by ta wiara w zbawców opatrznościowych, w zsyłanie peryodyczne geniuszów wszechpotężnych, zmniejszyć się już i osłabnąć widocznie mogła. Zbyt też jesteśmy niecierpliwi, by mogło być inaczéj. Każdy pragnie, by jak najprędzéj, by od razu usuniętém zostało, to co mu dolega, co go trapi, niepokoi, przeraża. Zapomina, że historya się nie śpieszy, że każdy wypadek dojrzéć musi, by się z swemi następstwami uwydatnić, że wypadki dopiéro tworzą i wskazują, że wyrabiają ludzi, którzy z nich wedle swéj mocy i zdolności korzystają i niemi kierują. Księcia Bismarcka nie stworzył 1848 rok, ale ów rok wydał i na widownią wyprowadził tego ubogiego i zrazu lekceważonego szlachcica pomorskiego, który ćwierć wieku losami Europy tak lub owak kieruje. Zapominają też o przykładzie, jaki im przed laty stu, dał drobny, wówczas ludek amerykański, dziś rozrosły w jedno z najpotężniejszych państw, który nietylko nie znalazł geniuszów i opatrznościowych zbawców, ale owszem, obawiał się ich, a sam o sobie myślał, i od swych przedstawicieli, pracujących w nader trudnych okolicznościach nad ukonstytuowaniem narodu, domagał się tylko jak największéj miary zdrowego rozsądku, uczciwości i skromnéj dobréj woli. Gdyby Europa lepiéj pamiętała o tym przykładzie, danym jéj przez młodszą siostrzycę, możeby mniéj była dziś nerwową, mniéj zestrachaną, mniéj zwłaszcza utyskującą na brak wielkich ludzi. Poprzestałaby na ludziach, jakich ma, możeby nawet wolała widziéć niektórych mniéj genialnemi.

Chociaż bowiem druga połowa XIX-go stulecia w sferze polity-

cznéj nie wydała ludzi fenomenalnie wielkich, geniuszów bezwzględnych, albo raczéj geniusza, bo takie fenomena tylko pojedyńczo i to w bardzo odległych ustępach czasu się zjawiają, wydała jednak stosunkowo znaczną ilość ludzi niepospolitych, śmiałych myślą, dzielnych, zręcznych, wytrwałych w swych pomysłów przeprowadzaniu, niekiedy genialnych w wyzyskiwaniu na korzyść swego celu okoliczności bieżących. Ci ludzie zmieniając organizacyę i naturę państw, którym służyli, a które były ich ojczyzną, zmienili na wskroś postać polityczną kontynentalnéj Europy, zapisując sobie wielką kartę w jéj historyi.

Do takich ludzi należy Juliusz hrabia Andrassy, zmarły w d. 18 lutego w Volosca pod Abazyą w Istryi, dokąd dla poratowania zdrowia wyjechał. Należy mu się od nas wspomnienie, jako jednemu z owych niepospolitych i bardzo ważnych działaczy, w przeróbce wewnętrznych i międzynarodowych stosunków staréj Europy. Na tém międzynarodowém polu był on czynny zaledwie lat piętnaście, ale wówczas chwilami nawet na ogólno-europejską politykę wpływ wywierał. W ojczyźnie swéj, w Węgrzech, czynnym on był od pierwszéj młodości i Węgry zawdzięczają mu niezmiernie wiele. Dla nich on żył, o nich tylko myślał, dla nich przedewszystkiém pracował. By zrozumiéć chociaż jako tako i ocenić Andrassy'ego, należy pamiętać o tym jego bezgranicznym patryotyzmie węgierskim, który wiele niejasności w postępowaniu tego męża stanu tłómaczy. Patryotyzm ten u Andrassy'ego nie występował wcale jako uczucie obowiązku, lub jako uczucie wogóle, był namiętnością. Jeden z dawnych sekretarzy Andrassy'ego, zdaje się Doczi, tak pisze w swém wspomnieniu:

„Był on więcéj aniżeli kochającym synem swéj ojczyzny; ożywiało go uczucie i rzewne i entuzyastyczne dla Węgier. Siwe jego oczy świeciły się jakby zwilgłe, gdy mówiono o pięknościach jakiéj okolicy Węgier, albo o zdolnościach wrodzonych węgierskiego plemienia, o którém mawiał, że każdy chłopski syn, gdy przejdzie gimnazyum, może zostać wykształconym i dzielnym „*Honoratior*.“ Z najzupełniejszém przekonaniem dowodził, że gdy się z Wiednia przyjeżdża, to w Waitzen zaczyna się nowy klimat, że filtrowana woda z Cissy, w porównaniu z innemi wodami, jest najczystszym eleksirem życia. A jednak nigdy nie słyszałem go wymawiającego wyraz „patryotyzm“, nigdy z pod jego pióra nie wyszedł wyraz „ojczyzna.“ To znaczy wiele w tym kraju węgierskim i w takim czasie, kiedy lada jurat, lada niedojrzała poetka nie przemawia inaczéj, jak *Draga Hazam* (droga moja ojczyzna), sądząc, że tém już adoptuje cały swój biédny, osierocony kraj.“

Ród Andrassych nie należał wcale do wielkiéj, historycznéj szla-

chty. Wyrobił się on powoli z drobno- i średnio-szlacheckiego tłumu. Dopiéro w XVIII-ym wieku zajął on wyższe stanowisko w kraju, a w 1766 r. Marya Teresa nadała dziadowi świéżo zmarłego, Karolowi Andrassy, tytuł hrabiowski. Majątek téż ich nie był wielki, chociaż się zaliczali do zamożniejszych między średnimi właścicielami w swoim komitacie. Dopiéro hrabia Karol, ojciec hr. Juliusza, przez małżeństwo z hrabiną Szapary doszedł do znacznéj fortuny, którą tak powiększyć umiał, iż każdemu z swoich trzech synów zostawił wielkie dobra w fideikomisowym spadku. Ów hrabia Karol zwykł był mawiać: *sors bona, nihil aliud* (szczęśliwy los, nic innego), przyznając, że nie własnéj zasłudze, ale okolicznościom winien był swe wywyższenie. Więcéj szczęścia niż rozumu—mówi nasze przysłowie.

Przeciwnicy zmarłego niedawno ministra dowodzili nieraz, że i on mógłby do siebie przysłowie ojca zastosować. W pewnéj cząstce może mieli słuszność, ale hrabia Juliusz Andrassy, obok szczęścia, posiadał jeszcze niepoślednie przymioty ducha, które mu tak wysokie stanowisko nietylko w Węgrzech, nietylko w monarchii austro-węgierskiéj, ale i w Europie zapewniły. Była zaś chwila, że swój polityczny zawód musiał rozpoczynać na nowo z bardzo niska, z tak niska, że ojciec jego nie zdołałby zamarzyć nawet o takim politycznym swego syna urzędowym upadku. Wspomniony wyżéj biograf hrabiego Juliusza następne podaje opowiadanie z czasów, gdy Andrassy był już prezesem węgierskiéj rady ministrów.

„I w własnym kraju, w którym najważniejsza i najrozleglejsza w jego życiu działalność spotykała zajadły opór, a nawet podejrzenia, że przez dworactwo i podchlebstwo zaprzedaje przyszłość Węgier, nigdy ani jedném słowem nie przypomniał tych czasów, wzmianka o których byłaby przeciwnikom usta zamknęła. Nigdy się nie powoływał na rok 1848, ani na to, że głowa jego mogła spaść na rusztowaniu. Raz tylko i to w bardzo poufném kole wymknęła mu się wzmianka o owych czasach. Było to w Terebes. Hrabia wracał z polowania z sekretarzem. Mieszkańcy wioski zdejmowali czapki i gapili się; najniżéj kłaniała się gromadka żydów, ubogich chałaciarzy. Sekretarz siedzący przy ministrze, człowiek młody, trochę próżny, zrobił uwagę: „Wasza Ekscelencya może myślisz, że ci żydzi podziwiają ministra. Wcale nie; podziwiają mnie. Wiedzą, że jestem żydem, a to że ja siedzę w powozie obok hr. Andrassy, wydaje się im większym cudem, aniżeli to, że pan na Terebes zasiada w radzie korony.“ Hrabia się rozśmiał i odparł, że i on także nie mało się wyniósł. W godzinę potém przy obiedzie stawia obecnym pytanie: kto zrobił większą karyerę, czy on, czy ów sekretarz? Hrabia przypomniał czasy swego wygnania, ciężki nie-

kiedy niezmiernie brak pieniędzy, smutne widoki na przyszłość. Sekretarz powołał się na swe niskie pochodzenie, na nędzę swego dziecinnego wieku, a nawet młodości. Tragi-komicznem przedstawieniem najrozmaitszéj biédy swego studenckiego żywota, opisaniem dni takich, w których sypiać musiał na twardéj ławie, opowiadaniem, jak pierwszym jego literackim zarobkiem było pisywanie listów kucharkom, młody człowiek przeciągnął sędziów na swoją stronę. Najprzód głos za nim dała hrabina i jéj dzieci, a i sam hrabia przyznał, że droga od takich początków, aż do sali w któréj obiadowano, ma w sobie coś romantycznego. „Jednakże, dodał z pewnem zacięciem zazdrości, jakkolwiek nie miałem pojęcia, że podobna biéda istnieje... jednakże za to nie byłeś pan nigdy na szubienicy". Tu twarz jego promień tryumfu rozświecił.

Naprawdę Andrassy osobiście pod szubienicą nigdy nie stał, ale nazwisko jego wraz z nazwiskami trzydziestu ośmiu, zaocznie na śmierć za zbrodnię stanu skazanych, było na szubienicy urzędownie przybite. To wykonanie wyroku sądu wojennego w Peszcie miało miejsce już 1851 r. Andrassy bawił wówczas w Londynie i dowiedział się o tém swém powieszeniu *in effigie* z przysłanéj mu urzędowéj *Wiener Zeitung*, wróciwszy z obiadu u lorda Aberdeen, prezesa gabinetu i ministra spraw zagranicznych Wielkiéj Brytanii. Te okoliczności dodatkowe zmieniają bardzo położenie, a hrabina miała słuszność przyznając wyższość w walce z losem swemu sekretarzowi, który kucharkom listy za kilka krajcarów pisywał,

Andrassy jednak po swym ojcu, oprócz fideikomisu, wiele innych rzeczy odziedziczył, a między niemi i ową *bonam sortem*. Ów hrabia Karol znakomicie jeździł konno, był niezrównanym tancerzem, pełnym życia i dowcipu. Biografowie nie podają, czy hr. Juliusz pięknie tańczył i czy tańczyć lubił, wiemy tylko, że był doskonałym jeźdźcem i wielkim mistrzem w trudnéj sztuce towarzyskiéj obcowania z ludźmi. Młodzieńcem będąc, już umiał sobie jednać względy mężczyzn, a zwłaszcza łaski kobiét.

Urodzony w 1823 r. Juliusz Andrassy kończył nauki w Peszcie. Czy wiele korzystał z wykładu swych profesorów, wątpić należy. W owe czasy, w Austryi zwłaszcza, szkoły i uniwersytety stały na tak niskim stopniu, o jakim dzisiejsze pokolenie wyobrażenia nie ma. Panicz, bogaty, przystojny, z twarzą bardzo oryginalną, wielce cygański typ przypominającą, z zdolnościami wrodzonemi wielkiemi, ale z równie wielką fantazyą, pilnością odznaczać się nie mógł. Pewnem zresztą jest to, że się systematycznéj pracy na owym uniwersytecie nie uczył, że żadnéj nauki gruntownie nie posiadał i że zawsze miał wielki

do lenistwa popęd. Nie mówimy o pedantycznéj pracy, ale o systematycznéj pracy, która każdemu, a zwłaszcza mężowi stanu, jest konieczną, a która nie potrzebuje się wcale wyradzać w pedantyzm. Wynagradzał te braki Andrassy lotnością umysłu, łatwością przyswajania sobie doraźnie potrzebnych mu w danéj chwili specyalnych wiadomości, dowcipem zresztą, który mu pozwalał wykręcić się w trudnéj rozprawie. Ale brak tych przymiotów, które się tylko wytrwałością nabywa, nieraz do końca dawał mu się we znaki. Biografowie jego zapewniają, że w późniejszych czasach czytał wiele i pilnie; że w jego bibliotece w Terebes, znajduje się mnóstwo książek poważnéj treści z jego określeniami, uwagami, notatkami na marginesie; że czytał zawsze z praktycznym celem, głównie książki treści historycznéj i polityczno państwowéj; że wcale do nieuków nie należał; ale przyznają, że mu bardzo wiedzy systematycznéj brakowało, i że często z tego powodu popadał w zadziwiające pomyłki w rzeczach najprostszych. Prawo np. było mu bardzo obce, a przeciw pisanym paragrafom nie raz najnaiwniéj występował, wyśmiewany przez prawników. Tak np. gdy był jeszcze ministrem węgierskim, a opozycya prowadzona przez Lyonaya, wstrzymywała zatwierdzenie jakiegoś projektu, jakkolwiek izba miała już tylko dwa tygodnie prawnego istnienia, Andrassy zażądał, by posiedzenia izby zrobić nieustającemi na tak długo, dopóki ów projekt prawa załatwiony nie zostanie. Nie mógł pojąć, że poseł, spełniający swój mandat po za terminem przez prawo naznaczonym, dopuszcza się uzurpacyi prawa. Od wystąpienia z projektem wstrzymała go nie owego projektu nieprawność, ale to że nie mógł nikogo dla swéj myśli zjednać. Przed praktycznemi trudnościami miał on niezmierne poszanowanie; ale prawne zawady szanował o tyle tylko, o ile się jego własnemu pojęciu prawa nie sprzeciwiały. Najwyższym dla niego paragrafem było przykazanie: „Nie powinieneś krzywdy wyrządzać“, i od tego nie odstępował, chociażby setki paragrafów pisanych było za nim. Pod tym względem ten praktyk życiowy był prawdziwym idealistą.

Zdanie to, jak inne cytujemy dosłownie z dokumentów, to jest z życiorysów Andrassego, ogłoszonych po jego śmierci, zwłaszcza przez bliskich jemu, jakkolwiek mogą niekiedy zdawać się dziwnemi. Jeden z takich nekrologistów, mówiąc o owym idealistowskiém usposobieniu byłego ministra spraw zagranicznych Austryi, a swego naczelnika służbowego, na poparcie swego twierdzenia pisze: „W czasie wojny turecko-rosyjskiéj powiedział raz, iż wié dobrze, że możnaby Rosyą na czas dłuższy ubezsilnić, uderzająo na nią z tyłu w chwili walk pod Plewną we wrześniu 1877, ale że jest przekonany, iż podobne zwycięstwo osiągnięte zapomocą ciosu, z zasadzki wymierzonego, nie

przyniosłoby istotnéj korzyści monarchii". Być może, iż Andrassy rzeczywiście to powiedział, być może nawet, iż ten, skądinąd przebiegły polityk, miał jakieś rycerskie popędy, ale przypuszczamy, że oprócz rycerskości, wstrzymywały go tym razem inne jakieś, czysto praktycznéj natury powody. Nie odznaczał się on wcale uczuciowością, owszem, był człowiekiem wielkiéj rozwagi; nie szedł nigdy za pierwszym popędem, owszem nie dowierzał mu, zwłaszcza, gdy ten zdawał się wychodzić z serca. Nie był téż zwolennikiem krańcowych, ostatecznych środków. Kiedy raz Eotwos na radzie ministrów, doradzając podobny środek, powiedział: *Pereat mundus, fiat justitia* (niech świat zginie, byle sprawiedliwość się stała), Andrassy odpowiedział, że *justitia ita fieri debet ne pereat mundus* (sprawiedliwość tak się stawać powinna, by świat nie zginął). A jednak pierwszą polityczną szkołą Andrassego była rewolucya.

Skończywszy bowiem uniwersytet peszteński bardzo lichy, w którym wówczas, podobnie jak we wszystkich szkołach węgierskich, większa część wykładów odbywała się po łacinie, młody ten i świetny arystokrata od razu przystał do stronnictwa Kossutha. Przed 1848 r. Węgry dzieliły się na dwie partye, które dążąc do jednego celu, różniły się co do dróg i środków. Jedną możnaby nazwać liberalno-zachowawczą i téj przewodniczył Szechennyi. Szkoła Szechennyego z jéj ideałami, opartemi na porządku, oszczędności, pracy u podstaw, stopniowéj reformie i powolnym postępie, nie przypadła do smaku młodemu Andrassemu. Był on wprawdzie z nawyknień, obyczaju i wychowania arystokratą, żywił wszakże pewne demokratyczne instynkta. Trudno przypuścić, ażeby to był wynik jakiegoś głębszego rozmysłu, jakichś nowych pojęć politycznych, których np. w Toqueville'a „Demokracyi amerykańskiéj" mógł się nauczyć. Powiedzieliśmy wyżéj, że Andrassy czytać nie lubiał, a w dwudziestym drugim lub trzecim roku życia tak głęboko pomyślanéj książki pewno nie mógłby strawić młody panicz, kształcony w uniwersytecie po łacinie. Prędzéj mógł się dorwać do Thiersa historyi rewolucyi francuskiéj. Książki te wprawdzie za Metternicha były surowo w granicach Austryi zakazane, ale za to tém troskliwiéj czytane i komentowane przez młodych ludzi, którzy czytać chcieli. To demokratyczne usposobienie może się da objaśnić poziomym, ale bardzo praktycznym sposobem. Andrassy był ambitny i lubiał popularność. Zstępując ku demokratycznym sferom, które go zresztą mogły do siebie przyciągać energią i niezmiernym talentem ich przewodnika L. Kossutha, wybijał się prędzéj na wierzch, aniżeli łącząc się z arystokratyczném stronnictwem. Szechennyi tracił już dawną swą popularność, został, jak się to mówi, zdystansowany przez goręt-

szych, niecierpliwszych i wymowniejszych. Koło Kossutha mało było arystokratów, Andrassy został przyjęty z otwartemi rękami i tak odznaczony, że mając zaledwie dwudziesty czwarty rok życia, otrzymał miejsce w wielkim komitecie, mającym wygotować tak zwane „marcowe“ prawa, w którym zasiadali tylko najznakomitsi, najpoważniejsi i najdojrzalsi politycy. Stronnictwo Kossutha miało większość w izbie poselskiéj, miało za sobą cały naród węgierski, który zelektryzować umiało, ale arystokracya opuściła je prawie zupełnie, z powodu projektowanych reform, bo te za zbyt daleko sięgające i niebezpieczne uznawała. Andrassy pozostał wiernym.

Wypadki marcowe (1848) w Wiedniu i rozbicie systemu Metternicha, które pociągnęły za sobą podobneż wybuchy w Peszcie, powstanie i wojnę we Włoszech, zaburzenia w Pradze, wyjazd cesarza do Innsbruku, zajścia mniéj lub więcéj krwawe we wszystkich prawie prowincyach staréj monarchii Habsburgów, zdawały się wówczas wróżyć rozpadnięcie się ostateczne tego państwa. Węgrzy myśleli o sobie. Chcąc uratować całość przynajmniéj korony Św. Stefana, pod przewodem Kossutha wstąpili na drogę otwarcie rewolucyjną. Wiedeń zostający w ręku rewolucyonistów, oblegany był przez wojska Jełaczyca i Windischgraetza. Chcąc ratować oblężonych, których podtrzymanie leżeło w jego interesie, rząd narodowy węgierski wysłał na odsiecz naprędce zebraną dywizyą, złożoną w części z batalionów liniowych, w części z świeżo utworzonych okolicznych gwardyj narodowych, późniéj honwedami nazwanych. W dywizyi téj czy korpusiku, liczącym ledwie 10 do 12 tysięcy ludzi, Andrassy dowodził honwedami swego, zemplińskiego, komitatu. Nie była to właściwie odsiecz, ale raczéj demonstracya, bo Węgrzy, zawsze po adwokacku, dowodzili, iż nie mają prawa przekraczać granicy między Austryą a ich krajem. Demonstracya ta miała na celu rozdzielenie i odciągnięcie wojsk oblegających Wiedeń. Przyszło jednak do bitwy pod Schwehat. Węgrzy musieli się cofnąć. W bitwie téj Andrassy bardzo dzielnie swoich honwedów prowadził, czy téż podobno pędził, w ogień i zdobył sobie rangę majora w armii narodowéj.

Wiedeń został wzięty. Windischgraetz, uzupełniwszy swój korpus, ruszył do Węgier. Nie spotkawszy po drodze wielkiego oporu, zajął Peszt. Rząd narodowy cofnął się do Debreczyna. Tam postanowiono szukać poparcia zagranicą, między innemi wyprawić posła do sułtana z prośbą o interwencyą na korzyść powstałych Węgier. Interweniując nawet czynnie, sułtan nie potrzebował zrywać z Austryą, dość mu było zmusić Serbię, która wówczas była jeszcze lennikiem Turcyi, do zachowania się spokojnie i cofnięcia wojsk (6,000) generała

Kniczanina, który wspiérał powstanie Serbów węgierskich przeciw rządowi narodowemu. Kandydatów na to stambulskie poselstwo nie było. Oddano je Andrassemu, mianując go przytém pułkownikiem, dla większéj powagi.

Dwudziesto-pięcioletni poseł nie zdołał skłonić Turcyi do interwencyi, ani do żadnego jawnego na korzyść Węgier kroku, jednak pomimo swego drażliwego i niejasnego położenia, potrafił sobie zjednać życzliwość nietylko wielkich dygnitarzy Porty, ale podobno nawet samego sułtana. Jego to zabiegom przypisują dziś, że sułtan, po ostatecznéj katastrofie węgierskiéj w 1849 r., odmówił wydania wychodźców znajdujących się w Stambule.

W 1850 r. spotykamy Andrassego wraz z wielu innymi wychodźcami węgierskiemi (Pulszky i t. d.) w Londynie. I tutaj prowadził on daléj swoje niby dyplomatyczne roboty, tylko w innym charakterze i na inny sposób. Wygnanie nie dokuczyło mu zbytecznie. Kiedy jego koledzy na wychodźtwie z ciężką walczyli biedą, Andrassy nigdy prawdziwéj biédy nie zaznał. Żył w kołach najwyżéj arystokratycznych, odgrywał rolę na wyścigach, w salonach politycznych i niepolitycznych dam był mile widziany, a wyrok śmierci wydany nań w Peszcie, powiększył tylko współczucie. Widząc jednak, że nic się zrobić nie da w Anglii, gdzie zresztą pod względem politycznym poważniéj traktowano Kossutha, utrzymującego zawsze ścisłe związki z krajem, pomimo wielkich dla jego korespondentów niebezpieczeństw, i który wspólnie pracował z Mazzinim, wyjechał Andrassy w 1852 r. do Paryża, który już wówczas stał się głównėm ogniskiem polityki europejskiéj, opatrzony dobrymi listami polecającemi swych angielskich przyjaciół do cesarza Napoleona. I tutaj także odnosił wielkie tryumfy towarzyskie, przyjmowany był, a nawet mile widziany, w Tuileries, politycznie jednak stał zaledwo na drugim planie. Pierwsze miejsce już było zajęte przez hrabiego Władysława Telecky, człowieka niepospolitych zdolności, bardzo dobrze widzianego u cesarza i poważanego wielce w wyższych sferach politycznych. Andrassy'ego słuchano grzecznie, gdy o sprawach politycznych i o swoim kraju mówił, ale go nie szukano dla zadawania mu pytań. Zdaje się, że ściśléj był związany z księciem Napoleonem, ale to nie mogło poprawiać jego sprawy, zwłaszcza u cesarzowéj.

Wojna krymska zmieniła polityczne położenie Europy, a zwłaszcza przymierzowe stosunki Austryi. Była ona jakby punktem wyjścia dla przeobrażeń, jakich od 1866 r. jesteśmy świadkami. Zdaje się, że po kongresie paryskim, Andrassy przekonał się, że w téj chwili nietylko od Anglii, ale i od Francyi niczego się dla Węgier spodziéwać się nie

można. Zresztą ożenił się z hrabianką Katarzyną Kendeffy, osobą niezmiernéj piękności, wielbioną i podziwianą przez całą jedną zimę w wielkim świecie paryskim. Zapragnął powrócić do kraju. W 1857 r. poprosił o amnestyą, któréj udzielenia był pewnym, bo je przygotowały wpływy matki na dworze wiedeńskim. Do kroku tego mogły go skłonić różne przyczyny, jak przeświadczenie o beskuteczności jego politycznych zabiegów, jak może nieco obrażona miłość własna, jak wreszcie wstręt do spiskowania, na które emigracya była skazana. O ile z licznych danych sądzić można, Andrassy na spiskowca nie był stworzony i w praktyczność spisków, równie jak w dyplomatyczne obietnice nie wierzył.

W 1857 r. wrócił więc do kraju. System Bacha, który terrorystycznie zamieniał Węgry w prowincyę austryacką, mającą być do innych koronnych krajów podobną, istniał jeszcze w całéj pełni. Życie jednak narodowe i polityczne zaczynało powoli wracać, objawiając się wszakże tylko w działaniu starokonserwatystów w Wiedniu. Andrassy podał jednak rękę Deakowi, który przedstawiał poważne liberalne stronnictwo. Deak, z wielkiém zadowoleniem przyjął Andrassego, nie tyle, jak twierdzą biografowie, z powodu osobistych jego przymiotów, ale z przyczyny, że powrót do kraju dowodził, iż od zagranicy nie ma się czego spodziéwać. Wielki ten obywatel był zawsze tego przekonania, zawsze walczył przeciw illuzyom emigrantów, i dowodził, że Węgry same muszą sobie radzić.

To zbliżenie się odrazu do Deaka, można także uważać za ową *sors bona*, o któréj mawiał ojciec hr. Juliusza. Wprawdzie godzina Deaka jeszcze nie wybiła, ale miała wybić niedługo, we dwa lata. Przez ten czas Andrassy siedział cicho i zarządzał swym majątkiem, pilnowany zresztą podejrzliwie przez policyę austryacką, zwłaszcza w 1859 r. Z powodu bowiem wojny włoskiéj w Węgrzech zapanowało silne i powszechne wzburzenie, bardzo panowaniu austryackiemu nieprzychylne. Liczono na wkroczenie Francuzów od Fiume, zapowiadano przybycie ks. Napoleona z silnym korpusem, dla działania na tyłach armii, stawiającéj czoło połączonym armiom Napoleona III i Wiktora Emanuela i t. d. dowodzono, że książę Napoleon zostanie królem Węgier. Wszystkim tym pogłoskom i nadziejom położył koniec pokój, podpisany w Villafranca, może dlatego zawarty tak pośpiesznie przez cesarza Franciszka Józefa, iż się o Węgry obawiał.

Tu zaczyna się zwrot w spółczesnéj historyi Austryi. Klęski pod Magenta i Solferino, zmiany następnie tak łatwo spełnione we Włoszech, że półwysep ten zupełnie się wysunął z pod przeważnego, dotąd, wpływu Austryi, pomimo że Wenecya jeszcze przy niéj pozo-

stała, wskazały tak cesarzowi jak otaczającym go mężom stanu, że trzeba zmienić system. To postanowienie dało sposobność konserwatystom węgierskim, popieranym przez niektórych mężów stanu austryackich do usilniejszego działania, Andrassy'emu zaś otwarło pole. Był wówczas w sile wieku, licząc rok trzydziesty siódmy życia. W lecie 1860 roku zwołano do Wiednia tak zwaną wzmocnioną radę państwa, która miała ułożyć podstawy nowego systemu rządów. Wkrótce ogłoszono październikowe dyplomy, dalej konstytucyę lutową w 1861-ym r. zwołano sejm węgierski, do którego Andrassy także wybrany został. Już w rozprawach nad adresem przemawiał on często. Mowy jego bywały świetne i zajmujące, chociaż nie dość wytrawnie obmyślone. Wogóle mówcą był on drugorzędnym, gdy o logiczne przekonywanie chodziło, ale porywać umiał. Przy traktowaniu przedmiotów szerszéj i ogólniejszéj treści nieraz zapał obudzał, ale gdy trzeba było traktować przedmioty specyalne, fachowe, cyfrowe, spadał bardzo nisko. Widocznem wówczas było, że nie jest panem przedmiotu. W kwestyach finansowych nie przemawiał prawie nigdy, ale w administracyjnych przemawiać nieraz musiał, chociaż mu to wcale przyjemności nie sprawiało.

Znaną jest sławna walka jaką Węgrzy pod wodzą Deaka prowadzili przeciw centralistowskim planom Schmerlinga i lutowéj konstytucyi. Z rozwiązaniem sejmu węgierskiego, z powodu przyjęcia słynnych rezolucyi, starokonserwatyści i Deak ustąpili z placu. Przez jakiś czas usiłował Schmerling złamać upór Węgrów, zmusić ich do przyjęcia skromnie wymierzonéj autonomii, jaką im jego lutowa konstytucya udzielała. Napróżno. Skutkiem tych niepowodzeń Schmerling runął i ustąpił miejsca gabinetowi Belcredi'ego, a z tym przyszli do steru starokonserwatyści węgierscy Maylath i Sennyey. Za temi w drugiéj linii stało stronnictwo Deaka. W całéj bowiem téj walce politycznéj, już tym razem pokojowym orężem not i rokowań prowadzonéj, Węgrzy z góry ułożonego trzymali się planu, manewrując z wielką zgodnością. Przodem do szturmu starokonserwatyści, za temi stronnictwo narodowe Deaka, który wszystkiem kierował.

Równie przewidujący, jak skromny i szlachetny, równie pracowity jak rozumny, a naród swój znający, Deak pojął, że zwycięstwo osiągnąć można tylko zjednaniem sobie sfer najwyższych dworu. Ku temu wybrał Andrassy'ego, który, jako z rodu należący do arystokracyi, mógł wpływ magnatów starokonserwatystów równoważyć, a w poufnych stosunkach idee Deaka wyjaśniać i w Wiedniu popierać. „Pracę wspólną tak między siebie rodzielili, — pisze jeden z biografów, — Deak podawał myśl i obowiązywał się bronić ją przed krajem, An-

drassy jednał dla niéj dwór, który go wkrótce za prawą rękę Deaka uważał. Ciągle jeżdżąc między Wiedniem a Pesztem, pracował nieustannie nad pogodzeniem żądań Deaka z życzeniami sfer wiedeńskich. Przez cały ciąg tych ugodowych rokowań rozwinął on niezrównaną wytrwałość, giętkość i twórczość w wynajdywaniu środków wyjścia. Podziwiano go powszechnie i od téj pory uwierzono w jego niepośledni talent. Deak nazywał go wówczas człowiekiem „opatrznościowym“, tak doskonale brał się do rzeczy, tak zdawał się stworzonym do owego wielkiego i trudnego zadania. Bez Andrassy'ego ugoda nie byłaby przyszła do skutku, w Wiedniu nie byliby jéj przyjęli w formie przez Deaka projektowanéj, a innéj nie byłby przyjął naród.“

Nareszcie stanęła w 1867 r. owa ugoda, zaprowadzająca znany system dualistyczny w Austryi, którego tutaj objaśniać nie będziemy, nie możemy i nie potrzebujemy, podając tylko pobieżną monografią o człowieku niepospolitym, a w dziejach wielkiéj monarchii ważną kartę zajmującym. Nie będziemy téż wykazywać, o ile klęska pod Sadową przyczyniła się do téj ugody, która tak bardzo popiérała radę, daną Austryi w lutym 1866 r. przez księcia Bismarcka: „Front na wschód środek ciężkości w Peszcie.“ Węgry otrzymały osobny rząd konstytucyjny i parlamentarny dla spraw węgierskich. Prezesem pierwszego gabinetu został Andrassy, na skutek zalecenia Deaka, który tego ani żadnego urzędu przyjąć nie chciał, Andrassy'ego zaś za jedynie zdolnego do spełnienia należycie tych ciężkich obowiązków uważał. Tu się jednak Deak nieco pomylił. Andrassy posiadał wprawdzie świetne zdolności, nawet genialność, ale mu brakowało talentu organizacyjnego, umiejętności systematycznéj pracy, chęci do wglądania w szczegóły, przenikliwości w wybieraniu podwładnych, a nawet kolegów. Zmuszony rządzić i zarządzać, czyli administrować krajem, uorganizować nowe te rządy, mające kraj, bardzo dotąd zacofany, na inne tory wprowadzić, przez blisko pół-pięta roku popełnił on niemało błędów, które Węgrom, pomimo dziesięcioletnich rządów Tiszy, człowieka innych usposobień, jeszcze dziś bardzo czuć się dają. Nie posiadając specyalnego wykształcenia, wielki nieprzyjaciel nauki książkowéj, wierzący tylko w talent i w zdrowy rozsądek, powtarzający zawsze zdanie: „że cała sztuka w tém, by nie zrobić głupstwa,“ oddawał zbyt często najwyższe urzędy ludziom tylko rozsądkiem obdarzonym, ale bez żadnéj specyalnéj wiedzy, takie właśnie, w których wiedza fachowa była konieczna. Nienawidząc zajmowania się szczegółami, tych pomocników swoich kontrolować nie umiał. Systematyczna praca była mu tak dalece wstrętną, chociaż od czasu do czasu mógł pracować wiele, iż go powszechnie pomawiano o lenistwo. O tém jego na urzędzie lenistwie

krąży do dziś dnia mnóstwo anegdot w Peszcie. Oto jedna z nich. Andrassy był prezesem ministrów i zarazem ministrem obrony krajowéj. Codzień do jego mieszkania przychodził urzędnik, który mu pośpiesznie sprawę z tych spraw wojskowych zdawał i papiery przedstawiał. Po dwóch latach takiego chodzenia, urzędnik ów zrobił mu uwagę, że Ekscelencya przez te dwa lata nie raczył jeszcze być w ministerstwie, którego urzędnicy byliby bardzo uszczęśliwieni ujrzeniem jego Ekscelencyi. „Słusznie, bardzo słusznie,—odrzekł Andrassy,—przyjdę tam w tych dniach. Ale gdzie się mieści wasze biuro?“

Że jednak, pomimo tego lenistwa, Andrassy, jako prezes rady, musiał wielki i zbawienny w owém kole wpływ wywierać, świadczy o tém list barona Eotwesa, jednego z najwięcéj wykształconych ludzi, ministra oświaty wówczas, z daty 15 listopada 1869 r., gdy prezes bawił w Suez: „Masz słuszność, w sprawie dalmackiéj, co do któréj zresztą i tak nic zrobić nie możemy, że lepiéj niech się gabinet bez ciebie skompromituje. Ty jeden dajesz naszemu gabinetowi spójnię. Ty tylko jeden trzymasz na wodzy Lonyay'a (późniéj prezesa gabinetu). Jeżeli cesarz myśli, że jak ciebie nie ma, to tutaj wszystko idzie do dyabła, to cesarz ma słuszność. Z wyjątkiem Lonyay'a, który zawsze tylko na własną rękę działa, my wszyscy jesteśmy twemi, mniéj lub więcéj zdolnemi, naczelnikami wydziałów, których tylko przez grzeczność ministrami tytułują i z których żaden ciebie zastąpić nie zdolny.“ Oto wielkie świadectwo wystawione przez męża wielkiego talentu, wiedzy i zdolności człowiekowi, który w książkową naukę nie wierzył, pracy systematycznéj nie lubił, czasu dobrze swego urządzić nie umiał i dlatego o lenistwo był pomawiany, a polegał tylko na natchnieniu chwili i zdrowym rozsądku. Widać, że było w nim coś więcéj, coś co genialnością się nazywa.

Posiadając wielkie zaufanie cesarza, Andrassy, jeszcze jako minister węgierski, wywierał pewien wpływ na politykę zagraniczną monarchii. W r. 1870 w czasie wojny niemiecko-francuskiéj był jak najmocniéj za neutralnością Austryi. W lecie 1871 r., podobno na wyraźne żądanie cesarza i kanclerza niemieckich, brał udział w zjeździe dwóch cesarzy w Gasteinie, na którym ułożono, że Beust ma ustąpić, a miejsce jego ma zająć Andrassy. Zmiana ta nastąpiła wkrótce. Téj jednak części działalności Andrassy'ego, jakkolwiek ogólno-europejskiego znaczenia, rozbiérać już nie możemy. Zaznaczymy tylko, że z razu nie było mu wygodnie w pałacu na Placu Balowym. Arystokracya austryacka była przeciw niemu, widząc w nim dawnego rewolucyonistę i twórcę dualizmu monarchii, z którym się dotąd oswoić nie może. Za to był bardzo popularnym w potężnych finansowych sferach

i u publiczności, będąc wprost postrachem urzędników swéj kancelaryi, pedanteryą i starą rutyną przesiąkłych. Po przeprowadzeniu związku trzech cesarzy, który się rozpadł z powodu wojny turecko-rosyjskiéj, po poprzednim zjeździe reichsztadzkim, tak ważnym w téj sprawie, po kongresie berlińskim, z którego przywiózł dla Austryi dwójznaczny dar: Bośnię i Hercegowinę, ostatniém jego i księcia Bismarcka dziełem było przymierze austryacko-niemieckie, zawarte w 1879 r., będące dotąd osią położenia ogólno-europejskiego. W kilka dni po podpisaniu tego przymierza wziął dymisyę, ustępując miejsca baronowi Haymerle. Przez ostatnie lat dziesięć przemawiał tylko od czasu do czasu w delegacyach wspólnych austro-węgierskich o polityce zagranicznéj, a do słów jego zawsze wielką przywiązywano wagę, bo do końca życia cieszył się wielką życzliwością cesarza. Czy go nudził spokój domowy? Czy tęsknił do władzy, którą tak łatwo pożegnał? Czy pragnął do niéj wrócić? Różnie różni o tém mówią. Powszechnie jednak twierdzą, że dopiéro z czasem, gdy więcéj rzeczy na jaw wyjść będzie mogło, ludzie uznają, jak bardzo ten człowiek *sortis bonae* był człowiekiem niepospolitym i daleko rzeczy widzącym, jak się nie potrzebuje lękać sądu o nim historyi.





SNY LUDZKOŚCI.

(Dokończenie).

b) Kojarzenie całych układów.

Usprawiedliwienie racyi bytu w rzeczywistym świecie nie istniejących postaci, a pojawiających się tylko w świecie marzeń, jest jednym z dowodów, że oddzielne prawa logiki rządzą fantazyą twórczą. To było przedmiotem pierwszéj części niniejszego rozdziału.

Pozostaje więc nam teraz prawo kojarzenia oddzielnych cech w całości typowe, do całych nowych artystycznych zastosować układów. Zastosowanie to wyjaśni nam jeszcze bliżéj proces tworzenia się w umyśle artysty, nietylko oddzielnych typowych idealnych postaci, ale nadto całości, bardziej złożonych.

W świecie sennych i artystycznych marzeń przestrzeń i czas, oddzielne zjawiska rozdzielający, zgoła nie istnieje. Na lekkich skrzydłach marzenia, w mgnieniu oka, z elektrycznéj iskry szybkością przebiegamy czasu i przestrzeni otchłanie. Tego rodzaju kojarzenie, z punktu widzenia t. zw. trzeźwéj logiki, wytwarza niedorzeczności, wzniosłe jednak obrazy dla uczuciowéj strony naszéj jaźni.

Fantazya artysty kojarzy nietylko cechy znamienne oddzielnych postaci w jednę idealną całość, ale biegnąc daléj tą drogą myślenia, sprzęga typowe postaci, jednostki typowe, w nowe idealne układy. Przez takie kojarzenia duch, wznosząc się po nad chwilowy konwencyonalizm wieku, wybiega po za ciasne koło chwili obecnéj, na bezgraniczne obszary ludzkości. Zdaniem Kanta, sny są na to dane, aby odkryć naszym oczom nowe zakryte horyzonty. Istny to epigraf działalności artystycznéj.

Dla artysty np. wiarą chrześciańską natchnionego, prawdy nauki Chrystusa są niezmienne, wiecznie pośród ludzkości żyjące. Kojarzy téż on zdarzenia, z przed ośmnastu wieków, z czasem w którym sam żyje.

Zwiastowanie N. Maryi Panny, nie jest téż dla artysty zwykłym z Pisma zaczerpniętym faktem, ale wzorem zawsze dla młodéj chrześcianki godnym do naśladowania, odbiciem cnót Maryi, gwiazdą przewodnią chrześciańskiéj niewiasty. Życie społeczne chrześciańskiéj niewiasty ma być życiem domowéj zagrody, dla tego téż mistrzowie pędzla przystrajają postaci N. Panny w stroje epoki, w któréj sami żyją, umieszczają te postaci w odpowiednio do stylu wieku udekorowanych komnatach.

Dekoracya więc renesansowa komnaty, w któréj Donatello i Ghirlandajo przedstawia chwilę Zwiastowania, jest historycznym fałszem, prawdą jednak niezbitą dla tych mistrzów społeczeństwa spółczesnego.

Usprawiedliwionemi także być muszą kostiumy XVII wieku, romańska, czy téż gotycka architektura komnaty, na obrazie Hugona v. d. Goesa i Eyck'a.

Nieustannie, w świecie chrześciańskim odradzająca się co roku pamiątka przyjścia na świat Jezusa i złożenie do grobu Zbawiciela, jest zawsze żywotną, i dla tego z punktu filozoficznego zapatrywania się, ani nas dziwić, ani téż przez krytykę potępiane być nie powinny anachronizmy kostiumowe i otoczenia, np. mistrza Stefana, Dürera i wielu innych artystów, których dzieła wymieniliśmy w rozdziale II-im pracy niniejszéj.

Łukasz v. Leyden przedstawia nam w swym Kulcie Bożyszcza, króla Salomona, o flamandzkich rysach twarzy, starannie ogolonego, w czapkę, przypominającą dzisiaj używane t. zw. szlafmyce, przystrojonego, w długim płaszczu ze złocistym na szyi sędziowskim łańcuchem. Król klęczy i składa ręce jakby do modlitwy, którą zanosi do nagiego posążka z oślemi uszami i baranią czaszką w lewym ręku. Przed Salomonem jedna z jego małżonek w czepcu z bogatym pióropuszem, na głowie, w stroju z XVI wieku, jednym palcem na posąg wskazuje, jakby tym sposobem nieodwołalny daje rozkaz swemu małżonkowi królewskiemu.

Przed obrazem brak tylko komentarza, w formie znanego, często powtarzanego dwuwiersza:

Pomimo tak wielkie płci naszéj zalety...

Najwidoczniéj tak dziś, jak przed 4000 lat.

Zdrowy rozsądek silnie krytykuje obrazy, na których dwukrotnie jedną postać w dwóch fazach życia przedstawiono. Tak np. w obrazie Luini'ego Ofiarowanie Jezusa w świątyni, na dru-

gim planie przez arkadę świątyni widzimy postać N. Panny z Dzieciątkiem, w chwili podróży z Betleem do Egiptu.

Takie zestawienie dwóch oddzielnych epizodów z życia jednéj i téjże saméj postaci, sprzeciwia się wprost zdrowéj logice. A jednak, taki brak logiki w innéj gałęzi sztuki zupełnie jest usprawiedliwiony. Częstokroć w ostatnim akcie opery przebrzmiéwa arya, będąca motywem jednego z aktów poprzedzających, aryą wyrażającą wprost kontrastowe uczucie, temu, które ostatniego aktu stanowi osnowę. Jest to reminiscencya minionéj chwili, przeszłość z teraźniejszością skojarzona, wywołanie silniejszego wrażenia, jakby przez zestawienie barw kontrastowych.

Przykładów takich można by wiele przytoczyć.

Doskonała, niemal niewolnicza, symetrya jest ogólném znamieniem kompozycyi obrazów treści religijnéj, cudowne przedstawiających zjawiska. Przykładem takiego ugrupowania: Adoracya Baranka v. d. Eyck'a, Śmierć Ananiasza Rafaela, obrazy Dosso-Dossi, Moretto, Bogna-Cavallo, Adoracya Św. Trójcy Dürer'a i wiele innych arcydzieł pędzla [1]).

Niepodobna przypuścić, aby postaci w naturze mogły w tak doskonałéj grupować się symetryi. Jest to więc błąd przeciw zwykłéj logice i prawu rządzącemu naszemi ruchami.

Atoli, cudowność w zjawisku piękna ujawniana, nie może być ocenianą zwykłą miarą chłodnego rozsądku. Zadaniem zaś estetyki nie jest analizowanie saméj idei, zwłaszcza idei wkraczającéj w sferę teologii. Przyjmowanie takiéj lub odrzucanie innéj idei, nie może być przedmiotem umnictwa piękna, którego zadaniem badanie saméj formy, a to względnie jak ta forma ideę zmysłom unaocznia. Musimy więc samą ideę, sam temat tego rodzaju obrazów, przyjąć bez krytyki, a ograniczyć się tylko do wyświetlenia formy, która danéj idei odpowiada.

Pojęcie siły wyższéj, przedwiecznéj mądrości, koleją światów rządzącéj, przez wrodzone poczucie uzmysławiamy sobie w doskonale symetrycznym kształcie, a zatém w kształcie wolnym od wszelkiéj przypadkowości.

Symetrya od niepamiętnych czasów jest konkretnym, materyalnym obrazem potęgi opatrznościowéj.

Układ téż taki przyswojony został we wszystkich gałęziach sztuki, celem wyrażania praw, światem rządzących.

Za pomocą umiarowego, kolistego kształtu w układzie często-

---

[1]) Porówn. opisanie tych obrazów w rozdz. II.

kołu w Salisbury, ujawnia druidycki architekt wiarę w prawo przedwieczne, rządzące światem i bytem na nim żyjących istot. Wszystkie budowle obrzędów religijnych, z małym bardzo wyjątkiem [1]), są układu symetrycznego.

Postaci więc obrazu malarskiego, cudownéj nadziemskiéj sile, a nie przypadkowi praw doczesnych ulegając, nietylko w wyrazie fizyognomii i giestach ciała, ale także w zbiorowym wyrazie, w ugrupowaniu potęgę téj siły wyrażają.

Absolutna więc symetrya musi tu być przez *sui generis* logikę, zupełnie usprawiedliwiona. Zarówno więc oddzielne postaci, jak cała ich grupa, przybiéra niezwykłe, w rzeczywistym świecie nie bywałe pozycye i ugrupowanie, ugrupowanie nie powszednie — świąteczne...

Przez symetryczne, jakby z pola trójkątnego frontonu świątyni wyjęte postaci, wyraża Rafael Mengs w swym Parnasie, pogodę, niezłomny kanon, złotą równowagę klasycznego świata.

Symbolizm więc taki usprawiedliwiony, ma sobie właściwą surową logikę, ale zarazem logikę sennym marzeniom właściwą. Kształt bowiem symetryczny o tyle odwieczną prawdę, Boga, symbolizuje, o ile śnieżne lodowate krainy są właściwym symbolem chłodu, spowodowanego zsunięciem się kołdry z człowieka w sennych marzeniach pogrążonego.

We śnie też i w sztuce widzimy tylko prawdopodobieństwa, symbole prawd i uczuć, symbole prawd za same prawdy przyjmujemy. We śnie i w dziedzinie sztuki używamy wszelkich możliwych, a nawet niemożliwych sposobów, aby wytłómaczyć sobie plastycznie to, co uczuciem naszém wstrząsa.

Aby więc téj potrzebie zadość uczynić, myśl na skrzydłach fantazyi w daleki świat wysłana, zbiéra w nim to, co w zjawiskach najbardziéj charakterystyczne, znamienne. Z ołtarza, na którym przedewszystkiém poświęcona zostaje logika czasu i przestrzeni, wznoszą się schlebiające uczuciu kadzidła i czcze dymy. Artyści grają tu rolę ofiarników.

Siemiradzki, na swym obrazie Fryne, poświęca prawdę przestrzenną, gwoli zadowoleniu zmysłów. Każe on, aby święto eleuzyjskie Jakcha, abluwiacya mistersów, odbywało się w bliskości świątyni, jak to obraz wymieniony przedstawia. Tymczasem według hi-

---

[1]) Np. nowszych w Anglii wznoszonych kościołów.

storycznych danych, rzeczona uroczystość miała miejsce daleko od świątyni Demeter-Cerery, na eleuzyjskiéj akropolis rozniesionéj.

Artysta jednak pojmując znamienną cechę świata klasycznego, nie mógł dać obrazu świata tego bez przedstawienia klasycznéj świątyni. Nastąpiło więc tu skojarzenie dwóch od siebie oddalonych w jedną miejscowość: miejsca w którém według historyi odbywało się święto Jakcha, gdzie miało miejsce znane zdarzenie z Mnezaretą (Fryne), z miejscowością u podnóża akropolu, na swym szczycie dźwigającego klasyczną świątynię. Jest to więc takie samo stapianie cech znamiennych, jakie widzieliśmy przy wytwarzaniu idealnych typowych postaci.

Jakeśmy już kilkakrotnie wspominali, taki sam proces myślenia odbywa się podczas snu; nieistniejące w naturze krajobrazy, w marzeniu widziane, są produktem analizy i syntezy na jawie przyswojonych spostrzeżeń.

Wieczerza Pańska Leonarda da Vinci i Śmierć Imperatora Alma Tademy, to dwa historyczne tematy, zarazem dwie godne zastanowienia antytezy.

Pierwsze z tych dwóch dzieł, wbrew swemu tytułowi „Wieczerza“, wśród dnia białego ma miejse, pozornie niedorzeczność, w gruncie jest dowodem wysokiego daru kojarzenia twórcy tego dzieła.

Albowiem wieczernica u stołu Bożego, uczta otwierająca wiernym wrota niebiańskiéj szczęśliwości, nie może się odbywać wśród ciemności, ciemności z występkiem kojarzonéj. Noc bezdenna zarówno prostaczka, jak mędrca zgrozą i trwogą grobową przejmuje, jest ona matką występku i zbrodni, obrazem doliny potępieńców pogańskiego Hadesu i chrześciańskiego piekła.

Przedsionek więc zbawienia, droga wiodąca do niebieskich szranków, musi być promienną, świetlaną, jaśniejącą blaskiem krainy wiecznéj szczęśliwości.

Wbrew téj świetlanéj atmosferze drugi z dwóch wymienionych powyżéj obrazów jest przyciemniony, sceną dlań właściwa, ciasna, niska komnata. Atoli, jak wiadomo, Juliusz Cezar zgładzony został we wspaniałéj, wysokiéj, bogato przystrojonéj sali na rzymskim Kapitolu, ale przestrzeń taka, to nie jaskinia zbójców, dla nich trzeba odpowiedniego otoczenia, artysta więc pozwala sobie na licencyą, przenosi samo zdarzenie do niskiéj, o przyćmioném świetle komnaty. W zacieśnionym, dusznym pokoju zazwyczaj powstają sny niepokojące, ich symbolami zmory, rozbójnicy i zbrodnie. Pomimowoli téż na widok sceny na obrazie przedstawionéj, w takim środku mającéj miejsce,

dech w piersi zamiéra. Jestto halucynacya na jawie, podobna do téj, któréj podczas snu doświadczamy.

Na wymienionym powyżéj obrazie Leonarda da Vinci, na stole wieczernicy widzimy przewróconą solniczkę, symbol zdrady Judasza.

W „*stanze*'ach“ zaś naszych dziejów takim pełnym artystycznéj prawdy i fałszu historycznego symbolem, są dukaty na podłodze rozrzucone i trzos w kapeluszu ukryty na Rejtanie Matejki. Fałsz historyczny; albowiem historya bynajmniéj nie wspomina, aby wziątki podczas trwania samych sesyi sejmu konfederacyjnego z r. 1772 były wypłacane. Nawet zdrowy rozsądek nie dopuszcza, aby przekupstwo mogło odbywać się w saméj sali sejmowéj, wobec licznych świadków; takie brudne sprawy bywają zazwyczaj bez świadków załatwiane.

Atoli z drugiéj znów strony, wszystkim wiadomo, że frymark publiczném dobrem w owych czasach bynajmniéj nie był nadzwyczajnością. Wiadomo także, jakie sumy przez ręce Stackelberga przechodziły do kieszeni Ponińskiego i wielu innych.

Skojarzenie więc trzydziestu judaszowych srebrników z tragiczną sceną, przez Matejkę odtworzoną, jest historyczną prawdą, barwami bowiem maluje ducha czasu.

Jakkolwiek wszyscy [1]) historycy nasi jednogłośnie przyznają, że podczas sesyi sejmowych z r. 1772, zamek warszawski był otoczony obcemi wojskami, żaden jednak nie wspomina, aby grenadyerzy rosyjscy znajdowali się przed samemi drzwiami komnaty, w któréj odbywała się sesya w dniu 19 kwietnia [2]), jak to nam Matejko przedstawia.

Nastąpiło więc tu znów skojarzenie dwóch miejsc: sali sejmowéj z zamkowym dziedzińcem, na którym istotnie biwakowały straże wojsk obcych.

Lubo nic nie wiemy o portrecie, który miał być, według Matejki, w komnacie sejmowéj zawieszony, jednak jest on barwną ilustracyą ducha czasu, spojrzenie tego portretu małoduszne serca mrozi.

Rozrzucone dukaty, we drzwiach grenadyerzy, portret, są to wszystko historyczne fałsze, bez których jednak karta historyi ręką

---

[1]) Porówn. Schmidta, Morawskiego, Kraszewskiego (Polska w czasie trzech rozbiorów (opis sesyi sejmowéj na str. 89).

[2]) Morawski: „Wojsko najezdnicze otoczyło zamek“, str. 162.

malarza odtworzona, byłaby historyczno-artystycznéj prawdy pozbawiona [1]).

W Rzeczypospolitéj Babińskiéj anachronizm wieku Jana Kochanowskiego i obok niego stojącego Bartosza Paprockiego, da się tém wytłumaczyć, że w „Babińskiéj rzeczypospolitéj“ wszystko na wspak się dzieje. A więc młody poeta w poważnych myślach zatopiony, stary (na obrazie) heraldyk i satyryk do rozpuku się śmieje. Myśl poważna bardziéj harmonizuje z głębokością spojrzenia Jana z Czarnolasu, iście satyryczna fizyognomia pana Bartosza, zdaje się zgromadzonym prawić o Kole rycerskiém, w którém rozmaite zwierzęta swe rozmowy mają.

Czyż można lepiéj scharakteryzować „Babińską“ rzeczpospolitą, jak postacią w głębokiéj myśli zatopionego młodzieńca, a obok niego, pustego jak młodzieniaszek—starca [2]). Albo téż arcybiskup [3]) bije w dłonie, nie zważając na obecność apostaty, żonatego kapłana: Stanisława Orzechowskiego.

Fałsze historyczne u historycznego malarza, niedorzeczności wszelkiego rodzaju u innych mistrzów, nietylko są usprawiedliwione, ale nawet koniecznym częstokroć warunkiem artystycznéj twórczości.

Podobnie jak nienaturalność niewolniczéj symetryi w obrazach religijnéj treści, fałsze historyczne odtwarzających dziejowe zdarzenia, tak samo rozumowana estetyka musi usprawiedliwić postaci zawieszone w obłokach, jakie widzimy np. na obrazach Matejki: Grunwald i Joanna d'Arc. Malują one bowiem silną, niezachwianą wiarę społeczeństwa, które w tych zdarzeniach brały udział. Przez pominięcie tych, według zdania wielu (t. zw. racyonalistów) niedorzeczności, obraz historyczny byłby historycznym fałszem, albowiem zdarzenie, w dziele malarskiém odtworzone, musi być tak pojęte, jak je współcześni pojmowali, nie zaś tak, jak my dziś na to zdarzenie się zapatrujemy. Artysta nie jest fotografem, kostyumerem, albo stylowym dekoratorem, ale celem jego — odmalowanie, unaocznienie ducha epoki, myśli w niéj panującéj, bez analizowania téj myśli skalpelem chłodnego rozumu.

---

[1]) Zresztą zdarzenie na Rejtanie odtworzone, lubo miało miejsce, jednak nie tak, jak to nam Matejko przedstawia. Porówn. Schmidta i in.

[2]) Na omawianym obrazie Jan Kochanowski młodszy niż Bartosz Paprocki, co jest sprzeczném z historycznemi datami. pierwszy bowiem ur. 1530 r.; drugi zaś ur. 1543, a więc Kochanowski starszym być powinien od Paprockiego o całe lat 13.

[3]) Mikołaj Dzierzgowski.

Postać taka, jaką jest oswobodzicielka Francyi od najazdu Anglików, Joanna d'Arc, mogła tylko powstać wśród ludności gorącą wiarą przejętéj. Takiéj właśnie ludności widzenia i przekonania unaocznia nam artysta w obrazie, o którym mówimy.

Ale z drugiéj znów strony, z punktu widzenia chłodnéj krytyki, wszystko to w świecie rzeczywistym miejsca mieć nie może, jest produktem chorobliwych nerwów, halucynacyjnym objawem, snem cudownym na jawie.

Cudownych tych na jawie snów nicią organiczną, jakeśmy już kilkakrotnie wspomnieli, jest prawo kojarzenia na mocy podobieństwa. Przez nie umysł wznosi się do coraz większych uogólnień, władza twórcza artysty ucieleśnia abstrakcye, a talent jego polega właśnie na doborze takich podobieństw, za pomocą których przez zmysły i uczucia do umysłu przemawia.

Bez tych wszystkich nielogiczności, sztuka nie zadawalniałaby fantazyi, co jest znów stwierdzeniem jéj bliskiego z sennemi marzeniami pokrewieństwa.

Obrazy, odtwarzające prawdę natury z realną prawdą, są fotogramami, rzetelném świata odbiciem, artystycznym fałszem.

Przykładem takiego traktowania sztuki malarskiéj nowsze dzieła Anglików. Są to wyborne odtwarzania barwą i rysunkiem tego, co widzi oko pozbawione daru analizy według swego indywidualnego, a zatém nie dla wszystkich przystępnego sposobu patrzenia. Ktoś tego rodzaju dzieła trafnie porównał z owémi obrazkami dla dzieci, bardzo starannie rysowanemi i kolorowanemi, które służą do nauki poglądowéj, metodą freblowską wykładanéj.

Pamiętać o tém bowiem należy, że prawda realna, bezwzględna, w świecie sennych marzeń, na wygnanie skazana. Świata tego nie można oceniać zwykłą powszednią miarą, jest on bowiem światem udzielnym, mającym dla siebie własny swój kodeks. O tém najlepiéj przekonywa kompozycya rzeźbiarskich pomników. W nich nielogiczność dla trzeźwego rozsądku widoczna, a jednak niedorzeczność ta do naszéj wyobraźni przemawiając, musi w sobie pierwiastek prawdy zawierać.

Postać człowieka, osobliwie zaś jeźdźca, na cokóle wysokim kilka lub kilkanaście stóp, zwykłą logiką nie może być usprawiedliwiona.

Taki układ, taka niedorzeczność, dogadza naszemu uczuciu. Uczucie bowiém pod wpływem gwałtownych wstrząśnień duchowych, pod wpływem wzniosłych myśli, w uwielbieniu dla pewnéj idei lub zdarzenia wiekopomnego, sprawia, że pomimowoli, bezwiednie, wznosimy wzrok ku górze, ku sferom, które instynktowo za wyższe, niebiańskie uważamy.

Jestto kojarzenie uczucia i pojęcia wzniosłości z przedmiotami bądź-to wielkich rozmiarów na wysokość, bądź-to z przedmiotami wysoko ponad poziom wzniesionemi. Zgodnie więc z tém wrodzoném nam poczuciem, poczuciu temu zadość czyniąc, wznosimy wysokie budowle, na których umieszczone przedmioty nabierają w oczach i pojęciu naszém niezwykłego znaczenia i wartości.

Takie pojęcie, takie symbolizowanie wzniosłych idei, jest genezą i rdzeniem kształtowania ołtarzów i pomników; są one właściwie tylko wysokiém podmurowaniem, ponad poziom wznoszącém przedmiot, który jest symbolem saméj idei. Wysokie wymiary podmurowania zniewalają wzrok, a za wzrokiem myśl, do podążania do sfer, które za wyższe uważamy.

Na téj zasadzie logika estetyczna prędzéj usprawiedliwić może kolumnę Zygmunta III w Warszawie, niż pomnik Kopernika w témże mieście wzniesiony. W pierwszym ukształtowanie wprost do zmysłów przemawia, wzrok i myśl widza zniewala do wzniesienia się ponad poziomy; ukształtowanie takie wywołuje, jakby za sprawą myślowego poddawania, uczucie i wyraz fizyognomii widza, właściwy natchnionym gorącą wiarą, w chwili religijnéj ekstazy.

Kopernik na pomniku Thorwaldsena nie wzbudza tych uczuć. Wielki astronom w pozycyi spokój cechującéj, umieszczony na względnie niskim piedestale, żadna myśl nim nie wstrząsa, fizyognomia jego bynajmniéj nie zdradza wielkiéj pracy tworzenia [1]).

Z bronzu odlany kolos w todze rzymianina, na grzbiecie bucefała, kiedy na pochyły i śliski pagórek z granitu wskakuje, po drodze, węża tratując, zupełnie estetycznie usprawiedliwiony, jest mistrzowskiém, pełném myśli głębokiéj dziełem, zdaje się być:

> Jako lecąca z granitów kaskada,
> Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie... [2])

Najniedorzeczniejszą pozornie, w gruncie najsubtelniejszą logiką rządzi się twórczość architekta.

Trzy gradusy świątyni klasycznéj, pozornie olbrzymie, dla człowieka niedostępne schody, w istocie to baza, piętrzący się cokół, *sui generis* ołtarz, na którym wznosi się pomnik architektoniczny, bóstwu wzniesiony.

Żłobienie kolumn, a zatém zmniejszenie ich massy, podpory mechaniczne osłabienie, wzmacnia te podpory dla oka. O czém w bardzo prosty sposób możemy się przekonać, a to przez porównanie gładkiéj

---

[1]) Porówn. także artykuł mój w „Tygodniku Ill." № 323 i d. r. 1889.

[2]) Mickiewicz. Poezye T. II, str. 387. Lwów 1880.

niežłobionéj ze żłobioną kolumną. Pierwsza, jakkolwiek żłobieniem nie osłabiana, słabszą oku będzie się wydawać.

Z twardego kamienia utoczony kapitel, w rzeczywistości pod działaniem ciężaru nie może przeobrazić się w kształt krzywolinijny, ale twórczość architektonicznéj fantazyi tworzy hypotezę, że materyał do budowy użyty jest do pewnego stopnia elastyczny, pewną siłą odporności obdarzony, a zatém z kamienia, nieustrojowego tworu, czyni twór ustrojowy, wewnątrz jego cząstek działającą siłą ożywiony. Na zasadzie takiéj hypotezy, architekt nadaje pewne krzywizny architektonicznym organom z twardego kamienia zdziałanym, w nieorganiczne, martwe twory, wlewa pulsy życia.

Bogowie helleńscy, w trójkątnym frontonie umieszczeni, są winietą architektonicznego dzieła, ich stylizowanie wskazuje estetycznèm poczuciem obdarzonemu widzowi, że są oni tylko zapełnieniem trójkątnéj ramy, rozpostartém obiciem w trójkątnéj ramie [1]. Od prawdy realnéj, od żywych, ze świata rzeczywistego wziętych postaci, oddziela je całe niebo artyzmu.

Nareszcie gryfy, figury i rozmaite motywy, zakończenie budowli stanowiące, zadość czynią prawom fizyologicznéj optyki, są na zasadzie téj nauki niezbicie usprawiedliwione.

Rzetelność twierdzeń powyżéj przytoczonych, tyczących się sztuki architektonicznéj, musi czytelnik przyjąć na słowo, albowiem bardziéj szczegółowe w téj materyi objaśnienia i udowodnienia weszłyby już w zakres bardzo specyalnego traktatu, tylko dla specyalistów dostępnego.

W innéj pracy udowodnimy logikę ścisłą architektonicznéj twórczości [2].

IV.

Następstwo zdarzeń.

Zmęczenie jest poprzednikiem, marzenia następnikiem snu.

Głównem znamieniem życia naszego, okresowość funkcyi organizmu: oddychania, uderzania serca, obiegu krwi, powtarzających się

---

[1]) Porówn. pod tym względem „Piękno u domowego ogniska" stronica 104 i dalsze.

[2]) Porówn. pracę moją „Analiza kształtów architektury", część I. W części drugiéj, będącéj dotąd w rękopisie tłómaczymy i wiele takich i innych t. p. kwestyj.

w jednakich, niemal ściśle matematycznie dających się oznaczyć odstępach czasu.

Taki sam porządek rzeczy powtarza się w naszém życiu duchowém.

Po dłuższym wysiłku myśli, zniewoleni jesteśmy na mocy niezłomnego prawa, do dłuższego lub krótszego odpoczynku, a to stosownie do natężenia władz duchowych.

Wiadomo, że każde działanie wywołuje przeciwdziałanie. Ani radość, ani smutek wiecznie trwać nie mogą, luzują się wzajemnie. W zakresie nawet pracy umysłowéj, z konieczności ciągłe następują przemiany. Jednego dnia, będąc bardziéj do praktycznych zajęć usposobieni, nazajutrz skłaniamy się do pracy umysłowéj.

„Gdy dusza—mówi Burdach—do pewnego zdąża celu, przedmiotem jakim zajęta, żywo sobie te przedmioty uprzytamnia, czy to w myśleniu, czy téż w użyciu,—tam sen miejsca miéć nie będzie“ [1]).

Sen następuje z chwilą, gdy zadość uczynimy teraźniejszości, potrzebie chwili, gdy zamkniemy księgę rachunków raźnego naszego działania. Aleksander, Sekstus Pompejusz, Napoleon i wielu innych wodzów zasypiają snem spokojnym po nakreśleniu planu bitwy, w wigilią stanowczéj chwili życia. Kato spędza noc poprzedzającą chwilę swéj dobrowolnéj śmierci, jak każdą inną.

Kiedy radość przestanie łechtać umysł, a nieszczęście już się spełniło, kiedy umysł nasz już temi uczuciami nasycony, niebawem sen następuje.

Każde bowiem działanie przeciwdziałanie wywołuje, po fizyczném i duchowém natężeniu, owłada nami reakcya w postaci wyciągniętych muskułów i rozluźnienia nitek nerwowych.

Według Preyer'a w czasie czuwania nagromadzają się w mięśniach p r o d u k t y z m ę c z e n i a, pod postacią kwasu mlecznego, które to produkty podczas snu, za pomocą nagromadzenia tlenu, znów rozkładowi ulegają.

Głębokie myślenie i praca woli wywołują zmęczenie, wskutek którego sen następuje. Zmęczenie więc, czy to pracą ducha, czy téż fizyczną pracą wywołane, fizyologowie przyjmują za najbliższą przyczynę snu.

Podczas snu bardzo mało krwi do mózgu napływa, z chwilą znów kiedy mięśnie i nerwy dostatecznie odżywione zostaną, a krew dawny swój bieg odzyskuje, kiedy krew znów do mózgu przypływać zaczyna:

---

[1]) Radestock, str. 72.

senne występują marzenia, które Hegel nazywa wahaniem się duszy pomiędzy urojeniem i rzeczywistością, pomiędzy bytem a niebytem.

Senne marzenia zajmują więc pośrednie pomiędzy nienormalném a normalném stadyum naszego istnienia. Występują one w chwili przejścia od czuwania do snu, ale częściéj jeszcze i w bardziéj plastycznym kształcie i żywszéj barwie, w chwili przejścia od snu do czuwania.

Sny znikają nad ranem, silniejszemi bodźcami z umysłu wygnane, powracają wieczorem, kiedy bodźce na swéj mocy straciły i na znieczulony organizm działają.

Streszczając więc wyniki badań fizyologów, powiemy, że sen jest wynikiem fizycznego lub duchowego zmęczenia; senne zaś marzenia wyrazem przejściowéj fazy, kiedy organizm zaczyna się odżywiać, wtedy człowiek otacza się obłokami sennych widziadeł.

Okresowość taka, takie następstwo faktów, powtarza się z największą dokładnością w świecie marzeń pojedyńczéj i zbiorowéj jednostki. Tak np. osobistości odznaczające się niezwykłą w życiu energią, bynajmniéj do marzeń nie skłonne, mające przed sobą cele zupełnie realne, po ich zaspokojeniu, po fizyczném czy téż duchowém wyczerpaniu, w senne wpadają marzenie. Jako przykład wymieniamy Napoleona, którego nadzwyczajna sprężystość, pogarda czułostek, wszelkiego rodzaju marzeń, choćby te marzenia z umiejętnością łączność miały, to czynnego życia wcielenie; Napoleon po dojściu do największych godności konsula i po wstąpieniu na tron, krótką odpoczywa chwilę, po któréj natychmiast wpada w senne marzenie. „Marzy on o stworzeniu nowéj religii, widzi sam siebie (niby w senném marzeniu), jak na słoniu z koranem w ręku, którego sam jest twórcą, odbywa podróż do Azyi. Paryż w jego wyobraźni rośnie do bajecznych rozmiarów, każdy monarcha ma w téj stolicy świata swój oddzielny pałac; pragnie, aby Paryż stał się czémś bajeczném, nieznaném...

„W chwili, gdy mówił te słowa, oczy jego jaśniały dziwnym blaskiem. Artyzm, tkwiący w duszy tego męża czynu, zrzuca pęta niewoli i budzi życie w idealnéj krainie nieprawdopodobieństw“ [1]). Takie obrazy senne, swą cudownością teatralne, czarnoksięskie melodramaty przypominające, wysnuwa każdy niemal człowiek po nasyceniu potrzeb życia realnego.

Nasycenie takie, zmęczenie duchowéj, czy to fizycznéj natury człowieka, pociąga za sobą senne marzenie, które w duszy jak kwiat na rozwiniętéj już roślinie wyrasta.

---

[1]) Taine, „Napoleon Bonaparte.“

Życie pojedyńczéj jednostki ze społecznêm życiem nieraz było już porównywane. Nigdzie jednak podobieństwo to tak jaskrawo nie rzuca się w oczy, jak przez porównanie marzeń jednostki z marzeniami ludzkości.

Śledząc bieg rozwoju sztuki, dochodzimy do wniosku, że arcydzieła artyzmu są echem doniosłych wypadków dziejowych i w krótką chwilę po nich rozkwitają.

Prawdy téj nie możemy udowodnić na dziełach sztuki egipskiéj i asyryjskiéj, których daty powstania ze ścisłością oznaczyć się nie dadzą. Zwróćmy się więc wprost do Hellady.

Około 750-go roku zaczyna się pierwszy olbrzymi ruch kolonizacyjny, w tym bowiem czasie Koryntczycy udoskonalają budowę łodzi o trzech rzędach wioseł. Pomiędzy téż 750 a 680 r. odpływają z Hellady i Azyi-Mniejszéj do Italii i Sycylii niezliczone statki. Naksus, Syrakuzy, Megara, Messyna, Gela, Sibaris, Krotona, Regium i Tarent w tym właśnie czasie powstają. Egipt otwiéra swe porty dla handlu helleńskiego.

Jest to rzecz dowiedziona, że nagłe nagromadzenie się wielkich bogactw i dostatków wytwarza klasę próżnujących, która, mając do syta zaspokojone potrzeby materyalne, tym snem ekonomicznym pokrzepiwszy siły organizmu, zaczyna wysnuwać marzenia artystyczne.

Do Samos przypływa pierwsza galera w 18 ol. (704 r.),—30 ol. zaś jest czasem, w którym to miasto do największego rozkwitu bogactw dochodzi. Około téż 45 ol. (596 r.) wytwarza się cała dynastya artystów, jak Rekos, dwaj Teodorowie i Telekles, wszyscy z Samos rodem. Mniéj więcéj w tym czasie wzniesione zostaje hereum w Samos, labirynt na Lemnos, artemisium w Efezie. Teodor jest twórcą wielkiego krateru, który zdobił pałac królów Persyi. Świątynia Artemidy na wyspie Ortygii, świątynia w Selinuncie przed 600 rokiem wzniesione. Świątynia w Agrigencie zaś po roku 582.

Obok wzrostu bogactw, około 50 ol. (576 r.) rozwija się szczególniéj gimnastyka [1]). Za czasów Taletasa i Sakadasa gymnopedyka i hyporchemiatyka i inne rodzaje orchestryki doszły do artystycznego rozwoju. „Najstarsi tragicy od czasów Tespisa, byli przeważnie nauczycielami tańca“ [2]).

Według Atenaiosa dzieła starszych artystów zawierały w sobie wiele rzeczy ze staréj choreograficznéj sztuki zapożyczonych [3]).

---

[1]) Müller, § 78.
[2]) Tamże, § 78, 1.
[3]) *Atenaios*, XIV, p. 629, 6.

W tym samym czasie (po roku 560) Pizystrat nakazuje uporządkowanie pieśni rapsodów: Iliadę i Odysseę.

Rozwój gimnastyki, wzrost liczby bohaterskich atletów i spopularyzowanie ich w pieśni rapsodów, odbiły się echem w sztukach rysunkowych.

Posągi też i dzieła architektoniczne przedewszystkiém atletyczną siłę wyrażają. W pierwszych wyraz fizyognomii zawsze tenże sam, głupowaty uśmiech, końce ust ku górze podniesione, profil bardzo regularny, linia nosa i czoła tworzy niczém nieprzerwaną całość, pozbawioną wyrazu.

W tym czasie (50 ol.) powstaje rodzina Dedalidów, pomiędzy którymi odznaczają się rzeźbiarze: Dipoen i Scyllos. Posągi atletów dochodzą do wielkiéj doskonałości około 58 ol., t. j. około 544 roku, a więc 15 lat po zebraniu przez Pizystrata pieśni Homera.

Rzeźby egińskie, jakby bohatérskiéj przeszłości odźwierciedlenie, przedstawiają Atenę prowadzącą Eacydów, czyli bohatérów Eginy na wojnę trojańską, walkę obok trupa Patrokla (może Achillesa?), Oiklesa zabitego przez Trojańczyków, który wmieszał się w kłótnią Heraklesa z Laomedonem.

Taki sam bohatérski charakter mają dzieła architektoniczne, powstałe w Pestum, Selinuncie i Agrygencie. Ich znamieniem krótkie przysadziste proporcye, nadzwyczaj gęsto ustawione kolumny, co nadaje budowlom wyraz nadzwyczajnéj, atletycznéj mocy. Kapitele rozłożyste, niby uginające się pod ciężarem pokrycia budowli, dzielnie temu ciężarowi przeciwdziałają. Wszystko tu wyraża moc legendowych postaci. Są to siedziby w rzeczywistości nie istniejącéj rasy ludzi.

Po tym pierwszym ekonomicznym i politycznym prądzie, nowy impuls na nowe tory twórczość artystyczną wprowadza.

Historya przekona nas, że polityczne i ekonomiczne zdarzenia są poprzednikami, nie zaś następnikami artystycznych marzeń. Przekonają nas cyfry (daty historyczne), że podobnie jak w umyśle pojedyńczego człowieka, tak samo w umyśle społecznym, po zmęczeniu następuje odpoczynek, sen, którego zakończeniem—marzenia w kształtach artyzmu ujęte.

Hegemonia Aten, zwiększenie się dochodów tego miasta, które wynoszą rocznie do 460, 600, a nawet 1200 talentów, przeniesienie przez Peryklesa skarbu publicznego do Aten, znów nowy impuls dają prądom sztuki. Przed wojną Peloponeską skarb państwa posiadał

9,700 talentów, a dochody roczne wynoszą do 1,000 talentów [1]). Dzieje się to około 477 roku.

W pięć lat później, t. j. 472 r. powstaje świątynia Zeusa Olimpijskiego, świątynia Pallady na wyspie Eginie (skończona po wojnach perskich, w każdym jednak razie przed połową V-go wieku) i świątynia Temidy w Ramnos.

Stanowczym jednak zarówno dla hellenskiéj kultury, jak dla hellenskiéj sztuki jest rok 466, zwycięstwo odniesione przez Hellenów nad Persami, nad Eurymedonem i pokój przez Cymona zawarty.

Społeczeństwo helleńskie nasycone materyalnemi dostatkami i moralnemi na polu bitwy upojeniami, w lat kilka śnić zaczyna o chwalebnéj przeszłości i sen ten w artystycznym symbolizmie uplastycznia. W krótkim téż czasie, po owéj nad Eurymedonem pamiętnéj chwili, powstaje świątynia Bezskrzydłego-Zwycięstwa (Nike-Apteros), któréj fryz, jakby odcisk skamieniałéj przeszłości snu w nim utrwalonego, przedstawia walki Hellenów z Persami.

Około 454 r. powstaje Partenon [2]), na którego frontonie uwieczniono zwycięstwo Ateny nad Posejdonem, symbol zwycięstwa Aten nad flotą perską.

Jestto wiek Iktinosa i Fidyasza (ol. 80—87), Polikleta (ol. 82—92), Myrona, Kallimachosa toreutyka, Alkamenosa i innych.

Charakter tych dzieł architektonicznych, jak rzeźbiarskich jest odźwierciedleniem snu złotego, w którym odbija się przeszłość pełna chwały, zupełne nasycenie tak materyalnemi, jak i moralnemi dobrami.

Rozwodzić się i wyświetlać błogi spokój, złotą równowagę, w dziełach epoki Peryklesa odźwierciedlonych, byłoby zbytecznem. Historycy i estetycy przedmiotowi temu już całe biblioteki prac swych poświęcili. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu, że dzieła złotéj epoki rozwoju sztuki helleńskiéj rozkwitły w krótkim czasie po zdobyczach materyalnych i moralnych Hellenów, i że te dzieła są jak sny, są odbiciem tego, co społeczeństwo na jawie doświadczyło, tych trudów nad dobrobytem i walk o chwałę narodową. W sztuce skrystalizowane sny wystąpiły nie bezpośrednio po dokonanych wielkich zdarzeniach, ale po zniszczeniu t. zw. produktów zmęczenia.

Widzimy więc tu powtórzenie prawa rządzącego pojawianiem się marzeń sennych.

---

[1]) Boeckh, „Economie politique des Athéniens," I, 427.

[2]) Skończony 438 r.

Trzy więc odróżniamy tu stadya: zmęczenie, sen i senne marzenia.

Złotą epokę sztuki helleńskiéj zamyka brama, którą w historyi architektury Propyleami ateńskiego akropolu nazywamy. Zaczęte w roku 436, skończone w 431 r., t. j. w chwili wybuchnięcia wojny peloponeskiéj, która, niwecząc duchowy spokój Hellady, obudza nieznane dotąd namiętności, niweczy zarazem równowagę i spokój snów artystycznych.

Granicznėm dziełem pomiędzy poprzedzającą epoką, a tą, która po wojnie peloponeskiéj nastąpiła, jest na ateńskim akropolu wzniesiony Erechteion. W tém arcydziele przejawia się już zatracenie złotéj równowagi życia helleńskiego. Dotąd bowiem świątynie doskonale symetryczne, zrównoważone, przedstawiają jednolitą masę. Erechteion jest pierwszą próbą t. zw. ożywienia mas, jako niesymetryczna budowla.

Prostota, powaga i spokój stylu doryckiego nie odpowiada im już, staje się symbolem, odbiciem minionych zdarzeń, tego co społeczeństwo doświadczyło. Dorycka prostota ustępuje miejsca wschodniemu przepychowi. Jońskie i koryncskie kolumny stają się w architekturze panującemi. Następuje to w chwili, kiedy rzeźba stwarza niezliczoną moc rzeźbiarskich hermafrodytów.

Sztuka architektoniczna, z równowagi wytrącona, powraca znów do metafory celem wyrażenia swych myśli. Podobnie jak niegdyś w perskiéj sztuce, tak samo znów teraz, byki rzeźbione w kapitelach wyrażają podtrzymywanie ciężaru. Tak np. na tryglifie i nad wewnętrznymi pilastrami świątyni w Delos, widzimy takie ukształtowanie.

Zakończeniem téj architektonicznéj epoki są przepyszne budowle w Pergamie i Olympii.

Reminiscencya niepokojów wojny peloponeskiéj, podboje macedońskie, rozluźnienie obyczajów, polityczne upokorzenie, a w ślad za niém idące rozluźnienie nerwów społecznego organizmu, odźwierciedliły się osobliwie w rzeźbie.

Obok całéj armii hermafrodytów powstają falangi Erosów, Afrodyt i Apollinów.

Pathos zawładnął wtedy społecznėm jestestwem i sztuką. *Ethos* złotéj epoki bezpowrotnie znika. Nawet Herakles ma miękki, rozczulony wyraz twarzy. Ten nastrój duchowy objawia się szczególniéj w grupie N i o b i d, przedstawiającéj nieszczęśliwą matkę w chwili, jakby podwójnéj agonii, umierającéj z własnego cierpienia i z widoku rodziny ugodzonéj strzałami Apollina.

Kulminacyjnym punktem snu tego, męki Laokoona i dwóch jego

synów, konających w uściskach straszliwego węża. Takie uplastycznienie cierpień duchowych, przez fizyczne bóle, jest znanym typowym snem w podobnych okolicznościach powstałym.

Grupa Laokoona jest kulminacyjnym punktem snu artystycznego Hellenów, odbiciem wrażeń i postrzeżeń, które społeczeństwo na jawie, wśród czynnego życia doświadczyło.

Mistrz Praksytel, postać epokowa, tym prądom społecznym podlega, jest on pierwszym swego czasu birbantem, kształcił się w szkole, dla któréj wzorów dostarczają kurtyzany. Geniusz jego rozwija się pod wpływem sławnéj pamięci hetery Mnezarete *v.* Fryne, któréj imię w dziejach sztuki złotemi głoskami zapisane. Fryne, przyjaciółka Praksytela, przez swą piękną postać, staje się nie jednego arcydzieła wzorem. Afrodyta knidyjska jest jéj idealnym portretem. Inny znów portret Mnezarety umieszczony w świątyni w Tespii, a także za jéj wpływem powstaje sławny Eros, złożony jako *votum* w świątyni w Tespii, mieście rodzinném sławnéj kurtyzany [1]).

Nie możemy tu powtarzać całéj historyi sztuki helleńskiéj, w połączeniu z helleńską kulturą i historyą polityczną. Krótkie to jednak streszczenie już stanowi dowód, że rozkwit sztuki poprzedzany jest zawsze polityczną i ekonomiczną rewolucyą. Po niéj następuje wyczerpanie sił społecznych, następnie chwila odpoczynku, sen, który u pojedyńczego człowieka godzinami, w społeczném zaś życiu mierzymy latami [2]). Nareszcie po odpoczynku występują senne marzenia, przeszłość odźwierciedlające.

A więc wielki rozkwit sztuki nie w środku pewnéj epoki, ale po niéj występuje.

W przeglądzie tym pomijam Rzym, który nie wytworzył do tego stopnia samodzielnego stylu odrębnego, by mógł służyć za dotykalny przykład prawa, o którém mowa. Przejdziemy więc wprost do sztuki średniowiecznéj.

---

[1]) Listy pozostałe po Mnezarete świadczą o wpływach jéj na działalność Praksytela. Jeden z tych listów w przekładzie przytaczam:

„Bądź pewny,—pisze Mnezarete do Praksytela, — że piękne dzieło stworzyłeś, ukochaną twą w świątyni umieściłeś; zajęłam miejsce pomiędzy Afrodytą a twoim Amorem. Nie zazdrość mi tego zaszczytu, albowiem ci, którzy mię tu widzą, chwalą Praksytela, a ponieważ jestem twego artyzmu dziełem, tespijczycy nie uważają mię za niegodną, bym wśród bogów miejsce zajęła. Do daru twego brak, abyś sam do nas przybył, byśmy razem w świątyni spoczęli. Nie splamimy bogów, których sami stworzyliśmy!" (*Jacobs*, „*Griechische Frauen*").

[2]) Forster zauważył, że u chorych nerwowych okresy cierpienia składają się 27 do 28, u słabnących z 14 dni.

W téj epoce przedewszystkiém oznaczymy dwa zdarzenia płodne w następstwa cywilizacyjne; mianowicie zdobycie Jerozolimy przez Krzyżowców w 1099 r. i zdobycie Konstantynopola w 1204 r.

Największy też rozwój sztuki przypada właśnie w dziesięć do 50 lat po tych dwóch pamiętnych wypadkach.

Po zdobyciu Jerozolimy przez Gotfreda de Bouillon, powstają najwspanialsze budowle we Francyi: w Sens (1152 r.), Senlis (1151), Blois (1138), Saint-Denis (1140).

Daléj po roku 1204-ym powstają budowle: w Amiens (1220), Reims (1212), Sainte-Chapelle w Paryżu (1220), Bourgos (1230), Kolonii (1248), Freiburgu (1235), Trewirze (1227), Brukseli (1226), Brudze (1239), Św. Gereona w Kolonii (1212), katedra w Strasburgu (1277 skończona fasada) i wiele innych.

Daty te stosują się także do rzeźby, jako związanéj z architekturą i niegrającéj samodzielnéj roli w sztuce średniowiecznéj.

Widzimy więc tu powtórzenie ogólnego prawa, któremu podlega zarówno jednostka, jak i społeczny organizm.

Jakie są znamiona owych w kamieniu zaklętych snów średniowiecznego człowieka, to w ogólnych zarysach oznaczyliśmy na początku pracy niniejszéj [1]).

Nie możemy również wyświetlać znaczenia i wpływów wojen Krzyżowych, znaczenia dla europejskiéj kultury średniowiecznéj zdobycia Jerozolimy i Konstantynopola, wchodzi to już bowiem w zakres specyalnego traktatu historyi cywilizacyi i historyi sztuki.

Tu więc poprzestać musimy tylko na zaznaczeniu samych faktów, na wymienieniu dat historycznych, cyfr, które stwierdzają porządek następstwa zdarzeń, czasu, w którym sztuka rozkwita. Cyfry te stwierdzają, że społeczeństwo całe, podobnie jak jednostka, po wielkich trudach, po życiu czynném, pełném przygód, fizycznych i moralnych wrażeń, zapada w sen, którego uwieńczeniem — artystyczne marzenia. Czas jednak trwania snu tego, odpoczynku po trudach, nie da się naprzód oznaczyć dla jednostki, zależny jest on od natężenia sił organicznych, wyczerpania sił fizycznych i duchowych, i żywotności danego organizmu. Tém bardziéj niepodobna naprzód oznaczyć dla danego społeczeństwa chwili, w któréj sztuka rozkwitnie.

Prawo jednak, o którém mowa, jest tak ogólne, że może być sprawdzone we wszystkich społeczeństwach, we wszystkich historycznych objawach piękna.

Też same przyczyny i skutki, jakie widzieliśmy w wieku Pery-

---

[1]) Rozdz. I.

klesa rzeczypospolitéj ateńskiéj, powtarzają się w XV wieku w rzeczypospolitéj florenckiéj.

Po walkach Gwelfów i Gibelinów w XII w., a następnie w XIII w. t. zw. czarnych i białych, Cerchi'ch i Donati'ch, po wygnaniu naczelników miasta, po walkach stronnictwa kupieckiego ze szlacheckiém, rozdwojeniu samego ludu na dwie partye (*popolo grosso* i *popolo minuto*), karach wymierzonych przez cesarza niemieckiego (1131 r.), rządach namiestników, gwałtach Gautier de Brienne, i przez to wywołanych powstaniach, wojnach z Pizzą i państwem papieskiém, wygnaniu i przywróceniu do władzy Medyceuszów, po tych wszystkich burzach wstrząsających organizm społeczny, — Koźma Medyceusz przywraca spokój i ustala swą dynastyą w 1433 roku.

Rok ten musi być uważany za stanowczy w historyi rzeczypospolitéj florenckiéj, a lubo walki z Rzymem i Neapolem powtarzają się, są one jednak krótkotrwałe i niezbyt gwałtowne.

Po roku 1533, organizm społeczny rzeczypospolitéj florenckiéj, przez trzy wieki prawie targany, olbrzymią fizyczną i duchową pracą wyczerpany, wpada w stan odrętwienia, aż bodziec zewnętrzny w postaci wychodźców helleńskich po zdobyciu Konstantynopola w r. 1453, wywołuje sen artystyczny w dziełach Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela i Tycyana skrystalizowany.

Uczeni greccy jak np. dwaj Janowie Argyropulos, z których młodszy jest tłómaczem Arystotelesa; Marek Musuros, a za ich przykładem Marceli Ficino, tłómacz Platona, nareszcie Marsilius, przez badania i odkrycia dzieł helleńskich, budzą pojęcie i zamiłowanie sztuki klasycznéj.

Wszystkie najznakomitsze dzieła czterech powyżéj wymienionych mistrzów wykonane w pierwszych latach XVI stulecia, a więc przeszło po półwiekowém wypoczynku organizmu społecznego.

Michał Anioł tworzy Dawida pomiędzy 1502—1504 r., Mojżesza zaczyna przed śmiercią Juliusza II, a zatém przed 1513 r. [1]), obrazy w sykstyńskiéj kaplicy pomiędzy 1504—1505, kartony florenckie 1503 r.

Rafael tworzy: Maryą z Dzieciątkiem (ze św. Franciszkiém i Hieronimem) r. 1500. Madonnę w zbiorach Rogera 1508 r. Św. Rodzinę 1508 r., Tryumf Galatei 1514 r., Szkołę Ateńską 1511 r., Rzeź Betleemską 1519 r., Śmierć Ananiasza 1515 r.

---

[1]) Juliusz II † 22 lutego 1513 r.

Leonardo da Vinci tworzy: Wieczerzę Pańską 1498 r., Grupę Jeźdźców 1503.

Twórczość Corregia i Tycyana rozwija się w dwóch pierwszych dziesiątkach lat XVI wieku.

Widzimy tu znów powtórzenie procesu fizyologicznego, odbywającego się w organizmie. Najprzód wysiłek fizyczny albo duchowy, wywołuje zmęczenie, wskutek którego następuje sen przeszło 50 lat trwający. Potém dusza waha się, i w tém wahaniu płodzi senne obrazy. Jak już wiadomo, charakter tych obrazów zależy od rodzaju bodźca zewnętrznego, który może być fizycznéj albo duchowéj natury.

Gdyby tym bodźcem zewnętrznym, który w XVI wieku wywołał artystyczne marzenia, zamiast greckich byli germańscy, albo azyatyccy wychodźcy, artystyczne marzenia florentczyków innąby przybrały postać — zamiast klasycyzmu, może gotycyzm powstałby z grobu. Rzecz ma się tu tak samo, jak w śnie jednostki, u któréj mary kształtują się, stosownie do istoty bodźca zewnętrznego.

Społeczeństwo florenckie przechodzi te same stadya jak jednostka. Po życiu czynném człowiek przekształca się nagle, krew zamiast do mózgu przypływać, zużytą zostaje na wzmocnienie organizmu, aż do chwili, kiedy znów mózg, do normalnego stanu doprowadzony, senne wysnuwa obrazy.

Taką chwilą wyczerpania sił organizmu dla rzeczypospolitéj florenckiéj jest rok 1433, fazą zaś przejściową, owém Heglowskiém wahaniem się, czas od 1453 do 1500 roku.

Identyczność przyczyn, wywołujących wielkie w zakresie piękna zdarzenia, stwierdza jeszcze ten fakt, że jak Ateny w V wieku, tak samo Florencya w XV wieku staje się ogniskiem handlu i źródłem wielkich bogactw. Ateny w V w. dostarczają oliwy, fig, miodu, wytwornych dzieł garncarskich całemu śródziemnemu światu. Kopalnie w Laurium zmieniają miasto Minerwy na mennicę srebrnych i złotych monet. Miasto to posiada kopalnie złota w Tracyi i na Eubei. Tak samo rozgałęzia się handel Florencyi w XV wieku.

Gorączka snom sprzyja. W VI wieku przed Chr. rozwija się osobliwie miejskie gorączkowe życie. Sprzyja ono nietylko szybkiéj wymianie myśli, zderzeniu się żywych prądów, wytwarzaniu się gorączkowych marzeń. Wzajemna odległość budowli miejskich, podobnie jak roślinności, wytwarza właściwą atmosferę. Myśl powstała w mózgu jednostki, jakby przez poddawanie myślowe, przechodzi do organizmu społecznego. Miejski odmęt szybciéj wytwarza zmęcze-

nie, niż wiejska cisza, roślinność szybciéj rozwija się w mieście, niż na wsi, też snom ludzkości bardziéj miejskie, niż wiejskie życie sprzyja [1]).

Nie można więc odrodzenia sztuki w XV wieku przypisywać wyłącznemu wpływowi Medyceuszów; byli oni tylko, że tak rzec można, tego duchowego objawu dobremi przewodnikami siły, któréj źródłem—niezłomna Ananke.

Fakta, któreśmy widzieli w Atenach za Peryklesa i we Florencyi za Medyceuszów, powtarzają się w Niderlandach w XV wieku.

W końcu tego wieku przemysł Flandryi olbrzymio się rozwija, skupiają się tu bogactwa niemal całéj Europy. Ludność Gandawy, podobnie jak Aten w V w., dochodzi do 189,000. Przemysł złotniczy zastępuje tu skarbiec z Delos do Aten przeniesiony.

Małżeństwo, zawarte pomiędzy Małgorzatą, córką Ludwika II, ostatniego hrabiego Flandryi, a Filipem Burgundzkim, dobroczynnie wpływa na stan kraju; życie zaczyna się uspakajać.

Rok 1400 uważa Taine jako datę, w któréj społeczeństwo niderlandzkie zaczyna się o s i a d a ć (*commence à s'asseoir*) [2]), a po 25 latach odpoczynku, sztuka w całéj pełni rozkwita. „Sztuka—mówi Lübke—około roku 1425, n a g l e się rozwija, nadzwyczajne i zadziwiające czyni postępy“. Taki n a g ł y i zadziwiający rozwój jest najzupełniéj naturalnym objawem.

W XVI wieku, mianowicie po unii Utrechckiéj w r. 1579, w 32 lat potém zdarzeniu, Rubens tworzy Z d j ę c i e z K r z y ż a, potém M a r y ę M e d i c i s (1620 r.), F u r y ę w o j n y (1625 r.). Za nim idą Van-Dyck, Jordaens, Teniers i cała plejada gwiazd artystycznych.

Nareszcie traktaty polityczne XVII wieku znów czynią z Holandyi kupca, filistra, zajętego czynném życiem, zdążającego wyłącznie do skupienia nowych bogactw. Tam, gdzie realne życie, w handlu i przemyśle objawiające się, zawładnie życiem społeczném, sztuka rozkwitnąć nie może. Sztuka w Anglii i Ameryce jest dotąd kwiatem egzotycznym. Ich obrazy o jaskrawych, papuzich barwach, architektura lichem klasyku naśladownictwem. Sławne zbiory nie służą do zadowolenia poczucia piękna, ale są materyałem dla uczonych traktatów.

Historya sztuki jest barwnym obrazem prawa okresowości, rzą-

---

[1]) Porówn. także w dziele Radestocka, przypis. 321.

[2]) Taine. Philosophie de l'art aux Pays-Bas.

dzącego organizmem społecznym. Prawo to możemy sobie uprzytomnić w postaci linii falistéj. Linia ta wznosi się, to znów opada. Jéj wierzchołki oznaczają natężenie sił energii społecznéj, wklęsłości zaś chwilę uśpienia.

Sennym marzeniom pojedyńczéj i zbiorowéj jednostki sprzyjają godziny wczesnego poranku, chwila przed ocknieniem, przejście od nicestwa do bytu, kiedy promienie myśli nie zestrzeliły się jeszcze w swém mózgowém ognisku, lub téż zaczynają się rozpraszać. Czas ten jest chwilą snucia marzeń, jest to chwila najpłodniejszéj twórczości. Rozproszenie takie najbardziéj sprzyja kojarzeniu myśli, rozwojowi organicznéj nici sennych i artystycznych marzeń.

Morfeusz, snów bożyszcze, dosłownie znaczy po grecku obrazodawca.

Podobnie jak tęcza ulewy, echo głosu, cień światła jest płodem, senne marzenia są odbiciem wrażeń na jawie doświadczonych, tak samo artystyczne twory są tęczą, echem i cieniem wypadków, które społecznym wstrząsnęły organizmem.

Tu można z pewną odmianą, powtórzyć zdanie Platona, że sztuka jest tylko cieniem cienia.

Cień również, według mytycznéj historyi, dał początek sztuce rysunkowéj. Córka bowiem Dibutadosa, żegnając się ze swym oblubieńcem, na ścianie, według cienia, podczas nocy księżycowéj rzuconego, nakreśliła profil żegnającego się z nią kochanka.

Wielki rozwój sztuki jest objawem fazy przejściowéj życia społecznego, jest on owém Heglowskiém pomiędzy bytem i niebytem, wahaniem się, nawpół senném, nawpół czynném życiem.

Takie przejściowe stadyum widzieliśmy w Helladzie, Italii, w wiekach średnich i Niderlandach w XV wieku.

Kiedy człowiek przestanie być krwiożerczym wojownikiem,. kiedy zadowolni muskuły ruchu, pracy fizycznéj spragnione, wtedy bezwiednie staje się marzycielem.

Po rewolucyach organizm społeczny wyczerpujących, kiedy słońce społeczne przestanie palić srogim południowym promieniem, społeczeństwo w sen zapada, a pokrzepiwszy swe siły, wysnuwa marzenia, stwarza sobie świat nowy, idealny, lepszy od rzeczywistego, w którym uprzytomnia sobie świetną przeszłość, by smutnéj teraźniejszości zapomnieć.

Wtedy to społeczeństwo bezwiednie powtarza za Michałem

Aniołem, słowa rozdartego serca, skargę, wywołaną widokiem zdeptanych swobód ojczyzny:

Miły mi sen mój, milej, żem z kamienia,
Gdy trzeba tylko boléć, lub się wstydzić,
Szczęściem jest dla mnie, nie czuć i nie widzieć.
O! mów cicho! nie budź mnie z uśpienia! [1])

Kazimierz Kleczkowski.



---

[1]) Wiersz na pomniku Medyceuszów (Dzień i Noc, Zmrok i Jutrzenka) podany w przekładzie Odyńca.

Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

II.

Stulecie chemii. — Alchemia i chemia. — Stan współczesnéj chemii teoretycznéj. — Analiza spektralna.—Układ naturalny pierwiastków.—Złożoność pierwiastków. — Badania pyrochemiczne.—Fluor.—Synteza chemiczna.—Sztuczne otrzymanie cukru. —Synteza skał.—Postępy chemii technicznéj.—Zużytkowanie azotu z węgla opałowego.—Rolnictwo i chemia.—Tworzenie mączki.

Żyjemy w czasie, który słusznie nazwać można stuletnim jubileuszem chemii. Ostatnie dziesiątki lat ubiegłego wieku były świadkami najwspanialszych odkryć w dziedzinie zjawisk i teoryi chemicznych. Cały gmach nowoczesnéj chemii wspiera się na podwalinach, założonych przed stuleciem przez jeden z najjaśniejszych ówczesnych umysłów, Lavoisiera. I przed Lavoisierem istniała chemia, znano dobrze zaobserwowane zjawiska chemiczne, i nawet niektóre z nich dobrze objaśniano, lecz wszystko to stanowiło zbiór luźno z sobą związanych danych, których spojenie w jedną całość przypadło w udziale Lavoisier'owi. Olbrzymia płodność pracy Lavoisier'a tak całkowicie opanowała chemią, tak olśniła umysły, że dziś jeszcze zdarza się śród chemików spotykać ludzi, którzy w chemią przedlavoisierowską nie wierzą. Przyczyną tego jest w znacznym stopniu nie dość pedagogiczny wogóle współczesny wykład nauk przyrodniczych. Braki tego wykładu bezwątpienia polegają na niedostatecznem uwzględnianiu momentu historycznego w rozwoju wiedzy. A właściwie, istoty danéj gałęzi nauki, sposobów, przy których pomocy dochodzimy do poznania danéj kategoryi prawd naukowych, pojąć nie można, nie śledząc dróg, jakiemi umysł ludzki do prawd tych dochodził. Jakkolwiek więc bez-

myślném byłoby chcieć cośkolwiek odejmować najsłuszniejszéj sławie Lavoisier'a, jednakże w interesie nauki, badanie przeszłości chemii do najważniejszych jéj zadań należy.

Chemia wyrosła na gruncie z wielkim mozołem uprawianym przez alchemików, którzy w naszych czasach nawet wśród szerokiego ukształconego ogółu zażywają nie najlepszéj sławy. Rzetelni wszakże badacze historyi chemii od dość dawna wskazują na prawdziwe zasługi przez alchemików położone, a dowody popierające ich zdania wciąż w aktach naukowych się mnożą. Przysłużył się niemi w ostatnich czasach znany profesor paryski Berthelot, który od lat już wielu pracy nad alchemią i alchemikami się oddaje. Alchemików i ich wiedzy mierzyć nam nie wolno tą miarą, jaką nam do rąk dały teraźniejsze metody badań, metody zdobyte kosztem pracy wielu stuleci. Pamiętając zaś o téj kardynalnéj zasadzie, potrafimy w tém, co nam alchemicy po sobie zostawili, dojrzéć nie jedno cenne spostrzeżenie, nie jeden przebłysk wielkiéj myśli lub doniosłego odkrycia.

Porównanie alchemii z chemią obecną, wskazanie tych licznych nici, któremi alchemia z chemią jest związana, tego naturalnego biegu myśli ludzkiéj, dzięki któremu na gruncie alchemii wyrosnąć mogło tak wspaniałe drzewo, jakiém jest chemia współczesna, stanowi zadanie niezmiernie wdzięczne, zadanie, którego spełnienie dziś bardziéj niż kiedykolwiek winniśmy czytelnikowi polskiemu; lecz oczywiście zadanie to odmienne jest od tego, które ma na celu kronika niniejsza, a potrąciliśmy o nie tylko z powodu wspomnienia o jubileuszu stuletnim chemii.

Ten właśnie jubileusz mimowoli nasuwa myśli inne jeszcze, każe rozejrzeć się w tém, co zrobiono donioślejszego w chemii stulecia bieżącego i jakiemi są najbliższe zadania chemii w przyszłości. I przed takiém zadaniem kronikarz się wzdryga, przerasta to miarę tych sił, które dla pisania niniejszego artykułu z konieczności muszą być przeznaczone. Przewodnikiem jednak cennym może mi być tutaj wypowiedziany w końcu roku ubiegłego przez jednego z najpoważniejszych chemików dzisiejszych, Wiktora Meyera (profesora heidelberskiego) odczyt o zadaniach chemii współczesnéj. W szerokich przeto zarysach, na najnowszych i najjaskrawszych przykładach postaram się tu wykazać, jakie myśli obecnie nurtują w mózgach chemików, jakiemi drogami i do jakich celów prace chemiczne zdążają i czego od prac tych spodziewać się mamy.

Jako nauka badająca pewien szereg zjawisk przyrody, oraz własności najwewnętrzniejsze wszelkiéj materyi, chemia, jak to już Kant zauważył, nie dorosła jeszcze do tego, aby ją nazwać można nauką

w najszczytniejszém tego słowa znaczeniu, t. j. w znaczeniu poznania przyrody, które osiągnęło swój wyraz w mechanice matematycznéj. Dążeniem każdego odłamu wiedzy ludzkiéj, każdéj nauki, jest zdobycie w badanych przez się zjawiskach takiego stopnia ścisłości, któryby pozwolił wszelkie stosunki pomiędzy zjawiskami, wszelką zależność pomiędzy przyczyną a skutkiem ująć w postać wyrazu matematycznego, czyli jaśniéj mówiąc, dopiąć tego, czego już dopięła astronomia i fizyka. Chemia, będąc nauką ścisłą, jednakże dotąd znajduje się jeszcze w tym okresie życia swego, w jakim astronomia znajdowała się przed Newtonem, a jakkolwiek materyał teoretyczny spostrzeżeń i doświadczeń w zakresie chemii już, pomimo krótkiego istnienia prawdziwie naukowego jéj rozwoju, bardzo jest obfity, to jednak na przyszłego Newtona chemii dość długo zapewne czekać nam jeszcze wypadnie.

Brak dotąd w chemii z dostateczną ścisłością opracowanéj teoryi, któraby w jasny sposób odpowiadała na zasadnicze dwa pytania, mianowicie: „czém jest powinowactwo chemiczne“ i „czém jest wartościowość pierwiastków chemicznych.“ Ze skutkami powinowactwa chemicznego, z objawami téj siły, którą nazywamy energią chemiczną, spotykamy się na każdym kroku; niemniéj tysiące mamy dowodów na to, że atomy pierwiastków chemicznych w rozmaitych stosunkach liczbowych ze sobą się wiążą. Fakty tego rodzaju są tak dla umysłu badaczów dawne, jak chemia sama, a jednakże zadawalającéj choćby hypotezy, któraby fakty te objaśniła, napróżno jeszcze wyczekujemy.

A jednak pierwiastek spekulacyjny w chemii po wszystkie czasy niepoślednią odgrywał rolę. W znacznym bardzo stopniu mamy mu do zawdzięczenia zdobycie najwspanialszych poglądów na budowę materyi z atomów. Poglądy zaś te, jakkolwiek z biegiem czasu ulegały pewnym modyfikacyom, jednakże ogólnie tak się słusznemi okazały, że dziś nie ma ani jednego ciała z szeregu wielu tysięcy związków węglowych, których budowy chemicznéj byśmy nie znali. Nie jesteśmy, co prawda, równie szczęśliwi w dziedzinie tych związków, które zwiemy nieorganicznemi albo mineralnemi, lecz i tu najniezawodniéj w bliskiéj przyszłości nowa jaka metoda badania rzuci jasny promień światła, który ciemności rozproszy.

Badania widmowe (spektralne) wniosły do chemii nietylko nowy sposób niezmiernie czułéj analizy, która pozwoliła odkrywać nieznane dotąd pierwiastki tam, gdzie zaledwie tysiączne części miligramów się znajdują, lecz jeszcze, co ważniejsza, rozszerzyły widnokrąg wiedzy ludzkiéj, pozwalając nam z drobnéj naszéj planety badać skład chemiczny dalekich ciał niebieskich; stworzyły one w ten sposób samodzielną niejako gałąź wiedzy, która granicząc z astronomią, fizyką

i chemią, wszystkim tym trzem naukom nieobliczone przyniosła korzyści.

A gdy z rozmaitych stron ujęta zagadka o istocie pierwiastków chemicznych wciąż bliższą zdawała się być rozwiązania, gdy poznano sześćdziesiąt przeszło pierwotnych gatunków materyi, z których żaden, według znanych doświadczeń, nie może być w inny zamieniony, wówczas na nowo powstało pytanie, czy też w rzeczy saméj rozmaite pierwiastki chemiczne nic z sobą wspólnego nie mają. W szeregach znanych pierwiastków dostrzeżono grupy pierwiastków podobnych, których analogie występowały we wszystkich niemal podobnie złożonych związkach; różnice zaś zachodzące pomiędzy własnościami tych zbliżonych do siebie pierwiastków, dały się objaśnić na podstawie różnic tych liczb stosunkowych, które zwiemy ciężarami atomowemi, a które wskazują, ile razy atom danego pierwiastku w stanie gazowym cięższy jest od atomu wodoru, najlżejszego ze znanych ciał. Wykryta w ten sposób zależność własności pierwiastków od ich ciężarów atomowych, ujętą została w prawo nie mające wyjątków, prawo, które ćwierć wieku temu zaledwie wygłoszone, na rozwój chemii od tego czasu największy wpływ wywarło. Pozwoliło nam to przedewszystkiém pozyskać dla pierwiastków układ systematyczny, w którym położenie każdego pierwiastku zupełnie tak naturalnie z własności jego wypływa, jak położenie danéj rośliny lub zwierzęcia w szeregach naturalnéj systematyki tworów żyjących. Nie dość tego. Po dokonanéj indukcyi, z ogólnego prawa wynikała możliwość istnienia nieznanych nam dotąd pierwiastków—i w rzeczy saméj, przepowiednie ziściły się w wielu wypadkach. Ścisłość prognozy była zadziwiającą. Potrafiono, nie widziawszy nigdy danego pierwiastka, powiedzieć, że jeśli istnieje, to posiada taki a taki stan skupienia, taką a taką gęstość, taki a taki punkt topliwości, punkt wrzenia, i z niemniejszą pewnością przepowiadano, w jaki sposób związki jego z innemi pierwiastkami są złożone i jakie są fizyczne i chemiczne ich własności. Urok, jaki od dawien dawna chemia roztaczała, wzrósł, gdy przepowiednie takie okazały się prawdziwe.

Jednocześnie, jak wspomniałem, pojawiło się pytanie o złożoności pierwiastków chemicznych. Do postawienia tego pytania uprawniały zarówno badania widmowe, jak i w bardzo znacznej mierze konsekwencye wyciągane ze zbudowanego w tak mistrzowski sposób układu naturalnego pierwiastków. Czy materye, zwane przez nas pierwiastkami chemicznemi, nie są same ciałami złożonemi z bardziéj prostych ciał, czyż wreszcie zbyt śmiałém miałoby być przypuszczenie, że jedna istnieje tylko pierwotna materya, któréj rozmaite stany

w rozmaitych kombinacyach ilościowych wytwarzają owe siedmdziesiąt kilka znanych nam dzisiaj pierwiastków? Jako hipoteza, niezmiernie zresztą daleka jeszcze do przyjęcia bardziéj określonych kształtów, pytanie to w nauce istnieje, a w nawiasie dodać musimy, że grunt téj hipotezy nie bardzo jest różny od drogich marzeń alchemików, którzy poczytywali wszelkie ciała za zdolne do przemiany w inne, do stopniowego uszlachetniania, do zamiany na złoto. Inna sprawa, naturalnie, o ile my bardziéj od alchemików jesteśmy upoważnieni do oddawania się tym rojeniom o przyszłości chemii.

Prawdziwymi sprzymierzeńcami, dodającymi nam otuchy do podejmowania najśmielszych prób, do rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień są zdumiewające postępy, jakie w ostatnich czasach dokonano na polu techniki w pracowniach chemicznych, tam, gdzie właśnie pytania podobne do powyższych wyłaniają się w mózgach przodowników wiedzy. Na dowód tego pozwolę sobie tu tylko dwa przykłady przytoczyć.

Nie udało się wprawdzie dotychczas przy pomocy wysokiéj temperatury rozłożyć pierwiastków chemicznych, lecz udało się rozłożyć cząsteczki takich pierwiastków, jak chlor, brom i jod, na składające je atomy. Ten dowód doświadczalny, jaki osiągnięto przytém, mianowicie, że cząsteczka każdego z tych ciał składa się z dwu atomów, jest znów doskonałém sprawdzeniem teoryi, która dawniéj już to przepowiedziała. Na polu tych badań są to pierwsze dopiéro kroki w najostatniejszych dokonane czasach. Badania „pyrochemiczne,“ dokonywane w wysokich temperaturach, głównie przez wspomnianego prof. Meyera, pozwalają się spodziewać bardzo obfitych rezultatów; dziś prac odnośnych wykonywać nie można w temperaturach wyższych nad 1,700 stopni, gdyż wyżéj topią się naczynia porcelanowe i platynowe, na których używanie jesteśmy skazani. Jeśli przed laty kilku możliwość wykonywania mierzeń w téj temperaturze wydawała nam się nieoczekiwanym postępem naprzód, to dziś skarżymy się już na to, że banalna przyczyna braku odpowiednich naczyń staje nam na przeszkodzie do podniesienia temperatury do 2,000 i 3,000 stopni. Nie ulega wątpliwości, że objawią nam się nowe, nieprzewidziane odkrycia, że uda nam się rozszczepienie innych jeszcze elementarnych cząsteczek, że przed oczami naszemi rozwinie się nowa chemia wówczas, gdy uzbrojeni w naczynia z nietopliwego materyału zdołamy pracować w takich temperaturach, w których woda już nie istnieje, a gaz piorunujący stanowi niezapalną mieszaninę.

Drugim przykładem olbrzymich postępów techniki laboratoryjnéj są prace francuskiego chemika Moissana, który potrafił przezwyciężyć

szczęśliwie wszystkie trudności, jakie dotychczas stały na przeszkodzie do wydzielenia w stanie wolnym pierwiastku fluoru, rozpowszechnionego dostatecznie w przyrodzie w postaci związków. W najnowszych jeszcze podręcznikach chemii możemy się spotkać ze zdaniem z dawien dawna znaném, że fluor w stanie wolnym otrzymany dotąd być nie może, a to z powodu niezmiernie wielkiéj swojéj energii chemicznéj, która sprawia to, że, wydzielając się, fluor natychmiast działa chemicznie na materyał naczynia, że w związku, z którego stosunkowo najłatwiejby go było otrzymać, mianowicie w fluowodorze jest z wodorem niezmiernie silnie połączony. Nader pomysłowe udoskonalenie przyrządów pozwoliło p. Moissanowi usunąć wszelkie przeszkody, jakie dotąd na drodze do otrzymania fluoru napotykano, i oto poznajemy własności gazu w części dawniéj już przepowiedziane, a najzupełniéj potwierdzające to wszystko, co na zasadzie teoryi z góry przypuszczać było wolno. Lecz o ileż wiadomości takie są cenniejsze od dawnych, o ile bardziéj bezpośrednio pozwalają nam wejrzéć w istotę nieznanego dotychczas ciała chemicznego. O własnościach tych słów kilka. Fluor na zimno rozżarza jeden z najoporniejszych pierwiastków, mianowicie krzem krystaliczny, na który nie działa wrący kwas azotny i który z wielką trudnością w bardzo wysokiéj temperaturze dopiéro spala się w czystym tlenie. Podczas gdy chlor, najpodobniejszy z pierwiastków do fluoru, nie może bezpośrednio łączyć się z węglem, fluor czyni to, dając produkt gazowy, bliżéj dotąd nie zbadany. Za inny jeszcze dowód olbrzymiéj energii chemicznéj fluoru niechaj posłuży to, że gdy do rury, w któréj gaz ten się znajduje, wpuścić kroplę wody, ta ostatnia natychmiast się rozkłada: wodór wody łączy się z fluorem, a tlen ulega przeobrażeniu na ozon. Jest to jedyna dotąd znana reakcya chemiczna, która bezpośrednio pozwala tlenowi przejść w czynniejszą postać ozonu. Wreszcie, dodamy, fluor łączy się z wodorem na zimno i w ciemności. Znów mamy tu pierwszy przykład łączenia się dwu pierwiastków gazowych bezpośrednio, bez współudziału energii zzewnątrz. Chlor i wodór dla połączenia się wymagają działania promieni światła; tlen i wodór wymagają iskry elektrycznéj lub promienia. Jak się okazuje, fluor jest najenergiczniejszym ze znanych pierwiastków chemicznych i dalsze poznanie go powinno przynieść chemii nie jedno jeszcze ciekawe odkrycie lub zastosowanie.

Badania Moissana są zbyt nowe, mało dotąd szerokiemu ogółowi znane i zbyt interesujące, bym mógł o nich przemilczéć.

A teraz wracam do postępów chemii na innych polach. Jeżeli nie zatrzymuję się dłużéj nad badaniami z chemii teoretycznéj, czyli fizykalnéj, to głównie pochodzi to stąd, że pytania, w téj części chemii

roztrząsane, tego są rodzaju, że w popularny sposób, bez dłuższych omówień wyłożyć się nie dadzą. Wobec zaś z góry zakreślonego planu kroniki niniejszéj zbyt dużo miejsca poszczególnym punktom poświęcić nie mogę. Chemia fizykalna jest najmłodszą latoroślą naszéj nauki, i spodziewam się, że w dalszych kronikach będę mógł czytelnika zapoznawać jeszcze z wspaniałemi jéj zdobyczami.

Synteza chemiczna—oto znów dziedzina, w któréj od lat wielu święci chemia największe tryumfy. Tajemnice tworzenia ciał chemik wydarł naturze i w bardzo wielu wypadkach znakomicie ją naśladuje. Od czasu, gdy po raz pierwszy sztucznie w pracowni chemicznéj otrzymano ciało, znane przedtém jako wytwór działalności życiowéj, najtrudniejsze zadania nie ustraszyły chemików. I oto dzisiaj potrafimy z czarnéj smoły wyrabiać barwniki, które własnościami swemi nietylko zbliżają się do barwników naturalnych, ale nawet z niektóremi z tych ostatnich są zupełnie identyczne; potrafimy sztucznie wytwarzać takie ciała, jak mocznik lub kwas moczowy (najnowsze badania Horbaczewskiego i Behrenda), które znane nam były jako produkty przemiany materyi w zwierzętach; potrafimy, drogą zapewne inną, niż to czyni roślina, otrzymywać pewne ciała trujące, a w małych dawkach lecznicze, zwane alkaloidami, których rozległe badania stanowią obecnie w chemii kwestyą dnia.

Usilne badania pp. Fischera, Tafela i Kilianiego pozwoliły nam w ostatnich czasach o tyle poznać istotny skład chemiczny materyi cukrowych, wytwarzanych w roślinach, że w ślad za niemi ukazały się wiadomości o istotném sztuczném stworzeniu cukru. I cukier otrzymany tą drogą we wszystkich niemal własnościach najzupełniéj z cukrem gron winnych jest identyczny. Nie jest to tylko materya słodka, nie ta sacharyna, o któréj tyle w ostatnich czasach słychać, to prawdziwy cukier, który tylko roślina dotąd tworzyć potrafiła. Wobec takich rezultatów chemik nie powątpiewa o tém, że sztuczne wytworzenie ciała białkowego, owéj materyi zasadniczéj składającéj komórkę roślinną i zwierzęcą, jest tylko kwestyą czasu. Nie znaczy to wszakże, żebyśmy również bliscy byli sztucznego stworzenia prawdziwego elementu żywego tworu, komórki. Od tego zadania zapewne oddzieleni jesteśmy przepaścią, któréj nigdy nie przekroczymy.

A pomimo tych wszystkich oszołomiających niemal postępów chemii dzisiejszéj, świadomi jesteśmy najzupełniéj, iż z dzisiejszemi środkami badania w ciasnych zaledwie granicach poruszać się jesteśmy w stanie. Dość powiedzieć, że nie posiadamy dostatecznie pewnych sposobów badania takich ciał, które nie krystalizują, lub nie za-

mieniają się bez zmiany swéj indywidualności chemicznéj w stan gazu. Wielkiéj liczby ciał bezkształtnych z zadawalającą dokładnością nietylko nie poznaliśmy jeszcze, lecz nawet nie wyosobniliśmy ich dotąd z mieszanin, w których się one w przyrodzie znajdują.

Synteza chemiczna w ostatnich latach nie mniejszą doniosłość wykazała w dziedzinie geologii. Dzięki badaniom chemicznym udaje nam się w sposób sztuczny, w skromnych przestrzeniach pracowni chemicznéj, w czasie znacznie krótszym, niż to się działo w przyrodzie, otrzymywać najróżniejsze części składowe skał. I tutaj przed umysłem ludzkim odkrywa się szeroki widnokrąg, na którym, krok za krokiem stąpając, wyśledzić można te wszystkie czynniki, jakie w odległych od nas epokach geologicznych istniały na naszéj planecie i dzięki którym przybrała ona taki, a nie inny układ fizyczny i chemiczny. Najpłodniejszemi w tym kierunku są prace Daubréego, Frémyego, Lemberga i innych.

Z syntezą bezpośrednio zespolone są losy téj gałęzi chemii, która najbardziéj przyczynia się do szerzenia blasku téj nauki w najszerszych kołach. Wspomniałem o syntezie barwników, dodać więc tylko muszę, że wyrób ich drogą sztuczną stanowi jeden z najwspanialszych odłamów przemysłu. I na téj drodze chemik prześciga nawet poniekąd naturę. W toku swéj pracy tworzy on coraz to nowe ciała, nikomu przedtém nieznane, które stają się niekiedy po pewnym czasie nieodzownie potrzebnemi. Jeśli nie można tego dotychczas powiedzieć o owéj sacharynie, o którą wyżéj potrąciłem, a która w rzeczywistości może kiedyś stać się bardzo cennym materyałem, to już dziś bezwątpienia stosuje się to w zupełności do znanego ogólnie środka leczniczego, antipiryny. Jest to związek chemiczny, otrzymany sposobem sztucznym, nie identyczny z żadném znaném ciałem naturalném, który okazał się doskonałym lekiem, uśmierzającym tysiącom ludzi najnieznośniejsze cierpienia fizyczne. I śród leków, któremi rozporządza współczesna apteka, dużo innych podobnych sztucznych związków znajdujemy. Nie poprzestając wszakże na nich, chemicy bezustannie zajęci są szukaniem sposobów syntetycznego otrzymania tych leków, które nam sama przyroda w roślinach przyrządza. Nie dalecy jesteśmy najpewniéj od chwili, gdy w pracowni chemicznéj uda nam się otrzymać jeden z najcenniejszych przetworów roślinnych współczesnego skarbca leków — chininę. Do wypowiadania téj nadziei najzupełniéj upoważniają nas rezultaty, jakie na téj drodze otrzymuje cały szereg najpracowitszych badaczów, pomiędzy którymi na pierwszém miejscu postawić należy prof. Ladenburga.

Gdy jednak mowa o chemii w zastosowaniu do przemysłu, czyli

chemii technicznéj, zwykle mamy na myśli t. zw. wielki przemysł chemiczny, zajmujący się wyrobem na wielką skalę materyałów w olbrzymich ilościach, w codziennném życiu i innych gałęziach przemysłu zużywanych. W tym zakresie każdy niemal dzień, każda godzina coś nowego przynosi. Drobne na pozór udoskonalenie często jest źródłem największych oszczędności, sprowadzających uprzystępnienie danego materyału i wszystkiego, co od jego produkcyi zależy, najszerszym masom. Przemysł chemiczny, rozrastający się coraz bardziéj, dla wprawnego oka badacza przedstawia wszelkie fazy ciągle falującego życia, którego najdrobniejsze przejawy razem wzięte składają się na jedną imponującą całość. Jeden z najnowszych na tém polu pomysłów, chemika-technika angielskiego L. Monda, pozwoli nam ocenić doniosłość zmian i postępów w tym kierunku dokonywanych.

Największa masa azotu na ziemi naszéj znajduje się w atmosferze; azot jest tu w stanie wolnym, w którym bezpośrednio przez rośliny nie może być spożytkowany, roślinie bowiem dla zbudowania ciała, w skład którego znaczne ilości azotu wchodzą, pierwiastku tego dostarczać trzeba koniecznie w postaci związków. Często téż rośliny cierpią na brak związków azotu. Sztuczne nawożenie gruntu ornego w przeważnéj liczbie wypadków (nie we wszystkich) ma przeto na celu pokrycie tego braku. Związki azotu, z jakich roślina bezpośrednio korzystać może, są solami kwasu azotnego, jak np. saletra, lub solami amonowemi, jak np. siarczan amonu.

Nic dziwnego, że oddawna już przemysł chemiczny stara się w sposób ekonomiczny azot powietrza przeprowadzić w stan związków. Lecz wszystkie dotychczasowe próby odnośne do pożądanego rezultatu nie doprowadziły. Badając przyczyny dotychczasowych niepowodzeń w tym kierunku, Mond szczęśliwie rozwiązał zadanie taniego sposobu dostarczania związków azotu, choć nie azotu atmosferycznego. Wszystkie mineralne materyały opałowe, a przedewszystkiém węgiel kamienny, zawierają pewne, co prawda nie bardzo znaczne, ilości azotu, który przy spalaniu tych materyałów o tyle niepożytecznie ginie, że w stanie wolnym przechodzi do atmosfery. Otóż ten właśnie azot Mond w sposób arcypomysłowy zwraca światu roślinnemu i to kosztem bardzo niewielkim.

Ażeby osiągnąć zamierzony skutek, nie należy tylko w tak nieracyonalny sposób spalać węgla, jak to się czyni dotąd. Węgiel spala się w przeprowadzonych na dużą skalę przez Monda próbach w generatorach gazowych wobec mieszaniny powietrza i pary wodnéj; wodór téj ostatniéj jest właśnie potrzebny dla połączenia się z azotem na amoniak. Zachodzi tu oczywiście rozkład chemiczny pary wodnéj na

jéj części składowe, lecz w części tylko; dwie trzecie pary wodnéj w stanie niezmienionym uchodzą wraz z gazami; nie są one wszakże stracone, udaje się bowiem doskonale zwracać je znów do generatorów. Sam materyał opałowy nie zostaje tu już bezpośrednio jako paliwo wyzyskany, lecz opalanie odbywa się za pomocą gazu, który przez działanie powietrza i pary wodnéj na węgiel w wysokiéj temperaturze się tworzy. Gaz ten, przyznać to trzeba, nie posiada już tak znacznéj wartości opałowéj, jak pierwotny węgiel. Wartość jego ma się do wartości węgla użytego, jak 80 : 100. Znaczy to, że dla osiągnięcia tego samego efektu opałowego trzeba zużyć według sposobu Monda 125 ton węgla, gdy bezpośrednio wystarcza na to 100 ton węgla. Jednakże różnica ta, jak najskrupulatniejsze obliczenia wskazują, zostaje nietylko zrównoważoną, lecz z olbrzymim zyskiem pokrytą właśnie przez to, że otrzymuje się jednocześnie amoniak (gaz złożony z azotu i wodoru), który w odpowiednio zbudowanych zbiornikach pochłonięty zostaje przez kwas siarczany, dając w ten sposób siarczan amonu, ową sól, która w olbrzymich ilościach w przemyśle i rolnictwie jest zużywana. Z jednéj tony węgla wydobywa się tyle amoniaku, że daje on 32 kilogramy siarczanu amonu. — Względy techniczno-ekonomicznéj treści prowadzą do wniosku, że taki sposób wyzyskiwania węgla nadaje się przeważnie tam, gdzie wymaganą jest wielka konsumcya taniego materyału opałowego i tu właśnie korzyści wypłynąć stąd mogące zdumiewają prawdziwie. P. Mond zaleca głównie spożytkowanie swego pomysłu w Anglii. Otóż, dość powiedzieć, że Anglia zużywa rocznie nie mniéj jak 150 milionów ton paliwa, co odpowiada wydajności 5 milionów ton siarczanu amonu. Gdyby więc tylko dziesiąta część tego paliwa ulegała przeróbce w sposób wyżéj opisany, to już to najzupełniéj-by wystarczyło, ażeby Anglia sama zaopatrywała cały świat stary potrzebną ilością azotu w postaci siarczanu amonu i azotanu sodu (saletry).

Przemysł chemiczny i rolnictwo łączą się tysiącznemi węzły, dopełniają się wzajemnie, a ulepszenia w przemyśle najczęściéj nie mogą pozostać bez wpływu na losy rolnictwa i odwrotnie. Mógłbym zdanie to poprzéć licznemi jeszcze dowodami nie mniéj niż powyższy przekonywającemi. Mimowoli nasuwa się tu wszakże bardzo zajmujące pytanie, czy mianowicie chemik choćby w dalekiéj przyszłości potrafi zastąpić tę pracę, jaką natura dokonywa na zaoraném polu? Czy udać sie nam może kiedykolwiek sztucznie otrzymywać te ciała złożone, które pod wpływem promieni słonecznych tworzą się w komórce roślinnéj i służą nam za pokarm? Mówiłem już, jak zapatrywać się należy na sprawę syntezy ciał białkowych. Co się zaś tyczy mączki,

owego pierwszego, najbezpośredniejszego produktu roślinnego, niezbędnego naszych pokarmów składnika, to dzisiaj dalecy jeszcze jesteśmy bardzo od chwili, gdy danèm nam będzie drogą sztuczną otrzymywać go z tych materyi świata martwego (dwutlenku węgla i wody), z których roślina go tworzy. I wreszcie, kto wié, czy dla naszych spraw życiowych byłoby to tak wielkim postępem, gdyby pług został zastąpiony przez fabrykę chemiczną.

Zadanie wszakże zbliżone do tego zapewne będzie rozstrzygnięte przez naukę. Zadanie to polega na tém, ażeby materya zwana błonnikiem lub drzewnikiem, zawarta we wszystkich utworach roślinnych, a w olbrzymiéj ilości w naturze produkowana, stała się źródłem pokarmu ludzkiego. Gdy w saméj rzeczy pomyślimy, jak małą jest ilość chlebodajnéj mączki w kłosie zboża, a z drugiéj strony weźmiemy pod uwagę, że drzewnik posiada ten sam skład chemiczny, co i mączka, przyznać będziemy musieli, że przez zamianę drzewnika na mączkę zjawi się możliwość podniesienia produkcyi środków pokarmowych niemal do nieskończoności. Drzewo leśne, trawa, nawet słoma i owies — wszystko to stałoby się niewyczerpaném źródłem pokarmów człowieka. „Oby danèm było chemii sprowadzić w ten sposób złoty okres życia dla ludzkości.“

Maksymilian Flaum.





WIDOKI

HANDLU KRÓLESTWA NA WSCHODZIE.

(Dokończenie).

Stosunki handlowe z Azyą środkową, a mianowicie z krajem Zakaspijskim, Bucharą, Chiwą, Turkestanem i okręgiem Semireczeńskim.—Stosownie do zakreślonego planu, przejdziemy obecnie do rozejrzenia się w stosunkach handlowych Azyi środkowéj. W tym celu musimy przedewszystkiém w kilku przynajmniéj słowach określić znaczenie handlowe kolei żelaznéj zakaspijskiéj i wpływ, jaki otwarcie téj kolei wywarło na kierunek i zmiany przywozu i wywozu kraju Zakaspijskiego, Chiwy, Buchary i okręgu Semireczeńskiego. Są to właśnie kraje, o które nam w téj chwili chodzi.

Do czasu zbudowania kolei zakaspijskiéj dla rynków Rosyi europejskiéj, a także dla rynków zachodniéj Syberyi, istniała z Azyi środkowéj jedna tylko droga: wszystkie karawany wielbłądzie schodziły się w Kazalińsku, skąd główna masa towarów z Chiwy, Buchary, Samarkandy i Taszkentu, kierowała się ku Orenburgowi do kolei żelaznéj, a tylko niewielka część ku Petropawłowskowi i Troickowi, t. j. ku Syberyi zachodniéj. Ogromne odległości między handlowemi punktami Azyi środkowéj, bardzo szkodliwie wpływały na handel tamtejszy, tak np. towar dla dojścia do Orenburga, albo w odwrotnym kierunku, do centralnych punktów środkowo-azyatyckich, musiał się znajdować w drodze od trzech do czterech miesięcy. Koléj zakaspijska, łącząc brzegi morza Kaspijskiego w Czardżuju z Amu-Daryą, wiąże tém samém morze Kaspijskie z jedyną najważniejszą arteryą komunikacyi wodnéj środkowo-azyatyckiéj i skraca długość przewozu. Obecnie towary z Warszawy do Czardżuja mogą dochodzić w 17—19

dni. Następnie, doprowadzenie drogi do Samarkandy dało możność skupiania wszystkich towarów, przeznaczonych w transporcie dla Azyi środkowéj, w Samarkandzie, które to miasto, dzięki swemu centralnemu położeniu, uczyniło w znacznym stopniu niepotrzebną dostawę do kolei. Nareszcie, gdy na Amu-Daryi powstanie odpowiednia żegluga parowa, możliwa na przestrzeni od Petro-Aleksandrowska do Kalifu, wówczas stanie się możliwém zwiększanie dowozu towarów z tak olbrzymio bogatego pod względem produkcyjnym chanatu Chiwińskiego—rzeką—do Czardżuja. O ile, w szczegółach taryfowych, koléj zakaspijska przedstawi dla naszych towarów, po zawarciu konwencyi o bezpośredniéj komunikacyi, dogodności, przesądzać obecnie niepodobna; pewném jest to tylko, że wpływając ogromnie na rozwój przemysłu i handlu środkowo-azyatyckiego, tém samém wpłynie pośrednio na większy popyt przywozu, oraz przedstawi wiele produktów, odpowiednich dla wywozu do nas a składających się przeważnie z materyałów surowych, przeznaczonych dla obrobienia fabrycznego. Jest to jedna strona téj korzyści, jaką dla nas przynosi koléj. Druga jest bezpośrednia: jest nią ułatwienie i stanienie przewozu do Azyi naszych towarów. Uprzednio mówiliśmy już, że co do warunków przywozu do Baku, to są one jednakie dla naszych towarów i dla towarów z Cesarstwa. Od Baku znowu przez drogę zakaspijską, pozostaną znowu podonież równemi. Ze względu więc na warunki przewozu, konkurencya jest dla naszych towarów możliwa.

Przyjrzyjmy się więc temu, co kraje, otwierane dla handlu zapomocą kolei zakaspijskiéj, dla handlu tego przedstawiać mogą. Do tego posłuży nam, co do Turkestanu, wystawa turkestańska, odbyta w Taszkiencie r. 1886, na któréj, prócz bogactw przyrodzonych krajów, należących do Rosyi w Azyi środkowéj, reprezentowane były wyroby z Samarkandy, Margelanu i Kokanu.

Zanim jednak podamy rezultaty rzeczonéj wystawy, przyjrzemy się znaczeniu niektórych, bliżéj Europy leżących stacyi kolei zakaspijskiéj, miast: Aschabadu, Duszanu, Merio'u i Czardżuju. O Aschabadzie mówiliśmy już, rozpatrując jego znaczenie w handlu z Persyą. Dodamy jeszcze, że również wielkiém jest znaczenie tego miasta w handlu z Chiwą, a stamtąd przez Kazalińsk z zachodnią Syberyą. Duszan, leżący na zakręcie kolei zakaspijskiéj na północno-wschód, prowadzi téż dość ożywiony handel z Meszchedem, i handel ten ma przed sobą przyszłość. Merio, miasto leżące w bogatéj i urodzajnéj oazie ubogiego kraju Zakaspijskiego, dzięki temu położeniu i stosunkom handlowym z Chiwą, Bucharą i Samarkandą z jednéj strony, oraz Meszchedem i Heratem z drugiéj strony, rozwija się nadzwyczaj

szybko pod względem handlowym, témbardziéj, że bogactwa oazy umożliwiają miejscowy przemysł (przeważnie tkacki). Czardżuj jest również obecnie bardzo ważnym punktem handlowym z powodu, że od niego koléj zakaspijska dochodzi do Amu-Daryi. Czardżuj więc stał się ogniskiem handlu Chiwy, prowadzonego przez Kalif z Bałchem i Majmene, handlu tém ważniejszego, że Kalif jest punktem przechodnim dla handlu Buchary i Samarkandy, prowadzonego przez bucharskie miasto Karszy, łączące w sobie drogi z Buchary i Samarkandy, oraz drogę główną handlu bucharskiego z Afganistanem i Jarkendem, idącą od Karszy na Gissar, Kulab do Kaszgaru.

Ażeby należycie ocenić wartość handlową Czardżuja, należy zwrócić uwagę na to, jakie mają znaczenie stosunki handlowe tego miasta z Chiwą. Pominąwszy obfitość rozmaitego zboża i wybornych gatunków owoców, dla których miasto Chiwa służy za punkt zbiorowy (w handlu) —charakter główny Chiwie nadaje handel z Rosyą, Persyą, Afganistanem i Anglią. Miasto Urgendż, w którém się zatrzymują Europejczycy dla uniknięcia brudów m. Chiwy, jest punktem bardzo ważnym, ponieważ pośredniczy w handlu europejsko-azyatyckim. Gdy więc Czardżuj, ze względu na swe położenie, przeciągnie niektóre obroty handlowe do siebie, nabierze tém samém wielkiéj wagi.

Buchara, państwo i miasto, ciążą obecnie coraz więcéj pod względem handlowym ku kolei zakaspijskiéj, a tém samém ku Czardżujowi. Bogactwa Buchary są oddawna znane. Na pierwszém miejscu stoi naturalnie bawełna, o którą tak bardzo chodzi naszym fabrykantom. Przemysłowcy łódzcy posyłali agentów do Merwu, Czardżuja i Buchary w celu zrobienia umów na dostawę bawełny do Łodzi, któréj Buchara dostarcza 2,000,000 pudów; daléj kokony jedwabnicze wysokich bardzo gatunków, złoto i drogie kamienie (w okolicach Kulabu i Gissaru); oto są główne produkty, jakie dla wywozu przedstawia Buchara. Co się tyczy przywozu dotychczasowego z Rosyi, to widocznem jest, że przywóz ten (szczególniéj wszelkiego rodzaju tkanin, przyrządów technicznych, naczyń, wyrobów metalowych, wyrobów rękodzielniczych wogóle i galanteryi) jest bardzo pożądanym, bo kupcy bucharscy udają się sami na jarmarki w Niższym-Nowgorodzie, Irbicie, oraz do Orenburga i Moskwy, ażeby tam nabywać te towary. Rozwój miasta Buchary pod względem przemysłowym i handlowym powiększa się jeszcze przez to, że jest ona głównym punktem handlowym całego chanatu, i —jak mówiliśmy—od Buchary prowadzi droga na Karszy, Gissar, Kulab do Kaszgaru, a po téj drodze idzie handel z Afganistanem i Jarkendem przez Kaszgar. Zawiązanie stosunków z Bucharą, jak zresztą mamy tego dowody, jest dla nas możliwe i po-

żądane. Ceny przewozu obecnie są dostępniejsze, a spodziewać się można, że po wprowadzeniu bezpośredniéj komunikacyi z koleją zakaspijską, ceny te nie będą przewyższały 1 ½ rs. od puda towarów, wyprawianych z naszych ognisk przemysłowych do Buchary. Ponieważ Czardżuj jest odległym od Buchary o kilkadziesiąt zaledwie wiorst, rzecz więc naturalna, że wobec poprzednio wyliczonych przyczyn jego znaczenia handlowego, nabiéra on w rozwijaniu naszych stosunków handlowych z Chiwą i Bucharą ogromnego znaczenia. Tak więc, dotychczas zauważyliśmy na kolei zakaspijskiéj trzy ważne dla nas punkty: Aschabad, Merw, Czardżuj. Najważniejszym zaś punktem w handlu, nietylko z Bucharą, lecz i z Turkestanem stała się, po doprowadzeniu do niéj kolei zakakaspijskiéj—Samarkanda. Już obecnie kupcy nasi bardzo chętnie zawiązują stosunki z Samarkandą i oddają chętnie reprezentacye kupcom stale tam zamieszkałym. Brakuje tylko należytéj organizacyi tego handlu, który ma tak wielką dla nas przyszłość przed sobą, i przy rozwijaniu którego śpieszyć się trzeba dlatego, że im daléj będzie postępował rozwój przemysłu w Cesarstwie, im więcéj punkt środkowy tego przemysłu będzie się przenosił na południe państwa, tém trudniejszą będzie się stawała konkurencya.

Konkurencya angielska, z powodu przywozu do Azyi środkowéj przez Indye od Kała-Abdułach-Chan przez Herat, jest groźna jedynie ze względu na długie terminy kredytu, jakie Anglicy przyzwyczaili się udzielać w handlu środkowo-azyatyckim. Jeżeli my osiągniemy instytucyę, którаby mogła dopomagać w udzielaniu kredytu bez narażania przemysłowców, wówczas przyczyna powodzenia téj konkurencyi angielskiéj ustanie.

Kończąc ten pobieżny przegląd miejscowości, których znaczenie zależne jest pod względem handlowym przeważnie od przeprowadzenia kolei zakaspijskiéj, przejdźmy do wyliczenia towarów, jakie kraj Turkestański i przyległe chanaty zaofiarować do handlu mogą.

Siarka (w okolicach Kokandu), ryż, sorgo cukrowe, dżut, alfa, konopie, anasza (materyał surowy do narkotyku), kendyr (roślina włóknista), len, chmiel, tytoń i winogrona, są to produkty kopalne i rolnicze kraju Turkestańskiego, posiadające mniéj wagi wobec bardzo znacznéj tamże produkcyi bawełny i jedwabników. Środkowo-azyatyckie jedwabnictwo nie znajduje się, coprawda, dotychczas na należytym stopniu rozwoju, doskonali się jednak tak prędko, że przy pewném ulepszeniu środków technicznych stanie bardzo wysoko, témbardziéj, że w roślinność drzewną, potrzebną dla żywienia jedwabników, kraj Turkestański obfituje. Najważniejszym jednak dla nas produktem kraju Turkestańskiego jest bawełna.

Obecnie Rosya zużywa przeciętnie 8 milionów pudów bawełny rocznie. Przywóz téj bawełny idzie z Egiptu, Indyi i Ameryki po przeciętnéj cenie 11 rs. za pud. Bawełna środkowo-azyatycka, sprowadzana obecnie z Azyi, w ilości 700 przeszło tysięcy pudów, wypadała w cenie przy przewozie na Orenburg 7½ rs. za pud, z wybudowaniem kolei zakaspijskiéj do Samarakandy będzie kosztowała 6½ rs. za pud. Dla łódzkiego okręgu fabrycznego, ceny te są o pół rubla mniéj więcéj wyższe. Poprzednio już wspominałem, że fabrykanci łódzcy posyłali agentów do Buchary, Merwu i Czardżuja w celu zebrania danych o możliwości dostawy bawełny z okolic tych miast do okręgu łódzkiego; ciż sami agenci byli téż w Turkestanie w tym samym celu. Widocznie więc okręg fabryczny łódzki ma znaczne wyrachowania w nabywaniu bawełny w Azyi środkowéj. Wyrachowania te są zupełnie usprawiedliwione wobec tego, że Azya środkowa dać może, według obliczeń, około 3 milionów pudów bawełny, i wobec tego, że w uprawie téj rośliny następują bardzo energicznie prowadzone ulepszenia, wyrażające się w próbném zasiewaniu nasion, najodpowiedniejszych dla produkcyi ruskiéj i naszéj gatunków bawełny. Próby te powiodły się najzupełniéj; nasiona *upland* przyjęły się dobrze. Prócz tego wprowadzenie pożądanych bardzo sposobów prasowania bawełny dla ułatwienia jéj przewozu przyczyni się również w znacznym stopniu do zwiększenia wywozu bawełny. Z pomiędzy produktów rolniczych Turkestanu na uwagę zasługują jeszcze nasiona roślin oleistych, a mianowicie: kunżut, mak, konopie, słonecznik. Pawilon S. Krauzego na wystawie turkestańskiéj, zawierał oprócz olejów wyrobionych ze wzmiankowanych nasion, jeszcze jako nowość oléj pistacyowy. Wspominamy tu o produkcyi olejów roślinnych, jak wogóle o produkcyi rolnéj Turkestanu obszerniéj dla tego, że chociaż za wyjątkiem bawełny i jedwabiu, produkcya ta nas bezpośrednio nie interesuje, to jednak pośrednio obchodzi nas bardzo ze względu na to, że z rozwojem téj produkcyi, jak to ma miejsce już obecnie, powstają potrzeby używania maszyn i przyrządów technicznych, których obecnie dostarcza Anglia, po cenach bardzo wysokich. Wobec daleko dogodniejszych dla nas, a w porównaniu z Anglią, warunków przewozu, konkurencya na tém polu jest zupełnie możliwa, a samo pole zbytu będzie się stawało coraz szerszém. Na szczególną uwagę zasługują przyrządy i piece, zastosowane do opalania naftą, która przy udogodnieniu komunikacyjném, wypływającém ze zbudowania drogi zakaspijskiéj stanie się, wobec braku węgla i drzewa w Turkestanie, najpoważniejszém tam paliwem. Postaramy się ułożyć wkrótce listę przyrządów i maszyn najpotrzebniejszych w Turkestanie i wogóle

w Azyi środkowéj, i spodziewamy się, że lista taka z odnotowaniem cen miejscowych, owych okolic, będzie bardzo pożądaną dla fabrykantów warszawskich. Pomijamy wyroby fabryk ruskich, znajdujących się w Turkestanie, które miały swoje pawilony na omówionéj przez nas wystawie; powiemy tylko o fabryce santoninu, która skutecznie konkuruje z fabrykami Edynburga, Manheimu i New-Yorku, wytwarzając rocznie 1500—2000 pud. santoninu, ze 100,000 pud. nasienia cytwaru. Fabryka znajduje się w Czymkencie dla tego, że niedaleko Czymkentu, przy ujściu rzeki Arysa wyrasta dziko nasienie cytwaru. Z wystawy turkestańskiéj okazało się, że najlepsze wyroby jedwabne dają fabryki samarkandzkie. Dla uzupełnienia wykazu, co daje Turkestan i Azya środkowa dla bezpośrednio nas interesującego wywozu, lub tego, co te kraje produkują, a co może posłużyć pośrednio dla zawiązania z nimi stosunków handlowych, wspomnimy jeszcze o wełnie, któréj z Azyi środkowéj wychodzi rocznie do Rosyi, około miliona pudów, oraz podamy wykazy wywozu według notowań urzędowych. Wykaz ten brzmi, jak następuje: wódka, dziegieć i smoła, żelazo nieobrobione, skóry wszelkiego rodzaju, drzewo, mąka, mięso, żyto, owies, sadło, sól, przędza bawełniana, siemię lniane, bawełna, wełna i jéj oczeski; jedwab i oczeski, jęczmień. Przywóz do Azyi środkowéj obejmuje: wino, wódkę, dziegieć, smołę, żelazo i wyroby z żelaza, naftę i jéj produkty, oleje z nasion, mąkę, worki, otręby, przędzę bawełnianą, płótno, cukier i mączkę cukrową (400,000 pud.), tytoń, towary bakaliowe, wyroby fabryczne (400,000 pud.), herbatę. Że nasz wywóz do Azyi środkowéj powiększa się, dowód mamy w tém, że w zaprzeszłym roku na Odesę poszło 1 ½ miliona pudów naszych towarów, w pierwszéj zaś połowie roku przeszłego już zgórą 2 miliony pudów; dokładnie określić, ile z tego przypada na Azyę środkową niepodobna, bo w te cyfry wchodzi Kaukaz i Persya. Bądź-co-bądź, niemniéj aniżeli ⅓ téj liczby może być policzoną na Azyę środkową.

Z powyższych uwag wypływa samo przez się znaczenie handlowe, jakie ma dla nas Taszkent, jako środkowy punkt Turkestanu.

Zasługuje jeszcze na uwagę Chodżent, Kokan, Namangan, Andiżan, Margelan, Osz i Nankat z jednéj strony, oraz Czemkent, Turkestan z drugiéj strony. Kokan jest najważniejszym z pierwszych; inne są tylko punktami raczéj pośredniczącemi w handlu, w Kokanie zaś znajdujemy w znacznéj ilości wyroby miejscowe z wełny i bawełny, wyroby z miedzi i wogóle metalowe, szczególniéj złotnicze, broń i t. d. Potrzeba wymiany na wyroby fabryczne europejskie, a więc i na nasze — jest wielka. Tkaniny bawełniane naszych fabryk znalazłyby zbyt bardzo obszerny. Kokan więc również winien być w odpowie-

dni sposób wyzyskany, témbardziéj, że stanowi punkt centralny okręgu Fergańskiego.

Od Taszkentu na Czemkent, Aulie-Aga i Piszbek idzie droga handlowa do Wiernego, a stamtąd do Sensinska i Sergiópola. Od Piszbeku leży też droga na Tokmak, później nad brzegami północnemi jeziora Issyk-Kul do Karakolu. Z miast tych zasługuje na uwagę, co do eksploatacyi handlowéj dla nas, Piszbek i Wierny. Piszbek jest to stacya karawanowa i miejsce składowe wszystkich produktów rolnych, bydła, skór i owoców całego okręgu Siemireczeńskiego. Wierny posiada wyroby z rogu i kości, wyroby metalowe, tkaniny wełniane, i jest przytém punktem środkowym okręgu Siemireczeńskiego, skupiając w sobie całe bogactwa produkcyi rolnéj tego tak bogatego pod względem wydajności rolnéj okręgu. Z Taszkentu też na Czemkent, Turkestan, Perowsk, Kazalińsk, Irgiz, Orsk idzie dotychczas tak ważna droga handlowa do Orenburga. O ile jednak ta droga miała dawniéj olbrzymie znaczenie w handlu naszym i ruskim z Azyą środkową, o tyle znaczenie to obecnie, z otwarciem ruchu na kolei zakaspijskiéj, bardzo szybko upada. Orenburg więc przy obecnych, a szczególniéj przyszłych warunkach handlu z Azyą środkową, nie posiada dla nas wielkiéj wartości.

Należałoby nam rozpatrzéć tutaj możliwość i warunki naszego handlu ze Syberyą wschodnią i zachodnią, oraz z krajem Nadamurskim. Zrobimy to jednak na inném miejscu, tu zaś poprzestaniemy na kilku tylko uwagach, nasuwających się przy przeglądzie jarmarku niższonowgorodzkiego i irbickiego. Konieczność zaś tego przeglądu wypływa z poprzednio już zrobionych przezemnie uwag, co do znaczenia tych jarmarków w handlu z Azyą środkową, Persyą i Kaukazem.

Przedewszystkiém charakter tym obydwóm jarmarkom nadaje usposobienie producenta ruskiego, któremu to usposobieniu przypisać również należy olbrzymie dotychczasowe, a nie normalne wobecnych nawet ruskich warunkach handlu znaczenie targowisk tego rodzaju. Producent ruski od niedawna zaledwie rozpoczął starania o zbyt swych produktów za pomocą swych agentów. Jedynem jego usiłowaniem w tym kierunku jest udanie się na jarmark, gdzie go ciągnie też przyzwyczajenie, które należy brać w rachubę w przepowiadaniu skądinąd upadku jarmarków. O ile nam się zdaje, znaczenie tych jarmarków przetrwa jeszcze długo, rachować się więc z nimi koniecznie potrzeba, témbardziéj, że cyfry obrotów na tych jarmarkach w ostatnich latach wzrastają znowu, dochodząc na jarmarku niższonowgorodzkim w przywozie ruskich towarów od 160 do 180 milionów rs. W téj sumie pierwsze miejsce zajęły przędza i wyroby bawełniane,

później metale i wyroby metalowe, następnie wełna i wyroby wełniane. Zachodnio europejskich i kolonialnych towarów przywożono na sumę 8 do 10 milionów rs., a pierwsze miejsce w téj sumie zajmują farby i materyały apteczne. Towary azyatyckie przychodzą téż w znacznych sumach: około 20 milionów rs. przedstawia wartość herbaty, dowożonéj z Chin, za 6 do 7 milionów rs. znajdujemy tam towarów bucharskich, chiwińskich i taszkenckich, za 4 lub 5 mil. rs. towarów perskich, i nareszcie towarów kaukaskich i zakaukaskich za 700 do 800 tysięcy rubli. Z ogólnéj sumy przywożonych towarów, sprzedaje się zwykle 80 do 90%.

Jarmark irbicki przedstawia również poważne sumy obrotów. Zwykle wartość przywozu nań stanowi 60 do 70 milionów rubli, a sprzedaż dosięga częstokroć 95% ogólnéj sumy.

Cyfry te dostatecznie przemawiają za znaczeniem jarmarków, a jednak towary nasze bywają zwykle na tych jarmarkach reprezentowane bardzo słabo. O ile wiemy, na jarmarku niższonowgorodzkim, nie mówiąc już o jarmarku irbickim, za wyjątkiem kilku poważniejszych firm tutejszych, reprezentacya handlu naszego spoczywa w rękach handlarzy żydów. A jednak bez należytéj agitacyi i przedstawiennictwa na tych jarmarkach, nigdy nie dojdziemy do poważniejszych rezultatów w handlu ze Wschodem, t. j. Syberyą, Azyą środkową, a nawet Kaukazem. Nie mówiąc już o handlu z Rosyą europejską, dla rozwoju którego konieczne jest również zawiązywanie stosunków na tych jarmarkach.

Streszczając to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli, twierdzimy:

że utrzymanie i rozwój stosunków handlowych z krajem Zakaukaskim, Persyą północną, Bucharą, Chiwą, Turkestanem, okręgiem Fergańskim i Semireczeńskim jest możliwe i pożądane dla przemysłu Królestwa. Za najważniejsze punkty w rozwoju tych stosunków uważamy w kraju Zakaukaskim: Batum, Tyflis, Erywań, Akstafę i Baku; w Persyi — Reszt, Teheran, Barfrusz, Astrabad, Szachrud, Meszched i Aschabad; w Azyi środkowéj — również Aschabad, Merw, Czardżuj, Bucharę, Karszy, Samarkandę, Taszkent, Kokan i Wierny;

że najważniejszą przeszkodą w handlu ze Wschodem jest brak instytucyi dyskontowéj dla weksli, stamtąd pochodzących;

że przeszkadza również bardzo znacznie niedokładna lub wcale żadna znajomość gustu i wymagań tamecznych odbiorców;

że brak było dotyczas usiłowań zbiorowych, któreby miały na celu usunięcie tych przeszkód, oraz energiczne starania w celu rozpowszechnienia towarów naszych na Wschodzie, jakich dotychczas wcale

prawie w poważny sposób nie robiono, a jeżeli je robiono, to tylko chyba dla zdyskredytowania naszych towarów, ropowszechnianych przez osobistości mocno podejrzane.

Wnioski, jakie stąd wyprowadzić można, są oczywiste. Skoro przeszkodą w handlu ze Wschodem jest brak instytucyi dyskontowéj, należy tę instytucyę stworzyć; skoro brak było usiłowań poważnych dla rozwinięcia stosunków handlowych ze Wschodem, należy, stwarzając instytucyę zbiorową, syndykat przypuśćmy, skierować jéj działalność w tym kierunku.

Za najlepszy wzór w tym ostatnim względzie posłużyćby mogło towarzystwo eksportowe, istniejące w Wiedniu, t. zw. *Oesterreichisch-Ungarischer Export-Verein.* Celem tego stowarzyszenia jest, nie prowadząc bezpośrednio handlu, utworzyć dla ziemian, fabrykantów, rzemieślników i kupców państwa austro-węgierskiego punkt łączności i oparcia dla prowadzenia wspólnych przedsiębiorstw eksportowych.

W tym celu towarzystwo wpływa przedewszystkiem na tworzenie grup eksportowych (*consortium*) przez stowarzyszonych, a to w celu ażeby tym ziemianom, kupcom i przemysłowcom, którzy nie chcą lub nie mogą prowadzić przedsiębiorstw handlowych na swoją własną rękę, pojedyńczo, dać możność dokonywania łącznemi siłami tych przedsiębiorstw z mniejszym nakładem i ryzykiem.

Towarzystwo eksportowe zbiéra następnie sprawozdania handlowe i komunikaty ze wszystkich krajów, obchodzące eksport austryacki, zwraca się do konsulów o potrzebne wiadomości i wykazy, zbiéra wzory, udziela sprawozdania ze swéj działalności wszystkim swoim członkom i podnosi oraz załatwia wszelkie kwestye, jakie tylko uważa za pożyteczne dla austryacko-węgierskiego transportu wogóle, a szczególniéj dla konsorcyów powstałych z inicyatywy towarzystwa.

Instytucyami pomocniczemi towarzystwa są: biuro informacyjne i stała wystawa prób i wzorów towarów eksportowych. Prócz tego zarząd towarzystwa wszedł w umowę z pewném pismém i członkowie towarzystwa otrzymują pismo darmo, znajdując w niém informacye udzielane przez zarząd.

Biuro informacyjne udziela wszelkiego rodzaju informacyj, dotyczących eksportu swym członkom darmo.

Wystawa prób i wzorów posiada korespondentów we wszystkich częściach świata, w tych miejscowościach, które ze względu na eksport mają większe znaczenie. Prócz tego wystawa, gromadząc w jednném miejscu próby i wzory towarów eksportowych, pozwala kupcom obcym zaznajamiać się z temi towarami bezpośrednio i unikać w ten

sposób nadużyć, popełnianych przez niesumiennych najczęściej pośredników. Gdzieindziej, jak np. w Monachium, Sztutgardzie, taka stała wystawa pośredniczy w sprzedaży towarów, których próby są wystawione; pośrednictwo to zostało wyłączone z zakresu działalności wystawy wiedeńskiej. Wystawa taka, gromadząc odpowiednią ilość stosownie dobranych wzorów, pochodzących z miejscowości zbytu, a przedstawiających towary, cieszące się tamże największym popytem, da możność dokładnego zaznajomienia się z potrzebami miejscowości, do których zbyt jest skierowany.

Towarzystwo eksportowe przyjmowało prócz tego na siebie działalność tego rodzaju, jak np.: wysyłanie agentów do rozmaitych miejscowości, tworzenie agentur w tych miejscowościach przy pomocy ludzi tam zamieszkałych, a zupełnie odpowiedzialnych. Przy wysyłaniu agentów zwracano uwagę na to, ażeby agent wstępował zawsze do jakiejś poważnej firmy, pracującej w danem miejscu i był kontrolowany w swych czynnościach przez tę firmę.

Towarzystwo przyjmowało też na siebie obsyłanie wystaw, urządzonych w poważniejszych miejscach zbytu.

Towarzystwo liczyło w 1887 r. członków 240, opłacających 15 flor. jako składkę, i 20 flor. za miejsce obszerności jednego metra kw., udzielane na wystawie stałej prób i wzorów. W tych 20 fl. mieściła się również opłata za miejsce w katalogu, wydawanym przez zarząd wystawy.

Oto jest wogólnych zarysach cel i działalność instytucyi, według mego zdania, dla eksportu naszego obecnie najpotrzebniejszej. Istotnie, usuwa ona te wszystkie przeszkody, jakie dotychczas na drodze tego eksportu stały.

Nieznajomość gustu odbiorców wschodnich, niepewność co do agentów tamże wysyłanych, dyskredytowanie towarów polskich przez agitacye niesumiennych handlarzy i ich oszustwa, brak energicznego i skutecznego reklamowania towarów polskich na rynkach wschodnich, niedokładna znajomość warunków zbytu wogóle i szczególniej obcej konkurencyi — wszystko to dałoby się usunąć za pomocą utworzenia instytucyi podobnej, jak wiedeńskie towarzystwo eksportowe, wraz z jego pomocniczemi instytucyami, oraz z podobnym, lub niewiele zmienionym zakresem działalności.

Potrzebę instytucyi dyskontowej zostawiamy tu na stronie, jako rzecz, którą stworzyć można byłoby zupełnie oddzielnie i niezależnie od towarzystwa eksportowego.

Przy stwarzaniu nowych instytucyi należy o ile możności korzystać z już istniejących. Taką instytucyę, któraby mogła służyć za

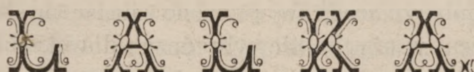
punkt wyjścia w tym razie, jest warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Zarząd oddziału, mając na względzie rozwój eksportu naszego, tworzy przy Towarzystwie wystawę stałą prób i wzorów i biuro informacyjne, którego działalność różni się, co prawda, od działalności podobnych instytucyi zagranicą, lecz które podejmuje też usiłowania w celu gromadzenia wiadomości o warunkach eksportu polskiego. Otóż nam się zdaje, że można skorzystać z programu, zakreślającego działalność Towarzystwa pop. przem. i handlu w ten sposób, ażeby utworzyć przy niem stowarzyszenie, na wzór wiedeńskiego, stowarzyszenie to składałoby się z członków towarzystwa i mogłoby, rozporządzając nowopowstającemi instytucyami przy towarzystwie, objąć działalność pożyteczną dla eksportu polskiego, jednoczącją w swych rękach przy pomocy stwarzania konsorcyów, wysyłania agentów, tworzenia filii i agentur, obsyłania wystaw i t. d.

Rzucamy tutaj ten zarys projektu w nadziei, że agitacya, prowadzona skądinąd w tym kierunku, doprowadzi tę sprawę wkrótce do urzeczywistnienia.

Tadeusz Zaleski.







LALKA.

Bolesław Prus, „Lalka,“ powieść w trzech tomach. Z portretem autora. Waszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1890, str. 431, 503, 439.

Kiedy największa z dotychczasowych kompozycyi powieściowych Bolesława Prusa ukazywała się w odcinku „Kuryera Codziennego,“ czytelnicy interesowali się nią gorączkowo i szturmowali do redakcyi energicznie, jeżeli w ogłaszaniu jéj zachodziły dłuższe przerwy, co się, nawiasem mówiąc, zdarzało dość często; a kiedy obecnie wyszła w książkowém wydaniu, budzi zajęcie jakby rzecz zupełnie nowa, wywołuje dyskusye i spory, i co do całości i w szczegółach.

Dotychczas spory te i dyskusye zamykają się w obrębie rozmów, ale niebawem przejdą zapewne i do druku, gdzie się ujawnić będą mogły różne punkta widzenia i upodobania estetyczne.

Zajęcie wywołane przez książkę jest niewątpliwie jéj pierwszą, zaprzeczyć się nie dającą zaletą, bo rozruszanie umysłów częstokroć bardzo apatycznych, wpuszczenie do nich nowego prądu powodującego działalność komórek mózgowych, podanie materyału obfitego do roztrząśnięcia i rozbioru musi być wynikiem utworu nietuzinkowego, nie zadawalniającego się zewnętrznemi, powierzchownemi objawami życia, lecz sięgającego do wnętrza.

Bolesław Prus należał i należy do pisarzów, którzy w puste frazesy bawić się nie lubią. Na dnie wszystkich niemal jego utworów leży jakaś myśl głębsza, nieraz dziwna i paradoksalna, ale tryskająca życiem, dotykająca ważnych spraw społecznych, lub téż tajemnych stron duszy człowieka. Umysł jego, lubiący i umiejący obserwować, zasilony nauką może niezbyt rozległą, lecz dobrze przetrawioną, skłonny do oryginalnych kombinacyi, a mający żyłkę satyryczną potężnie

rozwiniętą; serce pełne spółczucia dla wszelkiéj niedoli i cierpienia, lecz z powodu owéj satyrycznéj żyłki chętnie przywdziewające maskę humoru; fantazya, pomimo trzeźwości i krytycyzmu, pomimo zabarwienia realistycznego, prawdziwie poetyczna — składają się na wytworzenie fizyognomii duchowéj nadzwyczaj ciekawéj, pociągającéj i sympatycznéj i na powstawanie dzieł, które myślą i wykonaniem wzbijają się wysoko ponad poziom przeciętnych wytworów literackich i dociérają niekiedy szczytów mistrzowstwa.

Wśród tych cennych przymiotów powieściopisarskich pojawiały się dość często wady, wynikające przeważnie z nieutrzymania miary artystycznéj w doborze środków przedstawienia myśli, z niepowściągliwości zwłaszcza w użyciu niewybrednego dowcipu i z niedomagań wreszcie plastyki w malowaniu postaci i sytuacyi. Wady te sprawiały, że żadnego z utworów Prusa nie można było nazwać arcydziełem, ale żadnemu prawie nie odbiérały własności, która w artyzmie ma najwyższe znaczenie,—nie odbiérały prawdy życia.

Dotąd mieliśmy sposobność robić te spostrzeżenia na szkicach, obrazkach i nowelach, obecnie mamy przed sobą powieść trzytomową, w któréj stosunki życiowe warszawskie, a po części prowincyonalne i obce, traktowane są szeroko, chociaż w sposób właściwy autorowi, t. j. za pośrednictwem drobnych rysów, odtwarzających osoby i rzeczy w pewnéj chwili, w pewnym nastroju.

Trzy są główne osobistości, na które w „Lalce“ rzucił autor najwięcéj światła, których dzieje skreślił szczegółowo i których charaktery i przygody najmocniéj oczywiście interesują czytelników. Są to Wokulski, Rzecki i Izabela Łęcka.

Najsympatyczniejszym z téj trójcy, najtrafniéj odmalowanym i najkonsekwentniéj w charakterze utrzymanym jest według mnie Rzecki, z którym czytelnik najdłużéj przebywa, z którego ust najwięcéj szczegółów interesujących się dowiaduje i z którym lepiéj się spoufala, aniżeli z kimkolwiek innym w powieści. Takim, jakim go nam Prus przedstawia, zrobiło go miękkie, serdeczne z natury usposobienie, wychowanie domowe i przygody życia. Ojciec jego był za młodu żołnierzem i wyniósł z owéj epoki bałwochwalcze uwielbienie dla Napoleona, od jego potomków przez resztę życia spodziewając się jakichś przewrotów na świecie, mających złe wyplenić a dobrych nagrodzić. Tę wiarę swoję wpajał w syna od najwcześniejszego dzieciństwa, zaprawiając go zawczasu do zawodu wojskowego, musztrując zawzięcie, i w ostatniéj jeszcze przedzgonnéj chwili zalecając chłopcu wpatrywanie się w gwiazdę Napoleońską. I syn ten wiernym pozostał naukom krótko i stanowczo dawanym przez ojca. Druga szkoła życia, sklepik Mincla,

do którego oddać go po śmierci ojca musiano, gdyż nie było środków na kształcenie, nauczyła go cierpliwości, oszczędności, pracowitości i porządku, ale nie wyrugowała z duszy tego, co w niéj wiara ojcowska zasiała. Gdy się tylko poczuł na siłach i gdy się sposobność w wojnie węgierskiéj zdarzyła, opuścił sklep wraz z towarzyszem swoim, Katzem, który, pomimo swego nazwiska, nie cierpiał szwabów, i poszli bić Austryaków. Katz, natura milcząca, skupiona w sobie, zacięta i stanowcza, nie mógł przenieść klęski porażki, nie chciał wracać do kraju, skończył samobójstwem. Rzecki zaś, miększy i wrażliwszy, zachował w sercu pomimo niepowodzeń nadzieję lepszych czasów, dostał się do kraju i zasiadł znowu w sklepie, jakby dla zadośćuczynienia wymaganiom wpojonym przez owę drugą szkołę życia, jakby dla okazania, że bohatérskie porywy nie przeszkadzają i przeszkadzać nie powinny w spełnianiu obowiązków codziennych, w praktykowaniu cnót powszednich: pracowitości, oszczędności, porządku i cierpliwości.

Autor nie tłómaczy nam dokładniéj téj fazy w życiu Rzeckiego, przedstawia ją tylko jako fakt, może istotnie zaobserwowany. Brak ten atoli wyjaśnienia nie czyni bynajmniéj figury téj niezrozumiałą. Rzecki nie jest to umysł wyższy ani co do rozumu, ani co do namiętności; w nim nie mogła wybujać żadna właściwość aż do tego stopnia, iżby nie dozwalała rozwijać się żadnéj innéj. Gdy młodzieńcza krew w nim zakipiała, poszedł za napomnieniami i wskazówkami zmarłego ojca, które tém większą posiadały w sercu kochającego syna siłę, że już zza grobu się odzywały. Ale spełniwszy obowiązek i nie widząc na razie możności zużytkowania pracy swéj w tym wojowniczym kierunku, wrócił do sklepu, rozczytywał się w dziejach Napoleońskich, śledził przebieg spraw politycznych, objaśniając je po swojemu i upatrując wszędzie zapowiedzi zmian, o jakich marzył ojciec. Być może, Rzecki zaprędko zdziadział, zaprędko zaczął się uważać za niezdolnego do nowych bohatérskich porywów, ale jeżeli tę jednę okoliczność chronologiczną pominiemy, to nic zresztą już więcéj nie będzie nam bruździło w rozumieniu jego charakteru.

Nie ożenił się, został starym kawalerem, przywykł do życia uregulowanego według zegarka, jako starszy subjekt w sklepie odznaczał się skrupulatnością w pełnieniu swych obowiązków tak wielką, że spędzenie paru godzin po za sklepem w porze, objętéj programem pracy, przejmowało go wstydem i obawą, żeby tego nie zauważono. Całą czułość swego miękkiego, serdecznego usposobienia zwrócił ku ukochanemu Stachowi Wokulskiemu, którego znał w biédzie, a którego potém został przyjacielem i prawą ręką. W nim widział uosobienie mądrości i szlachetności, każdy jego krok usprawiedliwiał i, bez wchodzenia w roz-

biór sprawy, zawsze mu przyznawał słuszność, gotów się zań rąbać. Smutki i cierpienia Stacha stają się zawsze udręczeniem Rzeckiego, a powodzenie i tryumf—jego największą radością. Miłość jego dla Stacha niczém zrazić się nie daje, ani brakiem szerszego wylania, ani zagadkowością postępków; jest cierpliwa, pokorna i zawsze ufna; jedno słowo, jedno zrozumienie upodobań nagradza jéj wszystkie niepokoje. Gniéwa go nieraz miłość Stacha do Izabeli, widzi w niéj klęskę i dla przyjaciela i dla interesów sklepowych, czyni czasami delikatne, nieśmiałe uwagi, pragnąłby skierować afekt Wokulskiego ku pięknéj i dobréj pani Stawskiéj, roi w tym względzie pomysły, które mu się wydają bardzo zręcznemi, ale oczywiście ani na chwilę nie życzyłby sobie postąpić wbrew pragnieniom i dążeniom Stacha. Nie mając bardzo często żadnych wskazówek od swego przyjaciela, co do zamiarów jego i czynów, przypuszcza, zgodnie ze swoją wiarą w rychłe dokonanie zmian stanowczych w świecie, że Wokulski zajmuje się czynnie wyższą polityką. Rozczarowuje się ciągle, gdyż żaden postępek, żadne przedsięwzięcie Stacha w wieku dojrzałym nie miało najmniejszego nawet zabarwienia politycznego.

Rzecki ma naturalnie swoje słabostki i śmieszności. Do bruku miejskiego tak już na starość przywykł, że zdobyć się nie może na wyjazd; raz kupił bilet do Krakowa, wsiadł do wagonu i... po trzecim dzwonku wyskoczył. Zajęcia sklepowe, a mianowicie układanie wystawy w oknie co tydzień stało się dla niego niezbędną potrzebą życia, tak, że całkiem bezpłatnie, ba, narażając się na podejrzenia ze strony nowonabywcy, zamykał się w sobotę w sklepie, rozkładał towary, bawił się (stary dzieciak!) zabawkami i obmyślał efektowną wystawę. Do inicyatywy szerszéj był niezdolny; mógł być tylko dobrym wykonawcą.

Autor patrzy na tę postać z dobroduszną, pobłażliwą ironią, która nie przeszkadza bynajmniéj lubić jéj i szanować; w obrazie śmierci Rzeckiego wystawił dobitnie i pięknie niemożność przemiany takiego człowieka na inicyatora jakichś większych przedsięwzięć. Gdy Wokulski sklep sprzedał, gdy się ze spółki zupełnie wycofał i znikł bez wieści, Rzecki oburzony posądzeniem Szlangbauma, że coś z towarów podczas układania wystawy mógł sobie przywłaszczyć, zamyśla o utworzeniu sklepu konkurencyjnego, o wydarciu handlu z rąk partaczy niesumiennych; naraz rozjaśnia mu się w głowie, widzi, że wiara w gwiazdę Napoleońską była mrzonką, że opieranie nadziei na polityce zagranicznéj jest niedorzecznością, bo oto pod bokiem wyrastają ludzie zarażający społeczeństwo zgnilizną moralną; zdaje mu się, że nabrał doświadczenia

które mu wystarczy „na całe życie.“ Ach! tak, wystarczyło... bo tegoż samego dnia umarł.

Tak żył człowiek o inteligencyi średniéj, o sercu dobrém, zacném, o woli wystarczającéj do zrobienia tego, co uważał za pożyteczne i do osiągnięcia możliwe. Pomimo swych rojeń o szerokiéj polityce, życia nie zmarnował, bo nie gardził pracą powszednią, drobną, codzienną. Byt to wprawdzie podobny trochę do bytu ślimaka, wystawiającego od czasu do czasu rożki ku słońcu, ale ponieważ wielkie wypadki i wielkie charaktery nie codzień się zdarzają, dobrze jest gdy w społeczeństwie znajdują się takie pracowite mrówki, jak Rzecki.

Wokulski należy do zupełnie innego rodzaju: to materyał na wielkiego, potężnego działacza. Pomysłowość genialna, wola silna, wytrwałość żelazna, wiedza obszerna i gruntowna mogły go uczynić jednym z wodzów wiodących społeczeństwa ku jaśniejszéj przyszłości. Dlaczego takim nie uczyniły? dlaczego pojawił się on tylko jak meteor, zabłysnął i zniknął. Odpowiedź na to pytanie jest zasadniczą treścią „Lalki,“ stanowi jéj jądro.

Wokulski pochodził ze zbiédniałéj szlacheckiéj rodziny, w młodości służył jako subjekt w handlu win Hopfera, ale gnany żądzą wiedzy, czytał zawzięcie, uczył się po nocach, zdołał się przygotować do egzaminu z najwyższéj klasy i wszedł do Szkoły Głównéj. Zajmowały go najmocniéj odkrycia i wynalazki naukowe, robił doświadczenia chemiczne, budował balony, rozmyślał nad sposobem kierowania niemi. We wszystkiém brakło mu pomocy i środków. Wyrwany z pośród zajęć naukowych, złożył dowody swego męstwa, a potém znalazł się na dalekim Wschodzie. Umiał sobie i tu pozyskać serca, a własny rozum wzbogacić spostrzeżeniami, któremi dzielił się ze światem uczonym i które mu się w życiu dalszém przydać miały. Wróciwszy do kraju, przez pół roku żył z uzbieranéj na Wschodzie gotówki, „kupując za nią dużo książek, ale mało jedzenia.“ Wydawszy ją, począł szukać roboty; nie znalazł jéj u kupców dlatego, że był uczonym, a u uczonych dlatego, że był eks-subjektem. Zawiódł się na nauce, myśląc, że ona zapewni chleba kawałek; postanowił więc chwycić się drogi praktycznéj, postąpić tak, jak wielu postępowało i postępuje. Schowawszy na dnie duszy wyższe aspiracye i nie marząc o zadowolnienie serca, ożenił się z wdową po kupcu Minclu, pracował gorliwie w handlu, był przykładnym małżonkiem; zawarłszy stosunki z kupcami moskiewskimi, poprawił interesy, potroił obroty i dochody. Po trzech jednak latach pożycia ze zbyt sentymentalną, wymagającą i zazdrosną Minclową, Wokulski „pobladł, pochylił się, zarzucił swoje uczone książki, a wziął się do czytania gazet i każdą chwilę wolną przepędzał na rozmowie o po-

lityce"; jednem słowem, przerabiał się na filistra „w tureckim szlafroku, w haftowanych paciorkami pantoflach i w czapeczce z jedwabnym kutasem." W piątym roku pożycia, małżonka zmarła, przekazując cały majątek mężowi. Wokulski wówczas osowiał jeszcze bardziéj, ale za to wrócił do książek. Mając kilka tysięcy rubli dochodu, przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi, odsunął się od towarzystw, pogrążył się w studyach.

Nie trwało to jednak długo; w pół roku po śmierci żony, namówiony przez Rzeckiego poszedł do teatru, ujrzał tam Izabelę Łęcką, pokochał ją gwałtownie, obudził się z apatyi i zaczął pracować nad zrobieniem wielkiego majątku, aby módz się zbliżyć do swego ideału, z którym jeszcze ani słowa nie zamienił. Podczas wojny tureckiéj jedzie do Bułgaryi i w rok niespełna przywozi stamtąd półmiliona.

Wszystko, co tu o Wokulskim powiedziałem, dzieje się po za akcyą powieści, przedstawione zostało w formie epizodu przez Rzeckiego, piszącego pamiętnik. Tak pomyślana figura musi być nazwana dobrą; jest ona oczywiście wyjątkową, ale jéj psychologia może być zrozumianą w zupełności. Jednostek utalentowanych lub genialnych nie brakowało nam nigdy i teraz zapewne nie brakuje. Najczęściéj rozwinąć się one swobodnie nie mogą, gdyż na każdym swym kroku spotykają olbrzymie przeszkody, albo też nie otrzymują koniecznych pomocy. Społeczeństwo biédne, nie posiadające pomyślnych warunków istnienia, stosunkowo do innych narodów mało ukształcone, nie ma u siebie dostatecznego zasobu materyalnego, ani téż przygotowania umysłowego, by mogło naprzód dopomódz pracy wielkich uczonych, genialnych wynalazców i odkrywców przez stosownie urządzone instytucye, a następnie zużytkować wyniki téj pracy i odpowiednio je wynagrodzić. Z tego punktu widzenia przeciwstawienie warunków rozwoju w kraju i we Francyi zrobione przez Wokulskiego jest słuszne i zrozumiałe. Gdyby przyszedł na świat w Paryżu, to przedewszystkiém „dzięki mnóstwu instytucyi, mógłby więcéj nauczyć się w dzieciństwie; później, nawet dostawszy się do kupca, doznałby mniéj przykrości, a więcéj pomocy w studyach; daléj nie pracowałby nad *perpetuum mobile*, przekonawszy się, że w tutejszych muzeach istnieje wiele podobnych machin, które nigdy nie funkcyonowały. Gdyby zaś wziął się do kierowania balonami, znalazłby gotowe modele, całe grupy podobnych jak on marzycieli, a nawet pomoc w razie praktyczności pomysłów" (II, 304, 305). Nie znalazłszy tego wszystkiego u siebie, przeciwnie, widząc lekceważenie dla nauki, popadł w obojętność, ożenił się dla kawałka lepszego chleba, i o mało nie został najpospolitszym jego „zjadaczem." Tak bywa najczęściéj. Ale w Wokulskim nagle obu-

dzona w 45-ym roku życia miłość wyrywa go z apatyi i wprawia w ruch jego zdolności. To zdarza się rzadziéj, ale nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego.

Pozwólmy nawet Wokulskiemu zrobić półmiliona w Bulgaryi — w sposób najuczciwszy. Od czasu jednak, gdy wróciwszy do Warszawy i zaimponowawszy swoim majątkiem, zaczyna się starać o zbliżenie się do panny Izabeli Łęckiéj, t. j. z chwilą rzeczywistego wystąpienia bohatera w akcyi, zaczynają nas opanowywać pewne wątpliwości. Wykupywanie wekslów Tomasza Łęckiego, ojca panny, kupowanie serwisów i kamienic, należących do niego, jest raczéj środkiem czynienia sobie nieprzyjaciół, aniżeli przychylnych. W ten sposób postępowali bohaterowie romansów francuskich, gdy chcieli kogoś zgnębić, wywrzéć na kimś zemstę, doprowadzić rzeczy do ostateczności. Człowiek rozumny i bogaty znalazłby daleko łatwiejszy, daleko mniéj ryzykowny środek zbliżenia się do ubóstwianego zdala ideału i nie narażałby się na śmieszność, przesiadując w wielką sobotę w konfesyonale, by patrzéć na kwestującą Izabelę; bo to pachnie trochę studenteryą lub dziwactwem; nie krążyłby po Łazienkach nie śmiejąc się zbliżyć do przechadzającéj się z ciocią pani swego serca, gdy im osobiście był już znany.

Przejścia w dziejach miłosnych, ustawiczne wahania się pomiędzy nadzieją a zwątpieniem, pomiędzy zaślepieniem w przymiotach ukochanéj a trzeźwym sądem, pomiędzy obawą i śmiałością są wyborne same w sobie i oddzielnie rozważane, lecz w zastosowaniu do człowieka energicznego i doświadczonego, jakim wyobrażamy sobie Wokulskiego, wydają się bardzo dziwnemi. Byłyby one na miejscu w duszy młodzieńca pełnego jeszcze złudzeń, nie znającego świata i kobiét w szczególności, nie posiadającego téj pewności, jaką bądź-co-bądź dają człowiekowi pieniądze, własną zwłaszcza pracą zdobyte. Niezgrabnym trochę i niezręcznym mógł być Wokulski, bo do łatwości ruchów towarzyskich trzeba nawyknąć od młodu, ale nie mógł być chyba naiwnym w 45-ym roku życia, poznawszy różne okazy kobiét w saloniku swéj żony. Wokulski obwinia poezyą romantyczną a w szczególności Mickiewicza o posępne zabarwienie ideału miłości, o wyniesienie go na wyżyny niedościgłe. „Bo któż to — woła on — miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mnie gardzić codziennemi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?... Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodyą w pustyni, a ty co z niéj zrobiłeś?... Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie nad zdeptaném sercem ludzkiém!“ (II, 353). Takie deklamacye są właściwe w ustach młodzieniaszka-marzyciela, nie znającego

różnicy pomiędzy poezyą i życiem, czerpiącego wyobrażenia swoje z książek, a nie ze skarbnicy doświadczenia. U takich ludzi jak Wokulski są one dziwacznym, melodramatycznym wykrzykiem, któremu towarzyszy równie melodramatyczne ciskanie tomu poezyi Mickiewicza, a potém rozczulanie się nad jego losem złamanym przez miłość do arystokratycznéj panny. Wogóle taka miłość pełna udręczeń, niepokojów, odpowiada raczéj naturom refleksyjnym, w sobie zagłębionym, lubiącym „własną pieścić się boleścią“, aniżeli charakterom śmiałym, energicznym, zaprawionym do walki w szkole życia praktycznego. Zapewne, i takie charaktery śmiałe niezbyt bywają skłonne do położenia kresu niepewnościom przez jakiś krok stanowczy, ale prędzéj się nań decydują, aniżeli natury miękkie, refleksyjne, Hamletowskie. Tymczasem Wokulski przeważnie toczy tylko ze sobą walkę wewnętrzną, a gdy próbuje czynem oderwać się od ubóstwianéj istoty, w któréj sto razy mógł zauważyć płytkość i fałsz, to działa jak odurzony lub jak lunatyk, jedzie do Paryża, by wypijać po karafce koniaku, włóczyć się bez celu po ulicach i wystawach, nie mogąc się ani na chwilę otrząsnąć od jedynéj myśli przytomnéj mu zawsze i wszędzie, od myśli o Izabeli. Cokolwiek się pisze (rzadziéj mówi) o wszechpotędze miłości, niepodobna przecież, polegając na psychologii i doświadczeniu, zgodzić się na to, ażeby człowiek z silną wolą nie mógł zapanować nad tą namiętnością, zwłaszcza gdy ona w sferze duchowéj tylko ma swe źródło. Jedna tylko okoliczność zdaje się w téj mierze módz sparaliżować wysiłki woli t. j. monomania. Jakkolwiek Prus robi niekiedy do téj okoliczności aluzye, nie uczynił jéj przecież swą tezą. Ojciec Wokulskiego był wprawdzie monomanem, marzącym o wyprocesowaniu od rodziny wielkiego majątku; sam bohater mówi o sobie, że ma raka w duszy, że został zahipnotyzowany przez Izabelę; ale żadne inne, wyraźniejsze ślady choroby umysłowéj nie zostały przez autora uwydatnione, a wracająca od czasu do czasu świadomość położenia, błyski trzeźwego, krytycznego poglądu na Izabelę, świadczą, że jeżeli początki monomanii miłosnéj były w Wokulskim, to się nie rozwinęły do tego stopnia, żeby aż całkowicie zdołały zabić w nim wszelkie inne ideały, i pobudki działania. Ostateczne oswobodzenie się Wokulskiego po drastycznéj rozmowie Izabeli z kuzynkiem dowodzi, że energia w nim nie zamarła, tylko w skutek tendencyi autora pozostała niewyzyskaną należycie. Prusowi chodziło o to, żeby jego bohaher, zapowiadający tak wielkie dla społeczeństwa korzyści, zmarnował się. Dopóki w kształceniu się jego i w poszukiwaniu pracy uwydatniał brak pomocy lub przeszkody ze strony społeczeństwa, trzeba było przyznać mu słuszność, ale gdy dla dopełnienia miary jego niepowodzeń, obrał zawód w miło-

ści i na ten zawód największy nacisk położył, musimy się z nim w poglądzie rozejść. Nietylko nie zawtórzymy Wokulskiemu, gdy narzeka na społeczeństwo, że mu stawiło zapory w zbliżeniu się do Izabeli, nietylko uznamy za niedorzeczną deklamacyą słów jego, iż gdyby się urodził we Francyi, toby takich zapór nie spotkał, ale przeciwnie całkowitą i wyłączną winę będziemy musieli przypisać jemu samemu, bo społeczeństwo chyba nic temu nie winno, że się zaślepił względem panny i że nie potrafił zapanować nad uczuciami. Czém urósł w oczach czytelnika bohatér, to sam dobrowolnie zmarnował; i zarówno domniemana śmierć jego w ruinach Zasławskich, jak i zupełne odsunięcie się od spraw społecznych nie może budzić głębszego spółczucia; z wyżyn tragicznych wszedł on dobrowolnie na poziom melodramatycznego kochanka. Mówimy to zaś nie ze stanowiska społecznego, ale poprostu psychologicznego i etycznego.

Jak figurze Wokulskiego brak konsekwencyi w rozwinięciu, tak Izabeli Łęckiéj pewną mglistość fizyonomii duchowéj zarzucić wypadnie. Z początku autor zajął się nią bardzo szczegółowo i w sposób właściwy realistom francuskim starał się określić oddziaływanie otoczenia na umysł bujny, bogato uposażony. Wpływ pojęć arystokratycznych, odsunięcie od wszelkich interesów, a zamknięcie w sferze wygód najwyszukańszych, religijność powierzchowna i formalistyczna, w związku z dyletanckiém uwielbieniem sztuk pięknych, spotkały się z naturą prawą w głębi duszy, mającą porywy szlachetne, delikatną i subtelną, i wytworzyły, jak się zdawało, osobistość niepowszednią; która mogła albo zginąć w walce z niepomyślnemi warunkami (biédą materyalną i t. p.), albo też przejąć się szczerze uczuciami i poglądami wprost przeciwnemi tym, w jakich ją wychowywano. Pierwsze wystąpienia Izabeli wobec zachodów Wokulskiego, oburzenie wywołane myślą, że tenże chce być dobroczyńcą jéj rodziny, chęć pozbycia się serwisu, byleby się uwolnić od upokarzającéj protekcyi ciotki, próba oswobodzenia się od długów lichwiarskich, ciekawość zbadania, czy możliwy jest wysoki procent, ofiarowany jéj ojcu przez Wokulskiego mogły utwierdzić w tém pochlebném dla bohaterki mniemaniu, mogły wyrobić w czytelniku przekonanie, że panna Izabela bardzo była mało obeznana z interesami pieniężnemi, ale, że posiadała dosyć inteligencyi, ażeby się z niemi w krótkim czasie spoufalić. Lecz od chwili, w któréj, z kaprysu autora, panna Izabela nie może zrozumieć, że 10,000 od 30,000 nie jest 10% ale 33⅓%, czytelnik musi dojść do wniosku, że to gęś, bardzo piękna, estetycznie ukształcona, mogąca mężczyznom zawracać głowy, ale tylko gęś, nie zaś istota, którаby pod względem umysłowym mogła rościć pretensye do jakiejś wyższości.

Odtąd też t. j. mniéj więcéj od drugiego tomu powieści, panna Izabela już ani razu nie okazuje najmniejszego poruszenia duszy, któreby nam przypomniało jéj poprzednie, pewną godnością nacechowane zachowanie się, jest ona już tylko dość zręczną kokietką, trzeźwo zastanawiającą się nad swojém położeniem, nad możliwością wyjścia za mąż za bogatego starca, trzymającą na uwięzi Wokulskiego, z którym się zresztą wcale nie żenuje, będąc pewną jego niezmiennéj stałości. Nie poznała się dostatecznie na swym wielbicielu, nie wiedziała, że obok nieśmiałości wobec niéj i chorobliwego przywiązania, jest w nim jeszcze energia i niechęć do podzielania łask i pieszczot z innymi; przeciągnęła strunę, prowadząc po angielsku wobec Wokulskiego rozmowę z kuzynkiem bardzo swobodną, i naraziła się na skompromitowanie. A gdy i drugi konkurent, na którego liczyła i wobec którego pozwalała sobie za dużo swobody, opuścił ją także, zamyśliła podobno osiąść w klasztorze... zapewne nie nadługo... W téj metamorfozie jest Izabela wyrazistszą, aniżeli w pierwotnéj (I-szego tomu) postaci, ale natomiast nowego rysu do charakterystyki kokietek nie dodaje. Gdyby był autor jaśniéj przedstawił pierwszą fazę i gdyby zgodnie z nią rozwinął jéj psychologię, otrzymalibyśmy figurę interesującą i dosyć świeżą, chociaż przypominającą trochę „Adę“ Kraszewskiego.

Obok tych trzech głównych postaci przesuwa się bogata galerya osób, kreślonych zazwyczaj sylwetkowo drobnemi, ale wyrazistemi rysami. Za najlepszą w powieści uważałbym grupę obrazków, przedstawiających życie średniego mieszczaństwa. Jakże doskonały jest sklep starego Mincla, pociągającego dla zabawy tekturowego kozaka w oknie i ściągającego dla nauki dyscypliną chłopców sklepowych, wraz z jego matką widzącą w dobréj kawie szczyt zadowolnień ludzkich, i jego synami wymyślającemi sobie od Niemców i w ciągłéj ze sobą rozterce będącemi, a jednak wzajem sobie dopomagającemi, i młodą Minclową zmysłowo namiętną! Mniéj dobry, ale prawdziwy jest obrazek wnętrza sklepu Hopfera, miłości Kasi do Wokulskiego, pożycia tegoż z wdową po młodym Minclu. Odmienny, lecz w swoim rodzaju wyborny jest zarys charakteru subjektów Wokulskiego; milczący i posępny Klein, szarmant galanteryjny Mraczewski, sumienny Lisiecki. ciągle obawiający się przymówek o żydostwo Szlangbaum. Świetnie pomyślanym i doskonale zarysowanym jest doktór Szuman, bystry, przenikliwy, niezmiernie wrażliwy, a więc też łatwo zmieniający poglądy, na przemian uczony i przemysłowiec, nielitościwy szyderca, ale dobry i zacny z gruntu człowiek, wymyślający na spółbraci, lecz kochający ich namiętnie. A cóż to za przepyszny opis licytacyi! Niemal z fotograficzną dokładnością, a jednak z prawdziwym artyzmem od-

tworzona zabawna strona ścierania się tu różnorodnych, nieraz wprost przeciwnych sobie interesów! Knajpka wraz z Deklewskim, Szprotem, a zwłaszcza Węgrowiczem, doskonała!

Mniéj prawdziwemi, w karykaturę wpadającemi są sceny, w których Prus przedstawił życie studentów i figle przez nich płatane w kamienicy nabytéj przez Wokulskiego, oraz scena w sądzie, w któréj ciż studenci, jako nie płacący komornego, pozwani przez nową tego domu właścicielkę, dworują z niéj sobie i z całéj sprawy. Prus ma niewątpliwie wielki zapas komizmu, a żarty jego i dowcipy do szczerego i hucznego pobudzić mogą śmiechu; dobrzeby jednak było, ażeby w dobiéraniu środków wywołania wrażeń komicznych był wybredniejszy. W „Lalce“ mianowicie, tak jak w wielu felietonach jego, razi zbyt częste odwoływanie się w porównaniach i określeniach do stosunków płciowych. Może to rzeczywiście podobać się pewnéj sferze czytelników, od któréj nie wyłączam i kobiét, co tém chętniéj czytają o takich rzeczach, im mniéj o nich pozwalają przy sobie mówić; ale prawdziwie estetycznego efektu bynajmniéj to nie sprawia. Przypuścić wolno, że te koncepty samemu autorowi nie są zbyt upodobane i że jest trochę ironii w posługiwaniu się niemi; autor mówi chyba sobie: nudzą was rzeczy poważne, podobają się wam błazeństwa; dobrze, wezmę na siebie tę rolę, tylko pozwólcie się nazwać bydlętami... Mógłby sobie Prus takiéj ironii oszczędzić.

Świat arystokratyczny dość dużo zajmuje miejsca w „Lalce;“ poznajemy tu kilka postaci nakreślonych sylwetkowo, a zawsze z większą lub mniejszą przymieszką sarkazmu. Najszlachetniejszą osobistością jest tu książę wiecznie ubolewający nad „nieszczęśliwym krajem,“ mający najzacniejsze dążenia, popiérający wszelką działalność, w któréj widzi pożytek ogólny, ale sam niezdolny do żadnéj inicyatywy i naprawdę nie rozumiejący istotnych potrzeb narodu. Najsympatyczniejszym jest Ochocki, młodzieniec zdolny, pomysłowy, ale dla braku gotówki nie mogący pomysłów swoich uskutecznić, nudzący się w atmosferze salonowéj, lekceważący kobiéty, kokietujący je na zimno, zawsze gotowy do dyskusyi naukowych, do porzucenia zabawy i życia próżniaczego, gdy mu się sposobność do ulubionych doświadczeń fizykalnych nastręcza. Hrabia udający Anglika, jeden baron wiecznie w długach, drugi astmatyczny, w starości wzdychający do sielanki miłosnéj, Maruszewicz, nikczemny rajfur i oszust — jako sylwetki — są figurami dobremi. Autor głębiéj w ich dusze nie wchodzi, nie przedstawia nam ich życia na tle szerszém, uwydatnia tylko ich właściwość jako *inutile pondus terrae*.

W świecie kobiécym pewnym równoważnikiem księcia jest zacna i rozsądna staruszka prezesowa, wolna zupełnie od przesądów rodowych, wspominająca swoję młodocianą miłość do stryja Wokulskiego, rozporządzająca swoim majątkiem rozumnie. Jéj ulubienicą jest młoda wdówka Wąsowska, śmiała, trochę męskich przyzwyczajeń mająca, w słowach idąca niekiedy zadaleko, kokietująca mężczyzn otwarcie, przebojem, ale ostatecznie w życiu bez zarzutu. Ewelina, zdradzająca już przed ślubem, jest istotą moralnie zgniłą, którą ze żdziwieniem widzimy w towarzystwie prezesowéj.

Wogóle zarys pożycia towarzyskiego na wsi w majątku prezesowéj jest prowadzony żywo; zrobiłbym tylko uwagę, że zachowanie się i rozmowy zgromadzonych tu osób bardziéj przypadałyby do charakteru średnio-szlacheckiéj lub bogatéj mieszczańskiéj sfery, aniżeli do arystokratycznéj.

Pani Stawska, którą Rzecki jako anioła wystawia, nie należy właściwie ani do arystokracyi, ani do mieszczaństwa. Ma ona zapewne wyobrażać dobrą, zacną kobiétę, bez kokieteryi, a pełną uroku. Gdyby nie jedna scena, w któréj Stawska bez ogródki powiada matce, że gdyby tylko zechciał Wokulski, stałaby się jego metresą, możnaby wziąć tę postać za prawdziwą; pani Stawska, jak ją poprzednio poznaliśmy, alboby się tak nie wyraziła, albo nie byłaby potém tak spokojnie wyszła za Mraczewskiego.

Ogólne wrażenie, jakie pozostawia po sobie „Lalka," jest mroczne; pesymistyczny pogląd na obecny stan społeczeństwa naszego widnieje w całości, ale nie daje się uczuć zbyt dotkliwie, gdyż promyki humoru rozjaśniają cienie, rzucone przez złe lub słabe jednostki; dopiéro w samym końcu, gdy Wokulski zniknął, a Rzecki umarł, występuje on w całéj sile, bo na arenie pozostają... Maruszewicz i Szlangbaum, i mają kraj reprezentować.

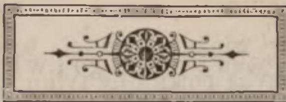
W kompozycyi „Lalka" jest chyba najsłabsza. Nie mam tu na myśli luźnego łączenia scen, gdyż wynikać to może z metody powieściopisarskiéj: lecz przerywanie biegu akcyi obszernemi wyjątkami z dziennika, czy raczéj pamiętnika Rzeckiego i sposób pisania w pamiętniku tym panujący. Wyjątki te są tak ułożone, że mogą być w znacznéj części z jednego miejsca usunięte, a w drugie wstawione: nie wiadomo dlaczego w jednym z urywków opowiedziana jest młodość Rzeckiego, a dopiéro po znacznéj przerwie jego wyprawa do Węgier; podobnie jak nie wiadomo, dlaczego wiadomości o początkowych losach Wokulskiego pojawiają się dopiéro w tomie drugim. Styl w pamiętniku tym bardzo rzadko właściwy jest zwykłemu

sposobowi wyrażania się Rzeckiego, w większéj części ten ekswojak i subjekt tak pisać nie mógł, chyba potrafiłby tylko skopiować rękopism Prusa: tyle w nim świeżości, dowcipu i ironii z samego siebie.

Mimo te braki, gdy się pomyśli o mnóstwie trafnych uwag, o znacznéj liczbie doskonałych sylwetek, wybornych scen, tryskających życiem; gdy się rozważy figurę Rzeckiego; przyznać się będzie musiało „Lalce" jedno z pierwszych miejsc w naszéj beletrystyce współczesnéj.

Piotr Chmielowski.






PROJEKT NIEMIECKI KODEKSU CYWILNEGO.

Entwurf eines bürgerlichen Gesetzbuches für das Deutsche Reich. Erste Lesung. Ausgearbeitet durch die von dem Bundesrathe berufene Commission. Amtliche Ausgabe. 1888. *Motive zu dem Entwurfe. Allgemeiner Theil 1888.* Berlin und Leipzig.

Zdumiewającą jest energia i szybkość, z jaką dzisiejsze państwo niemieckie ukuto z odłamów, przez wieki całe jednolitości pozbawionych. Dokonane umiejętnie zespolenie wydaje się doskonałém z uwagi na potęgę, rozwijaną w stosunkach zewnętrznych; inaczéj wszakże rzecz się ma z funkcyami wewnętrznemi organizmu państwowego, gdzie żadna zręczność ani energia nie zdoła zatrzeć odrazu cech różnolitości rdzennéj, z historyą narodu powiązanéj. Dotykalne objawy téj różnolitości przedstawia prawodawstwo niemieckie, zwłaszcza od upadku cesarstwa w r. 1806, zaś najdotkliwiéj daje się ona uczuwać w zakresie prawa cywilnego. Z chaosu ustaw partykularnych wynurza się tu pruskie „*Allgem. Landrecht*“ z r. 1794 oraz kodeksy cywilne austryacki (1811) i saski (1863); oprócz tego w ziemiach nadreńskich i w. ks. Badeńskiém (od 1809) zyskał moc obowiązującą kodeks cywilny francuski—ze wzmagającemi się z biegiem czasu modyfikacyami. Już jednak w r. 1848 prąd unifikacyjno-narodowy wywołał dążenia ku ujednostajnieniu prawodawstwa: tutaj należy „powszechna niemiecka ustawa wekslowa“ (26 list. 1848) i „powszechny niemiecki kodeks handlowy“ (1861; lecz prace nad nim rozpoczęte w grudniu 1848 r.). Obiedwie atoli ustawy mimo tytułów ogólnych nie miały mocy obowiązującéj dla członków Związku; były one tylko „zalecone“ i przez każde państwo z osobna mogły być przyjęte lub odrzucone. Wówczas téż konferowano w sprawie powszechnego niemieckiego postępowania cywilnego i prawa o zobowiązaniach—również w projekcie *potestative* do przyjęcia—lecz bez skutku. Od r. 1867 inicyatywę w kierunku unifikacyi

prawodawczéj podjęły Prusy, jako głowa Związku Północnego i w krótkim okresie czteroletnim wiele zdziałać potrafiły. Po odrodzeniu cesarstwa kierunek taki wzmocnił się znacznie, potrzeba jednolitości stała się gwałtowniejszą, gdy do Związku weszły części składowe nowe, pomiędzy któremi zachowanie równowagi stało się trudniejszém. Konstytucya cesarstwa w szerokiéj mierze uwzględniła tę potrzebę, w 16-tu aż ustępach (§ 4) obejmując kompetencyą prawodawczą cesarstwa, z wyłączeniem partykularnéj. Tak więc wspomnione ustawy handlowa i wekslowa, które od r. 1869 były obowiązujące dla Związku Północnego, zostały rozciągnięte natychmiast (1871 i 1872) na cesarstwo (z uzupełnieniami, dotyczącemi zwłaszcza stowarzyszeń akcyjnych 1870 i 1884). Podobnież uchwalony dla Związku Półn. kodeks kar z r. 1870 zyskał w roku następnym moc obowiązującą dla cesarstwa (w r. 1876 i 1880 poczyniono w nim znaczne stosowne zmiany). Pierwszorzędnéj wagi reformy objęły urządzenia sądowe oraz postępowanie cywilne i karne (1877). Obok tego krokiem pośpiesznym posuwało się ujednostajnienie administracyjne.

Pozostała wszakże sprawa najważniejsza: ujednostajnienie prawa cywilnego. Oczywiście tutaj najwięcéj nasuwa się przeszkód, gdyż najgłębsze, a więc najmocniéj różne interesy różnych odłamów cesarstwa winny zostać dotknięte i przy dokonaniu niwelacyi różnice głęboko uzasadnione usunięte. Jakkolwiek powierzchownie obmyślaną i mało przewidującą była ustawa konstytucyjna cesarstwa z roku 71, wszakże odpowiedni jéj ustęp wskazuje na ostrożność pewną w téj materyi. Pozostawia on mianowicie kompetencyi cesarstwa „p r a w o o z o b o w i ą z a n i a c h, karne, handlowe, wekslowe i postępowanie sądowe“. W ten sposób prawo o osobach, familijne, spadkowe, hypoteczne — dziedziny najsilniéj podlegające historyczno - partykularnym wpływom, zabezpieczone były od niwelacyi i wolnéj woli prawodawczéj oddzielnych państw związkowych pozostawione. Lukę tę pośpieszono jednak zapełnić, rozumiejąc dobrze jéj znaczenie. Na skutek przedłożonego sejmowi przez narodowo-liberalnych żądania, szczególnie przez Laskera i Miquela popartego, ustęp powyższy już po 2 latach uzupełniony został w ten sposób, że wyraz „prawo o zobowiązaniach“ zastąpiono przez „prawo cywilne“. Na zasadzie odnośnego prawa (z 20 grud. 73 r.) Rada Związkowa w roku następnym ustanowiła komisyę prawodawczą dla wypracowania projektu kodeksu cywilnego, z wyłączeniem prawa handlowego i odnośnych dziedzin. Do komisyi, składającéj się przeważnie z prawników praktycznych, należał między innymi znakomity znawca prawa rzymskiego, profesor uniwersytetu lipskiego, v. Windscheid. W charakterze podkomisyi pomocniczéj dołą-

czono do głównéj 9 wybitnych przedstawicieli sądownictwa niemieckiego. Najsilniéj reprezentowany w obudwóch oczywiście element pruski (9 członków); Bawarya, pod względem autonomii, wedle konstytucyi cesarstwa, pierwsze po Prusach zajmująca miejsce, ma dziwnym sposobem po jednym tylko przedstawicielu w każdéj komisyi. Z godnym podziwu pośpiechem projektodawcy, rozpocząwszy swe prace we wrześniu 74 r., ukończyli olbrzymie przedsięwzięcie już w grudniu 87 r. (wyjąwszy prawo o zaprowadzeniu projektowanego kodeksu, które ukazało się dopiéro w grudniu 1888 r.). O ogromie pracy świadczy ten szczegół, że studya wstępne obejmują 19 tomów druku *in folio*, protokóły zaś posiedzeń, odbite sposobem metalograficznym, stanowią 12,309 stronic *in folio*. Przez uchwałę Rady Związkowéj z 21 stycznia 1888 roku, po pierwszem czytaniu projektu postanowioném zostało ogłoszenie urzędowe onego dla publicznéj wiadomości, wraz z motywami komisyi prawodawczéj.

Całość projektu rozpada się na pięć ksiąg, z których pierwsza (redakcya Gebharda) zawiera część ogólną, II (red. Kübla)—prawo o zobowiązaniach, III (red. Johowa)—rzeczowe, IV (red. Plancka)—familijne, V (red. Schmitta)—spadkowe. W klasyfikacyi szczegółowéj liczne zaprowadzono inowacye; tak np. różne w zasadzie pojęcia przedawnienia skargowego i nabywczego, zazwyczaj razem traktowane, ściśle zostały rozgraniczone i kiedy o pierwszém mówi osobny (VII) rozdział części ogólnéj, drugie weszło do księgi trzeciéj, w skład tytułu o nabywaniu praw własności. Księgi podzielone są na rozdziały, te na tytuły; ogółem obejmuje projekt 2,164 artykuły. Wyłączone zostało, jak wzmiankowaliśmy, prawo handlowe, górnicze, wodne, wekslowe, przepisy zabezpieczające wierzycieli przeciw krzywdzącym ich prawa działaniom dłużnika (akcya pauliańska, urządzona przez prawo z 21 lipca 79 r.), oraz dotyczące własności naukowéj, literackiéj i artystycznéj. Co do ostatnich, zachowują moc prawa z 70, 74, 76 i 77 roku, szczegółowo urządzające nowożytną tę dziedzinę stosunków prawnych; prawo handlowe pozostaje z modyfikacyami z 72 i 74 r. Zresztą niektóre przepisy księgi drugiéj mają zastosowanie szczególniéj względem stosunków handlowych. Tak np. § § 685—703 szczegółowo uwzględniają papiery na okaziciela i mają stanowić uzupełnienie do odnośnych przepisów kodeksu handl. o akcyach.

Podział projektu na księgi, z osobną częścią ogólną, zawierającą oraz prawo o osobach, i rozróżnieniem czterech wielkich działów szczególnych, odpowiada nowszéj systematyce prawa rzymskiego. W ogóle prawo rzymskie—o ile pozwalają wnioskować motywa—pilnie było przez projektodawców uwzględniane. Nie pomijają oni w motywach

i spółczesnych obcych prawodawstw, lecz względem kodeksu francuskiego, który z uwagi na ziemie nadreńskie najczęściéj się nasuwał, zachowują się zawsze z wielką surowością krytyczną (str. 23, 32, 60, 61, 63 i wiele in.). Główne wszakże źródło stanowiło oczywiście dla projektu „*Landrecht*“ pruskie, oraz prawodawstwo cesarstwa i Prus z ostatnich lat kilkunastu. Dążność ku swojskości zauważyć się daje już w terminologii projektu; wobec przeważnego wpływu prawa rzymskiego na rozwój prawa niemieckiego, dążność ta przychodziła częstokroć z trudem. Tak np. ustalony termin „*Obligation*“ (użyty jeszcze w Konstytucyi 1871 r.) zastąpiony został w projekcie przez niekoniecznie fortunne „*Schuldverhältniss*,“ kompensacya nazywa się „*Aufrechnung*“ i t. d. Cechę ogólną projektu stanowi unikanie definicyi, w myśl zasady „*omnis definitio periculosa*“; wielokrotnie kładą na to nacisk motywa (1, 73, 126, 153 i in.). Dziwi obok tego napotykana niekiedy kazuistyka, gdy np. zamiast krótkiego ustępu kod. franc. o zobowiązaniach wynikających z występków, znajdujemy w projekcie szereg artykułów (§§ 704—736), omawiających liczne wypadki szczególne, np. zabójstwo, pozbawienie wolności, nawet wylanie nieczystości na ulicę (§ 729). Bardziéj pożytecznemi wydają się inne przepisy szczegółowe; tak np. ważnéj potrzebie praktycznéj czyni zadość pełny tytuł (§ 581—585), traktujący o zobowiązaniach wynikających z jednostronnych obwieszczeń publicznych, obiecanych w pismach wynagrodzeń, rozpisanych konkursów i t. p. („*Auslobung*“). Według projektu zobowiązanie takie staje się nieodwołalném dla stanowiącego nagrodę, jeśli wyznaczył w niém termin, lub téż jeśli w obwieszczeniu samém zrzekł się prawa odwołania. Urządzonym również zostaje wypadek przystąpienia kilku konkurentów do nagrody. Mniejszéj wagi, lecz nader właściwą inowacyą zaprowadza inny przepis specyalny, przewidujący zawarcie umowy drogą telegraficzną (§ 92), przyczém jest wymagany podpis własnoręczny na depeszy; jak wyjaśniają motywa, w tym wypadku wysyłający udowodni w urzędzie telegraficznym tożsamość swéj osoby, poczém telegram uzupełniony zostaje przez stosowne stwierdzenie autentyczności.

Powracając do części ogólnéj projektu, na samym jéj wstępie natrafiamy na nader zajmującą i ogólniejszego znaczenia kwestyą uwzględnienia prawa zwyczajowego. Pod wpływem prawa rzymskiego oraz szkoły historycznéj, w niektórych prawodawstwach partykularnych Niemiec, prawo zwyczajowe zyskało miejsce niepoślednie. W Bawaryi i Brunświku zwyczaj ustalony znosił prawo dawniejsze, w Hamburgu została podziśdzień zachowaną moc nietylko derogacyjna, lecz wprost twórcza (suppletoryjna) zwyczaju. Projekt (§ 2) po-

szedł za większością prawodawstw obowiązujących, znosząc stanowczo prawo zwyczajowe, nie naruszając zresztą w niczém wyjątku, zastrzeżonego w prawie handlowém, dla stosunków kupieckich, gdzie powaga zwyczaju jest pierwszorzędną. Pobudką decydującą, jak oświadczają wydawcy, była dla nich obawa, aby przy zachowaniu mocy prawa zwyczajowego nie została zagrożoną jednolitość kodeksu i wzmocnione różnice partykularne. Napomykają tu motywy o istniejących dotychczas „właściwościach plemiennych“ różnych części Niemiec skonfederowanych, o pewnéj „sprzeczności interesowanych“; oczywista, rozumowanie to jednostronne i mogłoby odrębnych członków Związku doprowadzić do wniosków wręcz przeciwnych. Prusy, które najmniéj posiadają tradycyi, najmniéj téż w téj sprawie mają do stracenia.

Inna ważna kwestya, już społeczno-politycznéj doniosłości, a nader drażliwa, dotyczyła t. zw. stosunków autonomicznych osobistych, pozostałości historycznéj szczególnego w Niemczech znaczenia. O ile prawo to autonomii dotyczy rodzin panujących, znajduje ono poniekąd uzasadnienie w naturze szczególnego stanowiska rządzących, i z tego téż względu jest powszechnie niemal przyjętém. Trudniejsza sprawa z t. zw. domami medyatyzowanemi, oraz dawną szlachtą rzeszy. Przez akt Ligi Reńskiéj (§ 28), a następnie przez akt związkokowy z r. 1815 (§ 14) pierwszym (książętom medyatyzowanym) zapewniono t. zw. *Ebenbürtigkeit* z domami panującemi, obiedwie zaś kategorye otrzymały cały szereg przywilejów specyalnych. Niektóre zniesiono z czasem: tak przy zaprowadzeniu powszechnego niemieckiego postępowania sądowego ograniczono (nie zniesiono) prawo odwołania się medyatyzowanych w materyach karnych do sądów parów (t. zw. *Austrägal-Instanz*); inne wyraźnie zachowano i potwierdzono, np. zwolnienie ze służby wojskowéj, z kwaterunku. Zostawiono wreszcie najważniejszy, wspólny obudwóch kategoryi przywiléj: wyłamanie z ogólnego prawa spadkowego przez dozwolenie fideikomisów rodowych. Urobiło się w Niemczech nie od dzisiejszéj daty przekonanie, że „wzmocnienie elementu arystokratycznego większéj własności ziemskiéj, stanowi naglącą potrzebę społeczną i polityczną dla Niemiec“ (Bluntschli). Pogląd ten, którego ani zmiana warunków, ani ogromna emigracya z Niemiec północnych, obfitujących w „rycerstwo“ i *latifundia*, zmienić nie zdołały, wypowiadają też projektodawcy, powołując się oraz na rzekome niebezpieczeństwo ekonomiczne pchnięcia majątków arystokratycznych na zwykłą drogę spadkową. Powołują się też na „interes publiczny,“ powiązany jakoby z zasadą „*Ebenbürtigkeit*,“ co chyba należy rozumiéć w sensie ułatwienia małżeństw panujących w granicach Niemiec. Wszystko to niekoniecznie przekonywa-

jące i stanowisko prawne medyatyzowanych i szlachty wyższéj w Niemczech pozostanie anomalią, gdy równocześnie mowy być nie może o zestawieniu zasług „panów“ niemieckich ze znaczeniem politycznêm dla kraju arystokracyi angielskiéj.

Nawał kwestyi niezmiernie ważnych a zawiłych nasuwały ustępy projektu „o osobach.“ Cały rozdział (§§ 41—63) poświęcony rozporządzeniom ogólnym, dotyczącym t. zw. osób prawnych. Rozgranicza tu projekt stowarzyszenia właściwe i fundacye (*Stiftungen*). Wątpliwości nie było, że obiedwie formy wymagają sankcyi państwowéj; podnosiło się atoli trudne do rozstrzygnięcia pytanie, czy sankcya ta ma być ogólną, opartą na uprzedniém ustanowieniu warunków koniecznych, wymaganych od danego rodzaju stowarzyszeń dla uzyskania przywilejów osoby prawnéj, czy téż ma być wykonywaną sposobem ustaw poszczególnych, każdorazowo do zatwierdzenia przedstawianych. Pierwszy sposób obecnie zarzucony wobec niepodobieństwa przewidzenia nieskończonéj ilości form korporacyjnych w życiu spółczesném, najmniéj zaś okazywał się stosownym dla projektu, który ze zwężonym znacznie obszarem zjawisk miał tu do czynienia. W istocie, po wyłączeniu stowarzyszeń handlowych, gospodarczych, górniczych, leśnych i wielu innych, urządzonych już przez specyalne prawodawstwo cesarstwa, miał projekt jedynie już na uwadze stowarzyszenia o naukowo-moralnym, polityczno-społecznym kierunku. Ten zaś rodzaj stowarzyszeń charakteryzuje niezmierna giętkość i rożnorodność form i dążeń, najłatwiéj się więc wyłamują z wszelkiego szematu ogólnego. Względem tych stowarzyszeń, nawet drugi sposób nadzoru państwowego, przez ścisłe zbadanie przedkładanych statutów, wydał się projektodawcom niewystarczającym i ryzykownym, gdy często „najniebezpieczniejsze korporacye najniewinniejszy mają wygląd, a obdarzenie zdolnością osoby prawnéj daje w ręce stowarzyszenia narzędzie nieobliczonéj potęgi. Tymczasem przepis ogólny o statutach, zniósłby dowolność administracyjną przy ich zatwierdzeniu i otworzyłby wszelkim stowarzyszeniom niechybną drogę ku pozyskaniu zdolności majątkowéj, jedynie przez ostrożną redakcyą statutów. Mieli tu przed sobą wydawcy dawniejszy projekt Schultze-Delitscha, trzykrotnie, a zawsze bez skutku, sejmowi przedłożony (1869, 71, 72 r.), gdzie właśnie przez uogólnienie systematu t. zw. ustaw osobistych dla stowarzyszeń o celach „idealnych“ (z wyłączeniem handlowych i wogóle zawartych dla zysku materyalnego), poczynione były liczne ułatwienia przy tworzeniu osób prawnych (statuta zatwierdzać miała zwyczajna instancya sądowa i t. p.). Nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności w materyi tak drażliwéj, woleli wydawcy ominąć raczéj trudność

i zdecydowali się pozostawić wszystko po dawnemu, zachowując nienaruszone przepisy partykularne (§§ 42, 43). Nawet w sprawie fundacyi, gdzie obawy powyższe w mniejszym zachodziły stopniu, powodowani rozumowaniem analogicznėm, również biernie zachowali się projektodawcy (§ 62); tym sposobem urządzili tylko wzajemną odpowiedzialność członków stowarzyszenia, obowiązki fundatora, porządek likwidacyi i t. p. Jestto jeden z nielicznych w projekcie wypadków, gdzie prawa autonomiczne państw związkowych nie uległy dążności ku centralizacyi prawodawczéj.—stało się to wprawdzie z pobudek polityki konserwatywnéj.

Prawo o osobach fizycznych i ściśle z niém powiązane urządzenie stosunków rodzinnych najgłębszy przedstawia interes społeczny. Utrzymany został w projekcie powszechnie dziś (za wyjątkiem Austryi) przyjęty okres pełnoletności przez dojście 21 lat wieku, ustanowiony dla Niemiec dopiéro w r. 1875. Do zawarcia małżeństwa przepisany został wiek 20-tu lat, przyczém dojrzałości małżeńskiéj nie przyśpiesza nawet wcześniejsze uznanie pełnoletnim (§ 1233); surowy ten przepis stanowi pozostałość dawnéj wyższéj granicy pełnoletności (24 lat) i jest wyrazem dążenia ku umocnieniu stosunków rodzinnych, a mianowicie władzy rodzicielskiéj. Stąd téż ani małżeństwo, ani urząd państwowy (jak dotychczas w Wirtembergu) nie usamowalnia małoletniego. Wogóle instytucya usamowolnienia pominięta; zastępuje ją uznanie pełnoletności (*Volljährigkeitserklärung*), po dojściu lat 18 dopuszczalne a nadające małoletniemu zupełną zdolność prawną. Zresztą cały ten ustęp projektu oparty na prawie o opiece z d. 5 lipca, 1875 r., które nawet w prowincyach nadreńskich zastąpiło odnośne przepisy kod. Napol. Natomiast przysposobienie o wiele zostało ułatwione, w porównaniu z prawem francuskiém, i otrzymuje w projekcie charakter czysto umowny i wystarcza tu akt notaryalny (§ 1616); wymagany dla przysposabiającego wiek lat 50 przez dyspensę państwową może być sprowadzony do pełnoletności zwyczajnéj; przepisana różnica wieku (przysposobiony młodszy o lat 18) również tą drogą może całkowicie być pominiętą (§§ 1603—1605); umowa pomiędzy przysposabiającym a potomkami przysposobionego znosi w zupełności skutki przysposobienia (§ 1629) i t. p. Podnieść tu należy, że prawo udzielania powyższéj dyspensy pozostawionėm zostało rządom państw związkowych.

Ubezwłasnowolnienie również znacznie zostało ułatwione: rozciągnięte i na osoby niepełnoletnie, bez bliższego zdefiniowania chorób umysłowych, stosowane w równéj mierze w wypadku marnotrawstwa, z pominięciem instytucyi doradcy sądowego. „Wobec gwarancyi, ja-

kie daje urządzenie postępowania przy ubezwłasnowolnieniu według nowéj procedury cywilnéj, możliwość nadużyć jest niemal wyłączoną“: tak niezbyt przekonywająco tłómaczą surowość projektu wydawcy. Zresztą marnotrawstwo stanowi również zasadę do separacyi majątkowéj małżonków (§ 1372), w pewnéj mierze do unicestwienia nawet legitymy marnotrawnych zstępnych (§ 2002).

Sposób i warunki wstąpienia w związki małżeńskie określone były przez prawo z 6 lut. 1875 r., które rozciągnęło na cesarstwo prawo pruskie z roku poprzedniego o małżeństwie cywilném. Projekt wnosi w téj sprawie liczne uzupełnienia i zmiany. Tak zezwolenie rodziców do zawarcia małżeństwa wymaganém jest, bez różnicy płci, aż do dojścia 25 lat skończonych, kiedy obecnie córka pod tym względem jest poniekąd uprzywilejowaną. Zakaz, wzbraniający kobiécie wstąpienie w powtórne związki małżeńskie przed upływem dziesięciu miesięcy od rozwiązania poprzedniego małżeństwa, uzupełniony zostaje przez sankcyą karną (do roku więzienia). Wypada tu wszakże zaznaczyć, że projekt w ogólności sprzyja wzmocnieniu stanowiska prawnego kobiéty. Jakoż §§ 1303—1309 zwalniają żonę od wymaganego zezwolenia męża za jego nieobecnością lub chorobą i umożebniają samodzielne prowadzenie handlu przez kobiétę zamężną. Według § 1640, kobiety mogą być powołane do opieki, według § 1917 mogą być świadkami testamentowymi, również władza rodzicielska matki, zostaje rozszerzoną, zwłaszcza względem dzieci naturalnych. Co do tych ostatnich, zachowaném zostało uprawnienie przez postanowienie władzy rządowéj, a nawet téj sprawie cały szereg przepisów poświęcony (§§ 1583—1600). Na uwagę zasługuje, że według projektu, prawo to przysługuje rządowi państwa, którego poddanym jest ojciec, nie zaś rządowi cesarskiemu. Nader szczegółowe przepisy określają obowiązek alimentarny członków rodziny, przyczém rozróżnia projekt (§ 1488) alimenta odpowiednie do stanowiska społecznego osoby wspieranéj (*standesgemäss*) i utrzymanie nieodzowne do życia (*nothdürftiger Unterhalt*). W téj ostatniéj formie obowiązek alimentarny ciąży również braci i siostry; w pierwszéj odnosi się tylko do krewnych w linii prostéj, oraz małżonka (§ 1280).

Zatrzymujemy się, a raczéj przerywamy w tém miejscu nasze sprawozdanie. Cztery księgi szczególne projektu, a zwłaszcza trzecia (którą uzupełni przygotowywana obecnie przez wydawców powszechna dla Niemiec ustawa hypoteczna) i piąta, zawierają nawał przepisów odstępujących od prawa obowiązującego w duchu bądź nowatorskim, bądź też zwracając się w kierunku narodowo-niemieckich pojęć prawnych (np. przy ustaleniu porządku spadkobrania w §§ 1966 nast., przyjęty

został za kodeksem austryackim, staroniemiecki podział na parentele, czyli linie potomstwa wstępnych, wbrew rzymsko-francuskiemu porządkowi pokrewieństwa). Wszakże do szczegółowego rozbioru i oceny wielkiéj reformy obcego prawodawstwa ani tu miejsce właściwe, ani sprawozdawca nie czuje się powołanym. Pragnęliśmy jedynie zwrócić uwagę na zjawisko wielkiéj doniosłości politycznéj, którego wpływ wewnętrzny na zjednoczenie Niemiec będzie pierwszorzędny, a które zewnętrznie ujawni się dotykalnie za pośrednictwem utraty inicyatywy międzynarodowéj w zakresie prawa cywilnego przez odrębne państwa związkowe Niemiec [1]). Zresztą niewątpliwie projekt niemiecki nie pozostanie bez wpływu na odbywającą się pracę kodyfikacyjną w Rosyi.

S. A.



[1]) Prof. uniw. w Bonn, Zittelmann, na odczycie niedawno wygłoszonym w wiedeńskiém Towarzystwie prawniczém, starał się dowieść, że można zastosować do Austryi omawiany projekt niemiecki kodeksu cywilnego, powołując się między innemi na istnienie jednego w obu państwach prawa wekslowego.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Cała tęcza afiszów mieniła się bezustannie w ciągu pierwszych dwóch miesięcy nowego roku, zapowiadając tą zmianą kolorów ożywiony ruch repertuaru, w którym ilość, niestety, nowości zastąpić musiała po większéj części jakość dostarczonego publiczności pokarmu.

Przeleciało to wszystko, jak piasek przez sito, — nic prawie nie utrzymało się dłużéj na pożytek sceny, któréj reżyserya złożyła dowód mechanicznéj ruchliwości, ale niezbyt fortunnego wyboru sztuk zakwalifikowanych do grania. Mieliśmy prawie same efemerydy, o których sprawozdawca po kilku tygodniach jedynie z obowiązku dokładności kronikarskiéj wspominać musi.

Nowy rok rozpoczęto kilkoma drobnostkami tłómaczonemi z francuskiego, pomiędzy któremi znalazła się nie wiedzieć po co dwuaktowa starzyzna dawno zwietrzałego repertuaru p. t. „Pierwsza wyprawa młodego Richelieu.“ Zrobiono jéj zaszczyt, którego nie jedna tragedya Szekspira wyczekuje u nas nadarmo: dano jéj wystawę świetną i kosztowną, sprawiono bogate kostiumy i dekoracye, wypełniono pierwszorzędnemi siłami obsadę, ale nie zdołano zakryć tym szychem pleśni wodewilu, wznowionego dla jednéj jedynéj roli, do któréj zabrakło niezastąpionéj—Bakałowiczowéj. Panna Wisnowska wskrzesiła tylko tradycyą gustownego kostiumu, jako młody ks. Richelieu, ale tradycyi świetnéj gry swéj poprzedniczki nie odżywiła. To zbytnie rozlubowanie się w zewnętrznych efektach i przemyślne szafowanie niemi nie jest godném inteligentnego talentu artystki, dla któréj wybór roli nie powinien się rozstrzygać rodzajem kostiumu, obliczonego na zmysłową wrażliwość widza, zwłaszcza kiedy się posiada szlachetniejsze środki podbijania go sobie dla celów sztuki.

Jednocześnie z „Pierwszą wyprawą“ weszła na scenę nowość świeższego pochodzenia, komedyjka Busnacha p. t. „*Chateau Yquem*,“

w któréj dosyć sprytnie i dowcipnie wyzyskane zostały skrupuły młodéj wdowy, obawiającéj się powtórnie wyjść za mąż za człowieka, któryby, broń Boże... chrapał w nocy; ponieważ się okazuje, że kandydat do stanu małżeńskiego, poddany skutecznéj próbie uśpienia za pomocą narkotyku, nie posiada téj wady, zaburzającéj spokój sypialnéj komnaty, dobrana para łączy się w oczach uśmiechniętéj publiczności i komedya skończona.

Napisane to swobodnie, lekko, na kolanie, ale ta cecha właśnie, która u naszych autorów najczęściéj bywa wadą, u francuskich komedyopisarzy stanowi zaletę trudną do naśladowania bez specyalnego w tym rodzaju talentu.

Trzecią przeflancowaną z paryskiéj sceny nowością było jednoaktowe *horrendum* w formie dramatycznego obrazka, skreślonego przez wszechstronną Sarę Bernhardt p. t. „Wyznanie.“ Aktorka spróbowała stworzyć dla siebie koncertowy popis, napisała sztukę, w któréj główną rolę kobiecą naszpikowała technicznemi trudnościami, przeładowała dramatycznością, przemoczyła łzami, poszarpała wybuchami namiętności, — napisała i sama zlękła się swego dzieła; nie grała we własnéj sztuce.

Naturalnie, zasadniczym motywem jest wiarołomstwo; młoda żona starego generała zdradza go z kuzynkiem doktorem. Owocem téj zdrady jest dziecko, które poczciwy generał uważa za swoje dopóty, dopóki przypadkowo z głośnéj modlitwy swéj małżonki przy kołysce chorego jedynaka nie dowiaduje się sromotnéj prawdy. Wtedy następuje rozpaczliwa spowiedź wiarołomnéj przy drzwiach zamkniętych, do których puka wezwany lekarz.

— Nazwisko, wymień mi nazwisko tego łotra! — woła z wściekłością zdradzony mąż, nie chcąc wpuścić doktora do zagrożonego śmiercią dziecka swéj żony.

Wtedy matka zwalcza skrupuły kobiéty i odpowiada:

— A więc otwórz drzwi swojemu rywalowi!...

Generał otwiéra, ale zanim się pomści swojego honoru, nie chce gubić niewinnéj ofiary i dopuszcza wpierw lekarza do kołyski, aby zbadał stan zagrożonego dziecka; potém dopiéro ma z nim rozprawę, któréj rezultatem ma być dobrowolna śmierć uwodziciela, ale w chwili, gdy młody lekarz ma dać to zadosyćuczynienie zdradzonemu mężowi, gdy już przykłada pistolet do skroni,—dziecko umiéra, a generał darowuje życie jego ojcu, bo „Bóg sam wdal się w rozwiązanie téj sprawy.“

Wszystkie efekta są tu jaskrawe, wszystkie sytuacye sztucznie ułożone i nastrojone umyślnie na najwyższy ale fałszywy ton drama-

tyczności; obrazek jest krzyczącém, dekoracyjném malowidłem, od którego oczy bolą widza.

Im lepszą bywa gra artystów w takiéj rzeczy, tém gorsze wrażenie pozostawia całość, bo tém więcéj drażni i tém silniéj targa nerwy publiczności. Panna Marczellówna i p. Ładnowski spełniali swe zadanie z prawdziwém poświęceniem.

Oryginalny repertuar powiększyły cztery nowości: bardzo zręczny, wesoły drobiazg sceniczny Michała Bałuckiego p. t. „Kuzynek,“ jednoaktowa komedya Fredry (syna) „Hypnotyzm,“ czteroaktowa Blizińskiego „Szach i mat“ i trzyaktowa farsa lwowskiéj spółki Abrahamowicza i Ruszkowskiego „Książę pan.“

„Kuzynek“ jest niby pryśnięciem doświadczonego pióra, scenką z komedyi, ale znać w niéj scenicznego majstra, który na fuszerkę nawet drobnostek nie robi. Jest tu mąż, żona i ten trzeci, potrzebny koniecznie do zawiązania małżeńskiéj intygi; tym trzecim jest właśnie kuzynek, zastawiający sidła na młodą mężateczkę z jednéj strony, a na męża jéj z drugiéj; jemu podsuwa po za domem cyrkówkę i dobrą, a zabronioną zabawę w gabinecie, jéj schadzkę w domu, jako początek romansiku. Na szczęście, przypadek przyjmuje rolę czwartéj osoby, która niweczy strategiczne plany kuzynka a męża przytrzymuje przy żonie, przekonywując go, że lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu, zwłaszcza jeżeli ta żona nie jest pospolitym wróbelkiem, ale bardzo miłą gołąbką, któréjby grzech był porzucać dla hecarki.

Nie brak w tém pieprzyku, którym Bałucki lubi zaprawiać dla smaku swoje sztuki, ale ten pieprz nie jest francuską asafetydą, psującą nerwy publiczności.

„Kuzynek,“ podobnie jak „O Józię“ i „Bilecik miłosny“ tegoż autora, wzbogacił repertuar oryginalnych jednoaktówek, którym częściéj należałoby przed francuskiemi dawać pierwszeństwo na afiszu, o ile, rozumie się, zasłużyły na to.

Firma Fredry (syna) ma swój wyrobiony kredyt na scenie, umieściwszy na niéj spory kapitał śmiechu w licznych komedyach i krotochwilach, które dotychczas bawiły szczerze publiczność; każda nowa sztuka tego autora, na którą w ostatnich czasach coraz dłużéj czekać nam dawał, zaciekawiała z góry i budziła nadzieję wesołéj chwili w teatrze.

Tak było i z „Hypnotyzmem,“. który tém więcéj obiecywał, że miał posłużyć Żółkowskiemu za popis w nowéj roli; ale, niestety, znakomity komik umarł z tą rolą w ręku i sztuka weszła na deski, pozbawiona, jak się okazało, najważniejszéj podpory w artyście, który jedynie mógł ją dłużéj w repertuarze utrzymać. Byłoby się stało to

samo, co miało miejsce z tyloma innemi utworami, zawdzięczającemi jedynie talentowi Żółkowskiego swój żywot ponad zasługę; nie rzecz sama, ale jéj podanie, nie cała sztuka, ale jedna rola, nie treść jéj, ale gra byłyby pociągały publiczność i zajmowały ją przez czas długi. Talent artysty byłby w tym wypadku wyręczył talent autora i zgotował mu mniéj zasłużone powodzenie. Żółkowskiego zabrakło i to stało się fatalnością nie dla jednego „Hypnotyzmu“ hr. Fredry...

Nie można powiedzieć, aby pomysł do téj ostatniéj komedyi autora „*Consilium facultatis*“ nie był dobrym materyałem, z którego dało się wysnuć dużo nawet wątku do zabawnéj krotochwili, o ile na tym gruncie pierwsza połowa sztuki się oparła. Mania hypnotyzerska ma pewną aktualność, jest śmieszną, gdy występuje w takim panu baronie, nie mającym najmniejszego pojęcia o faktach naukowo stwierdzonych i traktuje je, jako ciekawą zabawkę, dając się w swojéj łatwowierności łudzić pozorami i symulacyą. Można to dowcipnie wyzyskać, wyszydzić i ośmieszyć. Tak téż uczynił autor w pierwszéj połowie swéj sztuki i odniósł połowiczne zwycięstwo, ale w drugiéj wprowadziwszy objawy rzeczywistego hypnotyzmu, jako sprężynę akcyi i intrygi, przestroił nagle swą krotochwilę i przerwał samochcąc jéj swobodny bieg w pierwotnym kierunku.

Ten nagły zwrot zaszkodził całości i stworzył dwie połowy, gwałtem przypasowane, ale z natury swéj i charakteru nie przystające do siebie.

Dopóki główna figura sztuki, baron, jest maniakiem, zajętym do tego stopnia hypnotyzmem, że nie widzi umizgów przyjaciela swego hr. Orzelskiego do żony, dopóki daje się oszukiwać w rzekomych doświadczeniach magnetycznéj siły i wierzy, iż jego lokaj Pafnucy i pokojówka Zuzia usypiają na prawdę, jako *media*; dopóki hrabia, nie mający wyobrażenia o hypnotyzmie, odgrywa rolę hypnotyzera i bierze barona na fundusz, wmawiając nawet w niego samego, że jest uśpiony na jawie i musi podlegać jego woli, zalecać się do pokojówki i narażać na wynikające z tego kolizye,—dopóty jesteśmy na gruncie farsy i jéj czynnikami wywołany komizm nas bawi, rozśmiesza i utrzymuje w wesołém usposobieniu; ale z chwilą, gdy w połowie sztuki zjawia się młoda wdówka, pani Karolina Elmińska, a zauważywszy, co się święci w domu baronostwa, zaczyna ratować przyjaciółkę, i dla ośmieszenia hrabiego w oczach baronowéj usypia go na prawdę, każe mu w stanie zahypnotyzowania za pan brat przystawać z lokajem, ofiarowywać mu swą przyjaźń i t. d., z tą chwilą zachodzi w sztuce niefortunny zwrot, humor słabnie, dowcip nie działa, a komizm złamany niezręcznie, traci swą siłę. Autor każe nam bowiem brać nagle na seryo to samo, co

dotąd ośmieszał, każe po tych wszystkich symulacyach, aż do przesady doprowadzonych, wierzyć poważnie w uśpienie hrabiego i drugą połowę krotochwili zamienia w seans hypnotyzerski, na którym zrobione doświadczenie nabiéra naukowéj powagi i już może tylko objawami swemi więcéj zadziwiać, niż rozśmieszać i bawić.

Sztuka kończy się przebudzeniem prawdziwie uśpionego hrabiego, który swoje uczucia z baronowéj przenosi na młodą wdówkę, i przebudzeniem zahypnotyzowanego w swém przekonaniu jedynie barona, który po zalotach do Zuzi wraca skruszony i zawstydzony do swéj małżonki. To pomieszanie motywów fikcyjnych i rzeczywistych w ciągu akcyi zepsuło jednolitość jéj nastroju i wyszło na niekorzyść całości.

Z poważnych nabytków w repertuarze wymienić można tylko czteroaktową komedyą J. Blizińskiego „Szach i mat“; miała ona rozmaite zawady do usunięcia, zanim dostała się na scenę Rozmaitości, zagradzano jéj drogę za poprzedniéj dyrekcyi, zwracano do przeróbki autorowi, pozwolono na to, aby wpierw przeszła przez ogródkowe deski i całe lata trzymano ją w reżyserskiéj niewoli, aż na razie jako niezupełną nowość, wprowadzono do repertuaru w tym roku.

Nie jest to jedno z najlepszych dzieł autora „Rozbitków“ — to prawda, ale ma niezaprzeczoną racyą bytu na pierwszorzędnéj scenie polskiéj, która względem twórczości oryginalnéj powinna poczuwać się do poważnych obowiązków i dawać jéj pierwszeństwo przed wszystkiemi.

Pierwotnie komedya nosiła tytuł: „Karyerowicz“ i ten bodaj czy nie był odpowiedniejszym od drugiego: „Szach i mat“, bo odnosił się do główného figury w sztuce, kiedy owo szachowanie i zamatowanie w końcu odnosi się do akcyi, słabszéj od figur i wywoływanéj raczéj z góry powziętemi okolicznościami, aniżeli konsekwentną działalnością charakterów w grę wprowadzonych.

O tytuł mniejsza. Zasadniczy pomysł, jakkolwiek przypomina zdaleka „Testament Cezara Girodot“, nadawał się doskonale do komedyi typów i charakterów, o jaką widocznie Blizińskiemu chodziło. Rzecz cała obraca się około spadku bogatego krewniaka, do którego wszyscy roszczą pewne pretensye i mają nadzieję go zagarnąć. Ta tajemnica ostatniéj woli wytwarza od razu interesujący nastrój akcyi. Cały pierwszy akt, jako ekspozycya wyborny z tego względu; galerya figur wprowadzonych zręcznie, z gotową charakterystyką każdéj, choćby najmniejszéj, zdradza mistrzowską rękę komedyopisarza i obserwatora, który z samego życia dobywa swój materyał.

Sytuacya przedstawia się tak: pan Alfred Krzycki, polujący na

posażne panny, karyerowicz, dowiaduje się przypadkiem, iż główną spadkobierczynią jest panna Kazimiéra, córka zamożnego obywatela, o którą właśnie konkuruje; zachowując tajemnicę tylko dla własnego użytku, oświadcza się formalnie, zostaje przyjętym i już jako zdeklarowany narzeczony na zjeździe familijnym uczestniczy przy urzędowém otwarciu testamentu, pewny wygranéj.

Na ten zjazd przybywają państwo Truńscy, pretensyonalna żona z pantoflem mężem, pani Grdyńska poczciwa ale śmieszna parafianka z ukochanym jedynakiem Maciusiem, pan Byłkiewicz, biédny szlagon z trojgiem dzieci, z dorastającą córką, o któréj losie trzeba już myśléć poważnie, i stary wyga, ex-wojskowy, pan rejent, przedstawiciel prawa z ostatnią wolą testatora.

Doskonale zostały tu pochwycone i uwydatnione rozmaite stopnie chciwości i samolubstwa, podrażnionego nadzieją zagarnięcia całego spadku. Gorączka rozwiązania zagadki wzrasta z każdą chwilą, nareszcie rejent rozłamuje pieczęć i czyta testament nieboszczyka; tu pęka pierwsza bomba, bardzo zręcznie i efektownie wyrzucona w powietrze. Nieboszczyk cały majątek zapisuje swéj synowicy, ale pod warunkiem, żeby poślubiła jego wychowanka i administratora dóbr, Zenona Olickiego; w przeciwnym razie ten ostatni staje się generalnym spadkobiercą. Los spłatał sromotnego figla karyerowiczowi; Krzycki znał tylko połowę tajemnicy testamentowéj, wyłudzonéj od sprzedajnego dependenta, wiedział o schedzie, ale nie wiedział o dodanym do niéj warunku.

Jest to pierwsze zaszachowanie karyerowicza.

Zdawałoby się, że po takiém zawiązaniu sytuacyi, akcya splącze się i dostarczy nam coraz mocniéj interesujących momentów, że ten Krzycki wymyśli jakiś świetny i dowcipny ciąg, aby uniknąć mata, pomiesza szyki i partyą spróbuje wygrać w połowie. Gdzie tam!... to słaby szachista, to fuszer, który od pierwszego zaszachowania traci głowę i ten gambit, zapowiadający się tak zajmująco, obstawiony tak dobremi figurami, rozwiązuje się ciężko, pospolicie, bez efektu. Krzycki jest do tego tchórzem, obawiającym się wszelkiego ryzyka, nie przewidującym najbliższych kombinacyi i haniebnie daje się zamatować, sam pomagając do własnéj przegranéj. Wyrzeka się pod naciskiem Zenona pierwszéj narzeczonéj, lawirując około niedorosłéj córki Byłkiewicza, która ma nadzieję dostać choć część spadku z łaski Olickiego; ale i od téj odsadza go pocieszny, lecz energiczny Maciuś, grożąc mu pojedynkiem, gdyby się nie usunął dobrowolnie.

Odpędzony, jak kot od sadła, marny karyerowicz zostaje pobity na głowę. Zenon żeni się z Kazią, połowę majątku odstępując ubož-

széj linii krewnych, pod warunkiem, że Maciuś pobierze się z Byłkiewiczówną i komedya skończona.

Widz, pomimo tego, iż z uwagą i zajęciem słuchał, a raczéj przypatrywał się sztuce, czuje jakiś brak, jakąś niezapełnioną w niéj lukę i spostrzega się dopiéro w końcu, że téj komedyi zabrakło bohatera, że ta główna belka w całém rusztowaniu była za wątłą, a w dodatku spróchniałą; miałby ochotę wytuzować tego niedołęgę Krzyckiego, który nie dorósł do swojéj roli, a nie umiał być nawet dobrym karyerowiczem i zepsuł taką świetną sposobność popisania się, pogmatwania przynajmniéj zbyt prostych kombinacyi w partyi, z góry skazanéj na przegranie. Niechby się chociaż energiczniéj bronił i wymykał, niechby się nie dał szachować i matować samemi pionkami!... Ba, gdyby to było możliwém, byłby partyą przegrał z woli autora na scenie, ale byłby ją stanowczo wygrał na korzyść Blizińskiego wobec publiczności; tylko do tego potrzeba mu było trochę więcéj przewrotności i sprytu, trochę więcéj ujemnych rysów, a tych nie umiał mu nadać autor. Jest to charakterystyczném znamieniem talentu i obserwacyi Blizińskiego, że o wiele lepiéj udają mu się dodatnie typy na scenie, głębiéj umié je przenikać, plastyczniéj odtwarzać i subtelniéj wycieniowywać aniżeli ujemne, które wychodzą zawsze blado, połowicznie, jakby nieśmiało kopiowane inną ręką z téj saméj natury.

Autor w swym poczciwym optymizmie zdaje się sam nie wierzyć w złych i skąpi ciemnych barw, jakby się bał pokrzywdzić niemi bliźniego swego na scenie; jest on jednym z tych pisarzy, którzy kochają ludzi, mimo to, że ich znają dobrze, ze wszystkiemi ułomnościami, śmiesznościami i wadami charakteru. Nie znaczy to, aby różowo patrzał na świat i łudził się pozorami; przeciwnie, mało który z naszych komedyopisarzy tak trzeźwo i bezstronnie patrzy i tak jasno widzi, jak Bliziński, tylko on do tego świata nie ma ani uprzedzeń, ani żalu; wszystko złe, które w nim spotyka okiem obserwatora, zasmuca go więcéj, niż goryczą i żółcią napawa. Stąd płynie zawsze ciepło z jego utworów, które zjednywa jemu serca a sympatyą widzów dla wyprowadzonych na scenę postaci.

„Szach i mat“ grano z wielką starannością i dobrą charakterystyką wszystkich figur, zwłaszcza na dalszych przedstawieniach; najwybitniéj wyróżnili się pp. Ostrowski (Byłkiewicz), Rapacki (Rejent); Wolski (Maciuś) i p. Borkowska (Grdyńska).

Komedyą trzyaktową nazwali pp. Abrahamowicz i Ruszkowski swą farsę p. t. „Książę pan“, nadużywając téj poważnéj nazwy dla sztuki, która na to żadną miarą nie zasługuje; wogóle, znając naturę talentów téj wyjątkowo szczęśliwéj spółki literackiéj u nas, wątpić

można, czy autorowie „Męża z grzeczności“ zdobędą się kiedykolwiek na napisanie rzeczywistéj komedyi. Byłoby to trudnością nie tyle nad ich siły, ile nad ich gusta i skłonności. Głównym, rzec można, jedynym celem ich twórczości wspólnéj jest śmiéch, a środkiem do tego wesoły humor, z którego rodzą się pomysły, tematy, sytuacye i ludzie z nieodzownym warunkiem, aby byli śmieszni za jakąkolwiek cenę; bierze się ich prawie zawsze z głowy, nie z życia, urobionych właściwie, przykrojonych na użytek farsy, komicznych tym *ad hoc* nakazanym komizmem, który musi się nadać do zabawnego konceptu, choćby nie stał w żadnéj konsekwencyi z naturą danego osobnika w sztuce.

Któryś z francuskich krytyków powiedział, że farsa ma większe przywileje od wszystkich rodzajów dramatycznéj twórczości, ale jeżeli nie chce być wygwizdaną w teatrze, musi dbać o jeden warunek: „o logikę nonsensu“, narzuconego w imię konwencyonalnéj ugody między sceną a publicznością.

Otóż téj „logiki nonsensu“, którą posiadają najbardziéj typowe i najśmielsze w pomysłach farsy francuskie, nie posiadają zawsze, w równym przynajmniéj stopniu, utwory krotochwilne pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego, którzy nie panują nad swemi pomysłami dostatecznie, ale najczęściéj dają się sami porywać własnym konceptom. A szkoda, bo przy tym niezaprzeczonym nerwie scenicznym, który jest im wspólny, przy łatwości manewrowania jasełkami krotochwili, przy wesołym humorze i często prawdziwie dowcipnych pomysłach, mogliby z większym i trwalszym pożytkiem pracować u nas dla rodzaju mającego wielu zwolenników śród publiczności, która w teatrze szuka wesołéj rozrywki i zdrowego śmiechu.

„Książę pan“ w zasadniczym motywie schodzi się z „Ciężkiemi czasami“ Bałuckiego, tylko gdy krakowski satyryk wyzyskał swój pomysł na tle prawie komedyi społecznéj, lwowscy humoryści zużyli go na gruncie karykatury i farsy, bez wszelkich tendencyjnych aspiracyi.

Tak samo tu, jak tam, akcya wiruje około jaśnie oświeconéj osoby „Księcia pana“, którego jacyś z pod ciemnéj gwiazdy państwo Sałatowscy, poznawszy w Ostendzie, gdzie ich niepotrzebnie licho galicyjskie zaniosło, ściągają do siebie na wieś i próbują złowić na zięcia. Książę, golec, pieczeniarz, idyota, dałby się złapać z przyjemnością, tylko przeszkadza mu matrymonialna konkurencya, jaką Sałatowskim robią sąsiedzi Woszowscy mający również córkę na zbyciu i apetyt na mitrę książęcą. Przychodzi im to odbicie kandydata tém łatwiéj, że papa Sałatowski, zniecierpliwiony kosztownemi zabiegami i gośćmi, którzy mu dom w istną oberżę zamienili, postanawia pozbyć się wszystkich choćby razem z księciem panem i wymyśla oryginalny fortel:

każe się młodemu sąsiadowi, Gąsiorowskiemu, zasekwestrować z tytułu małéj wierzytelności, którą mu jest dłużny. Widmo komornika wystraszyć ma darmozjadów z domu Sałatowskich i wystrasza rzeczywiście, ale Woszowscy, korzystając z okazyi, wykradają księcia i uwożą do siebie, aby go tam jako dostojnego niewolnika urobić na męża, dla swojéj córki, w któréj wszelako kocha się sąsiad Gąsiorowski uproszony, sekwestrator Sałatowskich! Książę, zwąchawszy pismo nosem i widząc, że się nie sprzeda na zięcia ani tu, ani tam, ucieka, pozostawiając Gąsiorowskiemu miejsce wolne przy pannie.

Dla większego pogmatwania sytuacyi autorowie wprowadzili małe *qui pro qui*, bez którego farsie trudno się obejść, wmówili w Sałatowskich, że Gąsiorowski kocha się w ich córce, nie w córce Woszowskich, skutkiem czego drugi akt zyskał na krętaninie i nieporozumieniach, które dla publiczności są zupełnie jasne a tém samém nie dosyć zajmujące. Możnaby było na tym drugim akcie sztukę zakończyć, ale komedya (?) nie byłaby trzyaktową, więc dodano jéj akt trzeci, mający fatalność wszystkich prawie ostatnich aktów, że nie dotrzymuje tego, co pierwszy obiecywał i słabszym jest od poprzednich.

Właściwsze miejsce dla „Księcia pana“ byłoby na scenie Teatru Małego nie na deskach Rozmaitości, byłby się tam znalazł w odpowiedniejszéj dla siebie atmosferze, w atmosferze farsy i operetki, których berła złączyły się obecnie w reżyserskich rękach p. Śliwińskiego. Ta centralizacya godności i władzy, po ustąpieniu pp. Grubińskiego i Morozowicza, będzie eksperymentem dość ryzykownym, a w każdym razie na jedne siły podwójnego reżysera i pierwszego amanta małéj sceny— odpowiedzialnością zbyt uciążliwą, tém bardziéj, że p. Śliwiński, sprytny i obrotny kierownik lekkiéj komedyi, na kierownika operetki nie posiada najpierwszego warunku — nie jest wcale muzykalnym; skoro wszelako podjął się tych obowiązków, musi w poczuciu swojéj kompetencyi być bardzo umocnionym, — czy słusznie, to się dopiéro pokaże. Tymczasem, jako reżyser komedyi na małéj scenie stara się być ruchliwym, zna swoję publiczność i umié jéj dogadzać. Wystawił w tym roku dwie większe farsy, „Nerwy“ i „Żonę papy“, które okazały się szczęśliwym i trafnym nabytkiem dla repertuaru i kasy Teatru Małego; powiększył szereg jednoaktówek bardzo wdzięczną bluetką z niemieckiego p. t. „W cztéry oczy“, któréj mógłby mu w wyborze p. Tatarkiewicz pozazdrościć, i postarał się o oryginalną drobnostkę na czasie, wyzyskującą dosyć dowcipnie i z pisarską wprawą temat minionéj „Influenzy“.

Jeżeli do powyższych nowości dodamy wznowienie „Snu letniéj nocy“, „Pozytywnych“, „Przed ślubem“, „Barkaroli“ i „Anny Kerviller“, musimy przyznać, iż repertuar obu scen odznaczał się w początku bieżącego roku szczególniejszą ruchliwością i urozmaiceniem, godném uznania.

W personelu komedyi i dramatu na scenie Rozmaitości przybyła nowa siła w p. Frenkielu Mieczysławie, byłym uczniu szkoły dramatycznéj p. Derynga, artyście sceny krakowskiéj z czasów, gdy kierował nią niepospolity szlifierz młodych talentów, Stanisław Koźmian, i sceny lwowskiéj, na któréj zajmował stanowisko cenionego i ulubionego komika. W grze p. Frenkiela znać przedewszystkiém dobrą szkołę i artystyczną miarę, która strzeże go od przesady i nienaturalności; zewnętrzne warunki posiada nader szczęśliwe, odpowiednią powierzchność, ruchliwą fizyonomię, głos podatny do modulacyi, widać, że pracuje sumiennie, obmyśla dobrze swą rolę, chwyta naturę typów odtwarzanych głębiéj i ma niezaprzeczony talent do ról charakterystycznych.

Komizm jego jest w dobrym guście, ale w humorze przydałoby się więcéj temperamentu i tych gorętszych błysków, które rozgrzewają grę artysty zarówno jak i usposobienie publiczności. P. Frenkiel trzyma się złotego środka, unika krańcowości, nie podkreśla, nie naciska, ale nie rozwija całéj siły swego komizmu; wydaje się zawsze, jakby zachowywał pewną rezerwę i nie dopowiadał wszystkiego, coby mogło podnieść efekt jego gry. Być może, że są to skutki zrozumiałego onieśmielenia artysty, któremu przypadło bezpośrednio stanąć na scenie, na któréj królował jeden z największych talentów aktorskich naszego wieku, a po którym pozostała tradycya genialnego komizmu, nastręczająca nieustanne porównania.

Żółkowski jest i pozostanie, aż do ukazania się nowego fenomenu w dziedzinie dramatycznéj sztuki, niezastąpionym wyjątkiem; niepodobna wymagać, aby go zastąpił p. Frenkiel, czy ktokolwiek z nowego pokolenia artystów, niepodobna téj saméj miary przykładać do talentu i do gry z konieczności niższéj, ale względnie do potrzeb sceny oceniać pożytek, jaki nowa siła dać może.

A z tego punktu widzenia p. Frenkiel wydaje się nabytkiem nader korzystnym w personelu męskim komedyi, byle nie przeceniano jego zadań i nie stawiano mu zbyt wygórowanych wymogów.

Na zakończenie zanotować wypada wysoce interesujący debiut młodéj aspirantki do sceny p. Heleny Zimajerówny, która jako Marta de Moisand w „Myszce“ Paillerona sprawiła prawdziwą niespo-

dziankę publiczności i krytyce; natura artystyczna, choć przy odmiennéj indywidualności i odmiennym rodzaju talentu, odziedziczona po matce, kwalifikuje pannę Z. stanowczo do zawodu dramatycznego, a scena warszawska, nie uboga wprawdzie w talenta kobiéce, powinna jednak liczyć się z przyszłością i wykształcać dla siebie zastęp świéżych sił, któreby nosiły w sobie najważniejszy czynnik rozwoju przy wrodzonych zdolnościach: młodość i szczery, nie przygaszony jeszcze zapał do sztuki.

M. Gawalewicz.





WSPOMNIENIE
O OTTONIE HAUSNERZE.

Z szczupłego szeregu wybitnych postaci, widocznych na arenie życia publicznego w Galicyi, ubyła świéżo postać, któréj miejsce długo pozostanie opróżnioném. Ze śmiercią Ottona Hausnera zabrakło tam człowieka, wyjątkowo wyposażonego zaletami charakteru i umysłu, stwarzającemi słynnych w dziejach parlamentaryzmu bojowników, a umiejącego używać tych darów wówczas tylko, gdy silne przekonanie i wiara w słuszność sprawy, któréj bronił, wiodły go do walki.

Niejeden z głośnych w Europie mężów stanu mógłby pozazdrościć zmarłemu rzadkiego doboru przymiotów, łączących się w nim harmonijnie i usposabiających go do zabłyśnięcia na tém polu, na którém daném mu było działać. Wyrobione zdanie, oparte na gorącém uczuciu, wszechstronnéj wiedzy i niezachwianych zasadach etycznych, szło u niego w parze z niezwykłą obywatelską odwagą, która, wśród trudnych warunków, dawała mu dosyć siły do stawienia czoła przeciwnikom. Wielka znajomość serc ludzkich, połączona z niewzruszoną wiarą, iż występuje w obronie sprawiedliwości, dawała mu możność nietylko przedstawienia każdéj sprawy w sposób ponętny dla estetycznego poczucia słuchaczów, lecz zarazem oświetlenia tych właśnie jéj stron, które nęciły ku niéj wahających się jeszcze, a wzbudzały dla niéj sympatye w oziębłych. Hausner umiał mówić tak, iż nieraz przeciwnicy jego stronnictwa, ulegając urokowi téj niepospolitéj wymowy, pod wpływem słów jego żałowali chwilowo, że stanowisko polityczne nie pozwala im walczyć w obronie przekonań, w których on czerpał tyle krasomówczéj siły i tyle szlachetnego zapału. Te przemijające porywy uniesienia w nieprzyjacielskim obozie, należą niezawodnie do najrzadszych w życiu parlamentarném objawów.

Jeżeli Otton Hausner słynął w szerokich kołach jako mówca, nie wielu liczący współzawodników, jeżeli mimo licznych rysów wyróżniających tę szlachetną postać, w pamięci społeczeństwa żyć będzie głównie pamięć o jego krasomówczym talencie, to złożyła się na to obok wewnętrznéj wartości jego mów, niezwykle piękna zewnętrzna ich szata. Krewki temperament, który go unosił w miarę, jak nowe myśli cisnęły się z pod wyniosłego czoła, ożywiał salę obrad, a zapał mówcy udzielał się zwolna słuchaczom. Błyski prawdziwéj intuicyi oratorskiéj nasuwały mu co chwila w ciągu mowy niespodziewaną odpowiedź na argumenta strony przeciwnéj; otaczające go grono czuło, że arcydzieło krasomówcze powstaje dopiéro w umyśle mówiącego. Wrodzone poczucie piękna nie opuszczało go przytém nigdy i dozwalało mu zawsze zamknąć natłok coraz świéższych pomysłów w ramach artystycznéj całości, a niezwykła znajomość języka, którym musiał przemawiać do obcego otoczenia, sprawiała, że każde jego przemówienie, o ile zapowiedziane było naprzód, wabiło na galeryą parlamentu licznych słuchaczy, których nieraz wiodły tam nie polityczne pobudki, lecz chęć usłyszenia jednego z mistrzów wymowy.

Charakterystycznym rysem w życiu Hausnera było to nagłe zabłyśnięcie niepospolitych darów przyrody w człowieku, który poprzednio jakkolwiek znany i ceniony przez bliższe otoczenie, nie zajmował pierwszorzędnego stanowiska między rówiennikami i dopiéro gdy szron przypruszył mu skronie, sięgnął śmiałą ręką po wawrzyny. Przebiegając myślą młode jego lata, widzimy ciągłe wahanie się w wyborze zawodu, przerzucanie się z jednego w drugi. Możnaby mniemać, że niepokój trapiący wówczas młodzieńca i zniewalający go do szukania coraz nowych dróg, ucichnął dopiéro wówczas, gdy dojrzały mąż znalazł nareszcie właściwe dla siebie pole, na którém śmierć przedwczesna go zastała.

Młode lata zmarłego upłynęły w smutnéj i ponuréj dobie. Kraj, w którym ujrzał światło dzienne, wydany na pastwę germanizacyi, zalany tłumem przybyszów, obławiających się kosztem społeczeństwa, żył dogasającém życiem, które tliło na dnie pod powłoką niemczyzny, i zrzadka bladym wydobywało się na wierzch płomykiem. Tém butniéj rozpościérały się na wyżynach: hulaszczość, ciemnota i samolubstwo, opancerzone niespożytą zbroją przesądów. Takiém było społeczeństwo, w które wstępował młodzieniec obcego pochodzenia, obce noszący nazwisko, którego dzieciństwo zbiegło w rodzinném mieście, w Brodach, silnéj warowni germanizmu, i w którego umyśle jedynie szlachetne zasady wszczepiane przez kochającą kraj matkę, równoważyły wpływ otoczenia, obcego społeczeństwu i krajowi. Znaczny ma-

jątek i wielkie towarzyskie zalety wiodły go po dojściu do lat młodzieńczych w wesoły, lekki, bezmyślny i próżniaczy świat salonów lwowskich. Wskrzeszając przed oczyma wyobraźni wrażenia, któremi przyszły polityk poił się wówczas, mimowoli zadać sobie trzeba pytanie, jakie pobudki wyrwały go z otoczenia cudzoziemców, którzy piastując godności i urzędy, mogli mu świetną zapewnić karyerę, jakie względy nie dały mu utonąć w świecie bezmyślnego użycia, i jakie uczucia nęciły go do kół, w których przechowywało się inne życie, nie stłumione jeszcze doszczętnie niemieckim zalewem? Wiodły go tam te same zasady, które tkwiąc silnie w duszy młodzieńczéj, nie opuściły go do śmierci. Wiodła go nienawiść do ucisku germańskiego. W owych kołach zasiłał on się ożywczém tchnieniem życia umysłowego, które przedzierało się zwolna od zagranicznych ognisk oświaty. Tam stałiły się przekonania późniejszego męża stanu, mającego w tyle lat późniéj wybuchnąć wyrazem oburzenia na widok krwawego pochodu wojsk austryackich wgłąb bośniackiéj krainy, lub téż skrystalizować się w uczoną rozprawę o moralnym stanie narodu niemieckiego, opierającego swą świetność na potędze bagnetów.

I w latach męskich nie przestał Hausner szukać nowych dróg dla rozwinięcia zdolności, które dotychczas podziwiali tylko najbliżsi. Osiadłszy po ożenieniu na wsi, przekonał się wkrótce, że rolnictwo nie jest właściwém jego przeznaczeniem. To téż zajęcia gospodarskie przerywa mu praca naukowa. Owocem jéj było większe dzieło z dziedziny statystyki wydane w języku niemieckim i ogłoszona po angielsku praca chronologiczna, zawierająca spis wszystkich bitew w dziejach ludzkości. Piérwsza z tych prac, przynosząca zaszczyt rolnikowi, który umiał znaleść wolną chwilę dla poważnych studyów, znalazła życzliwą ocenę piór fachowych.

Silne wstrząśnienia, jakim monarchia austryacko-węgierska uległa podczas okupacyi dwóch prowincyi tureckich, wyrwały Hausnera z nawpół bezczynnego życia i pchnęły go na drogę do mównicy parlamentarnéj nad Dunajem. Polityka Andrassego, na razie zagadkowa i tajemnicza, a przytém wymagająca ciężkich ofiar pieniężnych i chojnéj daniny krwi, wywołała silną opozycyą. Większość rady państwa, złożona wówczas z niemieckich centralistów, była jéj zasadniczo przeciwna. Na Węgrzech natrafiała ona również na silny opór. W Galicyi zdania były podzielone. Większość koła polskiego w radzie państwa, nie żywiąc na dnie duszy wielkich dla ministra sympatyi, popierała go w przewidywaniu, iż wzmocni przez to swe stanowisko w sprawach wewnętrznych. Mniejszość pragnęła połączenia się z opozycyą.

Rozterki panujące w gronie posłów przeniosły się z Wiednia do kraju. Obie strony starały się o pozyskanie umysłów, o każde opróżnione miejsce w parlamencie toczyła się zawzięta walka. Wówczas to obywatelstwo okręgu samborskiego, popierające gorliwie sprawę mniejszości, wysłało do Wiednia, jako swego posła, Ottona Hausnera.

Zasadnicze różnice między opinią koła polskiego a szczupłém gronem żarliwych przeciwników polityki zaborczéj, zakończyły się głośną w swoim czasie secesyą, a podczas gdy posłowie galicyjscy wiedli tę wojnę domową, hr. Andrassy krok po kroku zbliżał się do celu. Dzięki zawikłanemu mechanizmowi konstytucyi austryackiéj, uzyskał on poparcie delegacyi wspólnych, mimo oporu w parlamentach. Kongres berliński spełnił przeważną część jego życzeń. Kampania bośniacka i zdobycie Serajewa były uwieńczeniem dzieła. Zdawało się, że cała opozycya mniejszości koła polskiego przebrzmi bez echa; o trzech secesyonistach zapomniano niemal zupełnie w szerszych kołach politycznych.

Takie było położenie, gdy w listopadzie 1878 r. posłowie niemieccy wnieśli w radzie państwa projekt adresu, zawierającego surową naganę dla ninistra spraw zagranicznych. Adres, popierany przez całą prawie lewicę, miał zapewnioną większość; wnioskodawcy nie umieli się jednak zdobyć na dostateczny zasób przekonywających argumentów. Krępował ich wzgląd na dynastyą, krępowało ich przekonanie, że myśl o rozszerzeniu granic państwa była ulubionem marzeniem monarchy. Brak odwagi osłabiał ich wywody, gdy nagle na krawędzi ław polskich podniosła się postać nieznanego dotychczas mówcy. Wśród ogólnego zaciekawienia zaczął mówić Otton Hausner.

Trudno dobrać wyrazów dla opisania entuzyazmu, wywołanego tą mową. Zwolennicy adresu usłyszeli z ust jego to, czego sami wypowiedzieć nie śmieli. Członkowie koła polskiego, podzielający jego poglądy, a węzłami karności klubowéj przykuci do polityki rządu, nie szczędzili mu cichych objawów uznania. Nazwisko Hausnera obiegło w ciągu kilku dni wszystkie zakątki kontynentu. Powodzenie było zupełne.

Oznaki uwielbienia, które mówca odbierał z różnych stron kraju, nie zmieniły w niczém nienaturalnego położenia, w jakiém pozostawał względem posłów z téj saméj prowincyi, z którymi mimo wszelkich różnic, więcéj łączyło go skrytych ogniw, niż z centralistyczną lewicą. W parę miesięcy po pierwszéj, wygłosił Hausner drugą mowę w któréj nie potrafił uniknąć polemiki z członkami koła polskiego. Niezadowolenie wywołane tą mową, nawet w gronie bliskich jego przyjaciół, prze-

konało go, że na stanowisku, które zajął, nie może pozostawać przez całe lata.

Zmiana stosunków wewnętrznych w Austryi, ułatwiła mu powrót do koła polskiego. Gabinet ks. Auersperga uległ w ciągu kilku miesięcy zupełnemu przeobrażeniu. Hr. Taafe, który wszedł do niego zrazu jako minister spraw wewnętrznych, stanął wkrótce na czele rządu. Wybory do rady państwa zmieniły zupełnie stosunek między stronnictwami i zapewniły większość autonomistom. Sprawa okupacyi Bośnii należała już niemal do historyi; hr. Andrassy dokonawszy dzieła, ustąpił miejsca p. Haymerlemu. Wszystkie te zmiany sprawiły, iż Hausner w następnéj sesyi zaciągnął się znowu w szeregi członków koła polskiego, gdzie liczni wielbiciele jego talentu powitali go z zapałem.

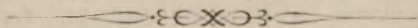
Odtąd był on prawdziwą chlubą i podporą stronnictwa autonomistów. Niezrównanemi były jego mowy podczas rozpraw budżetowych. Umiejąc zawsze wznieść się na wyższe stanowisko, umiejąc poruszyć w słuchaczach ogólno ludzkie uczucia, karcił on bez litości plemienny egoizm i zaborcze instynkta, cechujące partyą centralistów austryackich, przeciwstawiając tym poziomym motywom etyczną wartość stronnictw, zdobywających prawa i swobody dla szczepów słowiańskich, zamieszkałych w granicach Austryi.

Z owéj epoki jego życia, pochodzą dwie drobne prace naukowo-literackie. Jedna z nich jest szkicem do niewygłoszonego nigdy odczytu o nędzy ludzkiéj; w drugiéj rozwinął swe poglądy na wewnętrzne stosunki Niemiec w dobie współczesnego cezaryzmu.

Choroba i ciężkie ciosy rodzinne, zatruwały Hausnerowi ostatnie lata. Pociechą było mu zamiłowanie w sztuce, którą kochał prawdziwie. Większą pracę z dziedziny krytyki artystycznéj wydał przed dziesięciu laty w języku francuskim; mniejsze ogłaszał od czasu do czasu w pismach galicyjskich.

Koło posłów polskich traci w zmarłym nietylko znakomitego mówcę, nietylko człowieka nieposzlakowanego charakteru, traci ono w nim coś więcéj. Ze śmiercią Hausnera ubywa posłom polskim towarzysz, którego idealne poglądy na świat i ludzkość, rzucały pewien odblask na całe to grono; ubywa rycerz dobréj sprawy, którego czcili i szanowali nietylko swoi, lecz i postronni.

T. Smarzewski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych“ Leona Paszkowskiego. T. I, str. 437 in 8-vo. Wiedeń, 1889.

Przed kilku miesiącami wyszło w Wiedniu o kolejach żelaznych dzieło, którego może nam pozazdrościć literatura niemiecka, wypełniająca wciąż wszelkie możliwe luki działów naukowych. Tym razem chyba tylko dzieło Sachsa przedstawia cóś analogicznego dziełu p. Leona Paszkowskiego „Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych w związku z rozwojem ekonomicznym“. Ma ono tę niezaprzeczoną wyższość, że powstało z najnowszych danych statystycznych całego świata, które w ostatnich leciech zmieniły się tak znacznie.

Książkę tę uważać należy za jeden z dodatnich objawów, dowodzących przebudzenia się naszego z apatyi ekonomicznéj. Autor przedewszystkiém ma na widoku Galicyą, krainę ze wszystkich europejskich najbardziéj oddaloną od morza, téj głównéj tętnicy komunikacyjnéj i tworzącą sobie obecnie drogi handlowe w poprzek naturalnego biegu rzek. Rzut oka na mapę poucza, że dla Galicyi chyba najżywotniejszą z żywotnych jest kwestya komunikacyi, zwłaszcza kolejowych.

Aby sobie utworzyć sąd w obecnych czasach o ogromnych przemianach w stosunkach ekonomicznych, aby ocenić trafnie stan ekonomiczny jakiegobądź kraju, należy bezwarunkowo używać częstych porównań z analogicznemi stosunkami gdzieindziéj. Wtedy tylko ma się właściwą miarą porównawczą postępu lub zacofania; to ostatnie istnieje już wtedy, kiedy inne kraje szybciéj postąpiły. Ponieważ zaś stanowimy cząstkę świata cywilizowanego, nasz rozwój ekonomiczny, a szczególniéj kolejowy (np. w Galicyi) winien być dla trafnéj oceny po-

równywany nietylko z takimże rozwojem innych części państwa, w którego skład wchodzimy, lecz samegoż państwa odnośne stosunki winny być zestawione z podobnemiż stosunkami, gdziebądź one istnieją w świecie. Wobec pary i elektryczności, wszystko niemal sąsiaduje i jedno z drugiém powiązane jest ekonomicznie. Porównawczych zestawień wielce ciekawych jest téż bez liku w omawianéj obecnie książce p. Paszkowskiego. Najszczegółowiéj rozpatrywane są stosunki kolejowe i ekonomiczne w Austryi, Węgrzech i Niemczech. Ten ostatni kraj uchodzi za wzór pod każdym względem, tak dla doskonałości wszelkich urządzeń, jak dla znakomicie prowadzonéj o nich statystyki urzędowéj, oraz sąsiedztwa i analogicznych stosunków z austryacko-węgierskiemi. Galicya wciąż jest najszczegółowiéj omawianą w każdym kierunku kolejowym i ekonomicznym.

Rozdział I-szy zawiéra porównanie między olbrzymim rozwojem ekonomicznym świata w ostatnich czasach, a również potężnym kolei żelaznych, o ile sięga statystyka. Z interesujących zestawień widać, jak silnie te dwa czynniki wpływają jeden na drugi, i jak téż opada stopa procentowa w miarę rozwoju ekonomicznego. (Autor bierze w tym razie za miarę kursa rent państwowych).

Rozdział II-gi zajmuje się szczegółowiéj Austryą, Węgrami, a najszczegółowiéj Galicyą. Postęp ekonomiczny i rozwój dróg żelaznych od 1867 r. omawiane są w związku z podniesieniem się produkcyi, wywozu i przywozu, wzrostu siły podatkowéj, kredytu, kapitałów i t. d. W tym obrazie zadziwiają ogromne postępy Węgier, znacznie mniejsza stosunkowo pomyślność ekonomiczna Austryi, a najmniejsza niestety Galicyi. Jaśnieją w nim skutki mądréj polityki węgierskiéj, przypominającéj wielką akcyą ekonomiczną podjętą kiedyś u nas przez Mostowskich i Lubeckich. Szczególniéj zasługuje tu na uwagę ustawa 44-ta węgierska z 1881 r. Wedle niéj, każda powstająca fabryka, która wytwarza nie produkowane dotąd w Węgrzech wyroby, oraz każdy zakład przemysłowy zaprowadzający (określone prawem w 49 punktach wszelkie możliwe) postępy techniczne, uwolnione są na lat 15, t. j. do 1895 r., od wszelkich podatków, dodatków do podatku, stempli i t. p. Obecnie przedłożył rząd węgierski nowelę do téj ustawy, idącą jeszcze daléj. Prawodawstwo takie jaskrawo się przedstawia obok austryackiego, tak utrudniającego, zwłaszcza w Galicyi, wszelkie początki przemysłu. Dzienniki wiedeńskie, omawiające tę nowelę, wspominały o niéj jakby o rzeczy zupełnie nowéj, tak jakby nie było już bardzo widocznych skutków ustawy z 1881 r. i jak gdyby przemysł austryacki nie otrzymał żadnych głębokich ran w téj walce konkurencyjnéj z Węgrami.

Autor, opiérając się na wymowie cyfr, porównywa produkcyę węgierską z galicyjską; pierwsza przed rokiem 1867 stała bezwarunkowo niżéj od drugiéj. Od tego czasu jednak całkiem naodwrót zmienił się ten stosunek, nawet pod względem produkcyi ziarna z hektara. W Galicyi pozostały plony zupełnie na tym samym stopniu, kiedy w Węgrzech z hektara wytwarzają się o ogromne odsetki więcéj, niż przed 22 laty, np. pszenicy o 170%, buraków pastewnych o 260% i t. d. Przez to o tyleż odsetek zacofaną jest Galicya wobec Węgier. Ekonomiczny postęp krajów korony Ś-go Stefana, uwydatniający się też i w powstawaniu licznych fabryk, w możności zaprowadzania gospodarstwa intensywniejszego, uprawiania leżących dotąd odłogiem pól i t. p., spowodowany został głównie przez koleje. Wzrost tychże tak absolutnie, jak stosunkowo, większy już jest obecnie w Węgrzech, niż w Austryi. Im więcéj sieć dróg żelaznych węgierskich się rozszerza i upaństwawia, tém skuteczniéj i bezwzględniéj Węgrzy podnoszą swoją produkcyą za pomocą jednolitéj i przebiegle przeprowadzanéj polityki taryfowéj.

Jaką wagę miałaby dla Austryi produkcya rolnicza Galicyi, gdyby stosowana była do niéj polityka węgierska, widnieje z tego, że stosunek ziemi produkcyjnéj do całego obszaru korzystniejszy jest w Galicyi, niż w reszcie Austryi a nawet w Węgrzech: Galicya zawiéra trzecią część produkcyjnéj ziemi całéj Przedlitawii (8,322,429 mórg, wobec 24,911,072 mórg całéj Austryi), kiedy cały obszar Galicyi stanowi ¼ część obszaru całéj Przedlitawii (t. j. 13,640,639 mórg wobec 52,136,063 mórg wszystkich krajów koronnych austryackich). Daleko większe znaczenie ekonomiczne dla Austryi miałaby Galicya, gdyby jéj wciąż nie żałowano wkładów i gdyby się doczekała stosownego rozwoju komunikacyi.

Rozdział III-ci specyalnie objaśnia już tylko sprawy kolejowe; autor dowodzi, że stanowi on część informacyjną jego dzieła. Zbyt skromna to ocena tak doniosłych i głęboko sięgających w istotę spraw kolejowych, rozjaśnień, których dotąd nikt nie dokonał. Zawiłe ścieżki urzędowéj statystyki austryackiéj w téj mierze rozświeca autor za pomocą przeróbki mylnie i buchalteryjnie tylko podanych cyfr w sprawozdaniach kolei państwowych i prywatnych. Oblicza on ruch przewozowy dróg żelaznych, ich kapitały, dochody i czyste zyski w różnych krajach, następnie w Niemczech, które podaje na wzór, potém w Austryi i Węgrzech, a w osobnéj części rozdziału omawia nawet szczegółowo każdą niemal kolej galicyjską. W tym obrazie, niestety, widać raczéj to, co mogłoby się było dokonać, niż to, co się dokonało. Świetne są tam argumentacye w nawoływaniu społeczeństwa galicyjskiego

do większéj samodzielności, do większego polegania na własnych siłach, a mniéj pilnego wyglądania pomocy od rządu wiedeńskiego i wiedeńskich kapitalistów. Dowcipne i za szczyt mądrości politycznéj uchodzące wyczekiwanie, aż obce czynniki zmuszone zostaną czy to pobudować koleje strategiczne, czy też uzupełnić istniejące odnogi z pobudek własnego interesu kapitalistycznego, autor piętnuje mianem fałszywego rachunku, bo na miliony i setki milionów oblicza *lucrum cessans* Galicyi, z powodu zaniechania budowy przez kilka lat, np. przez te 10, zanim jéj nie podjęło państwo na własną rękę. W ostatnich 5 latach przybyło z 1,000 kilometrów kolei; budowa ich kosztowała 52 miliony złr. Dla Galicyi wykwita z nich roczny zysk bezpośredni 30 milionów złr. mniéj więcéj. Autor go oblicza, biorąc zwyżkę całego ruchu obecnego w tonnokilometrach i osobokilometrach (zwyżka ta przedstawia ruch nowy, nowemi kolejami spowodowany) i porównywując ją z tém coby przewóz tychże samych osób i towarów kosztował, gdyby uskuteczniony został końmi. Ruch w 1887 i 1888 r. wynosił 150,000,000 tonnokilometrów; przewóz tonny na kilometr kosztował 2.31 centów; końmi zaś kosztowałby przeciętnie najmniéj 16 centów; różnica 13 przeszło centów stanowi sumę 25 do 30 milionów złr. Są to tylko bezpośrednie korzyści; pośrednie, jak wzrost dochodów producentów, ułatwiony kredyt, wygoda, oszczczędność czasu i t. p. nie dadzą się obliczyć ściśle, lecz wynoszą pewnie co najmniéj drugie tyle.

Dopiéro co streszczona ocena stosunków galicyjskich, poprzedzona jest porównaniem stosunków kolejowych austryackich z węgierskiemi, a również jednych i drugich z „pierwowzorem“: t. j. z niemieckiemi.

Wszystkie obliczenia i porównania zrobione są w tonnokilometrach i osobokilometrach [1]) (lub osobo- i tonnomilach, albo osobo- i pudowiorstach i t. p.).

Autor ocenia kapitały zakładowe, czyste zyski lub straty kolei niemieckich, austryackich i węgierskich nietylko finansowo i buchalteryjnie, lecz głównie ekonomicznie, t. j. stosunkowo do ruchu osobowego i towarowego. Niepodobna mi tu nawet streścić tych 150 stronic, wypełnionych przeważnie zestawionemi mozolnie tablicami, w których autor porównywa kapitały, dochody, rozchody, czyste zyski kolei prywatnych, subwencyonowanych lub poręczonych przez państwo, zostających w zarządzie państwowym i całkiem państwowych w Austryi, Węgrzech i Niemczech. Przejście w zarząd państwowy znaczy wszę-

[1]) Jestto jedyna prawdziwa miara ruchu kolejowego, używana w statystyce. Osobo- i tonnokilometry są to iloczyny, które powstają przez pomnożenie ilości przewiezionych osób i tonn przez liczbę przebieżonych przez nie kilometrów.

dzie wielkie obniżenie taryf, które wpływa i na taryfy kolei prywatnych; te bowiem zmuszone są też wtedy do podobnych obniżek. Zniżenie taryf tém mniéj się przyczynia do obniżania czystych zysków kolei, im więcéj jest warunków rozwoju ekonomicznego w jakim kraju. W Niemczech niższe taryfy spowodowały większy ruch i przez to większe dochody dróg żelaznych; w zaniedbanéj systematycznie i przez to popadłéj w ciężką martwotę ekonomiczną Galicyi, obniżka taryf zmniejszyła dochody kolejowe. Nikt, podobno, dotąd nie pokusił się o takie porównania, zwłaszcza między drogami żelaznemi austryackiemi a węgierskiemi. Nad wyraz cenne wskazówki tam znaleźliby mężowie stanu, nie wyłączajac fachowych ministrów komunikacyi i finansów, gdyby raczyli się zniżyć do ich przeczytania i studyowania.

Przy omawianiu rentowności dróg żelaznych austryackich i węgierskich i wpływu, jaki na nią wywiera zmienny kurs waluty austryackiéj wobec wielkiéj liczby kolejowych obligów w złocie, autor oblicza korzyści, jakie wypadłyby dla kapitalistów kolejowych z uregulowania téj waluty. Porobione tam są głębokie i doniosłe uwagi o chwilowych i stałych korzyściach z zaprowadzenia waluty złotéj, która przy reformie téj jedynie byłaby obecnie możliwa, gdyż podwójna waluta dotąd w teoryi tylko jest za zbawienną uważana. Wykazane tam jest, coby zyskał skarb państwa i zasobne w kapitały kraje koronne przemysłowe, lecz téż na jakie niebezpieczeństwa bezpośrednie, lecz późniejsze, narażone byłyby rolnictwo i przeważnie rolnicze jeszcze dotąd kraje, jak Galicya i Węgry. Szczególnie groźną wydaje się być dla rolnictwa przewaga, jakiéjby nabrała spotęgowana siła zakupcza kapitału, gdyby przez przyczynienie się ze strony państw o walucie papiérowéj lub srebrnéj, złoto w dziedzinie waluty zapanowało monopolistycznie nad srebrem, na całym rynku światowym i ogólne przez to sprowadziło obniżenie wszelkich wartości.

Cały rozdział IV-ty wypełniony jest będącą obecnie na porządku dziennym sprawą kolei państwowych i ich upaństwowienia. Po pięknym wstępie o państwie nowoczesném i wciąż rosnących jego zadaniach, autor obszernie traktuje o przyczynach, które spowodowały upaństwowienia dróg żelaznych na wielką skalę w znacznéj części Europy. Początek temu ruchowi nadały nie tyle względy na dobro ekonomiczne ogółu lub nawet na korzyść skarbu państwowego, ile nieprzeparte i nieuniknione dążenie powszechne w Europie do wzmocnienia siły państwowéj na wewnątrz i zewnątrz. Hasło wyszło od żelaznego kanclerza: w Niemczech jaknajenergiczniéj zmierzano do upaństwowienia kolei wtedy, kiedy jeszcze nawet w świecie naukowym niemieckim nie miano pojęcia o korzyściach, jakie się obecnie z biegiem czasu oka-

zały ponad wszelkie oczekiwania. Autor omawia koleje niemieckie w każdém poszczególném państwie Rzeszy; są one obok belgijskich najwzorowiéj zarządzane. Wykazane są w szeregu tablic ich kapitały, wydatki, dochody i czyste zyski z odnośnemi porównawczemi zestawieniami cyfr absolutnych i stosunkowych. Skarb pruski ma czyste zyski z własnych kolei państwowych tak wielkie (przy najniższych równocześnie taryfach), że oprócz oprocentowania i amortyzacyi zakładowych kapitałów pobiéra bardzo znaczne miliony z tego źródła, np. w 1883/4 roku 35,880,220 marek, a w 1887/8 r. 108,992,265 marek.

Mnóstwo szczegółów i przyczyn najrozmaitszych składa się na ten świetny rezultat, między innemi jednolity zarząd: istnieje bowiem w Prusach tylko 11 dyrekcyi na 23,000 kilometrów kolei państwowych, a jest nie więcéj niż 20 dyrekcyi na całe 35,000 kilometrów wszystkich niemieckich kolei państwowych, kiedy 4,669 kilometrów prywatych dróg żelaznych stanowi 60 samoistnych towarzystw, a więc i tyleż zarządów. Na 100 kilometrów było w Prusach:

1880/1 r.	96	urzędników w zarządzie ogólnym, a	231	techników
1887/8 r.	41	„ „ „	80	„
1880/1 r.	420	urzędników w zarządzie ruchu, a	260	w zarządzie pociągów
1887/8 r.	370	„ „ „	250	„ „

Olbrzymi wzrost ruchu potrzebował tylko odpowiedniego zwiększenia liczby urzędników najniższéj kategoryi, t. j. robotników. Wielką oszczędnością okazało się lepsze użycie materyału kolejowego, np. unikanie powracania wagonów pustych i sam fakt powiększonego ruchu; niskie taryfy były tego przyczyną i skutkiem.

Austryackie koleje państwowe dają pozornie małe finansowe rezultaty. Nie mniéj jednak, jeżeli się obliczy, jak to czyni autor bardzo szczegółowo, koszta dróg państwowych i prywatnych w stosunku do różnego na nich ruchu przewozowego, porównanie wypada na korzyść pierwszych. Uderzający jest wynik tych rachunków. W Przedlitawii koleje prywatne zostające pod własnym zarządem, chociaż mają na kilometr o 50.48% większy ruch przewozowy niż koleje państwowe i prywatne w państwowym zarządzie będące, a przeto cieszą się okolicznością, obniżającą zwykle koszta, niemniéj jednak mają je o 5% wyższe na przecięciową jednostkę osobo- i tonnokilometra, niż państwowe i przez państwo zarządzane; tak zwane zaś koszta własne (*Selbstkosten*) ogółu tychże okazują się o 30% mniejsze od kosztów własnych ogółu dróg żelaznych państwowych (prywatne zaś wspólne austryacko-węgierskie, chociaż mają na kilometr o 38.09% większy ruch przewozowy, niż państwowe austryackie, mimo to jednak wykazują koszta o niemal 1% wyższe na przecięciową jednostkę osobo-

i tonnokilometra niż one, a koszta własne ogółu państwowych austryackich wypadają o 20% mniejsze nawet od kosztów własnych tychże wspólnych prywatnych dróg żelaznych). Wynik ten jest tém więcéj zdumiewający, że koleje państwowe austryackie mają wyjątkowo wielkie koszta budowy z powodu częstych spadków, wzniesień i krzywizn, co też powiększa koszta ruchu i utrudnia należyte użytkowanie materyału przewozowego.

Wyniki finansowe austryackich kolei państwowych przedstawia autor w następującém świetle. Chociaż zawiadywanie państwowe 1888 r. wypada tylko o 2½ miliona złr. korzystniéj, niż w dawniejszym okresie przed upaństwowieniem tychże samych kolei, to niemniéj uwzględnić trzeba, że zarząd państwowy bardzo znacznie obniżył taryfy, co jest ekonomiczną korzyścią społeczeństwa i że państwo musiałoby było tymże samym kolejom 1881 r. dopłacić 9 milionów więcéj, gdyby wówczas one były obniżyły taryfy tak nisko, jak to zrobiła potém administracya państwowa. Różnica zawiadywania państwowego a prywatnego wyraża się więc w liczbie przeszło 11 milionów złr. na korzyść pierwszego.

Jeżeli pomimo to, oprocentowanie austryackich kolei państwowych przecięciowo niższe jest od państwowych węgierskich, przyczyna tego leży jedynie w szczególném tworzeniu się sieci kolei państwowych w Przedlitawii. Powstaje ona bowiem przeważnie z zakupionych przez państwo dróg finansowo słabych, które potrzebowały „uzdrowienia,“ tudzież z nowo-zbudowanych bardzo ważnych, lecz o bardzo małym ruchu i dotąd prawie wcale nie procentujących się, gdy tymczasem najważniejsze i zyskowniejsze drogi żelazne pozostały w rękach prywatnych. Przeciwnie, w Węgrzech sieć kolei państwowych tworzą właśnie linie o największym ruchu przewozowym: koleje państwowe tamże oprocentowują się więc o wiele wyżéj od prywatnych. Następnie autor podaje szczegółowe uwagi nad kolejami węgierskiemi.

Kraje, w których ujemne strony systemu gwarancyjnego najwięcéj dają się we znaki, są, wedle autora, Francya i Rosya. Wylicza on ogromne ciężary, które wzięły te państwa na siebie z tego powodu. Pomimo wyraźnego skłaniania się autora na stronę upaństwowienia, wątpliwém mu jest, czy całkowite upaństwowienie dróg żelaznych jest możliwe w tak olbrzymiém państwie jak Rosya i przy systemie centralizacyi. Stałoby się pewnie tam to samo, co we Włoszech, gdzie musiano odstąpić od systemu dróg państwowych i gdzie nawet koleje państwowe oddano w zarząd prywatny. Było to skutkiem mnóstwa popełnionych błędów przy zaprowadzeniu tak ważnéj reformy. Dla

Włoch jednak mimo to, upaństwowienie było możliwe i wskazane, gdyby nie popełnione błędy.

Następuje potém przegląd częstych w ostatnich czasach objawów przychylnych idei upaństwowienia; nie brakuje ich nawet w Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie upaństwowienie najsprzeczniejsze jest z tradycyą, opinią i praktyką publiczną.

W dłuższym ustępie znajdują się wyczerpujące uwagi o systemie dróg żelaznych państwowych, o systemie prywatnych i o mieszanym. Autor dowodzi, że system kolei prywatnych z trudnością odpowiada ekonomicznym potrzebom czasu i przytém o wiele uciążliwszy bywa dla skarbu państwa. Albowiem władza państwowa nad prywatnemi drogami żelaznemi nie może być tak wykonywaną w dziedzinie taryf, jakby tego wymagało dobro publiczne, bo przez takie wykonywanie naruszałaby nabyte prawa prywatne. Praw tych autor wymownie broni i podnosi niesprawiedliwość, jaką się czyni prywatnym drogom żelaznym i wogóle kapitałowi, kiedy im się zarzuca, że niedość uwzględniają potrzeby dobra ogólnego. Kapitał bezwarunkowo musi postępować wedle swych praw naturalnych i nie sposób od niego wymagać, by czynił ofiary i poświęcenia dla społeczeństwa. Jego działanie i tak jest obfite w błogie skutki; wzmaga on bowiem w najwyższym stopniu wytwórczość, podnosi przez to wartość pracy, czyli daje utrzymanie coraz liczniejszym milionom ludzi i sam traci własną swą siłę, w miarę swego rozmnażania się w jakim kraju, co się objawia w spadku stopy procentowéj.

System mieszany téż nie wiele wyżéj ceni autor tak pod względem ekonomicznym, jak finansów państwa. Nie daje on państwu możności prowadzenia trafnéj i zbawiennéj dla ogółu polityki ekonomicznéj, bo i tutaj władza państwowa nad kolejami prywatnemi nie powinna nigdy posuwać się do tego, aby przekraczała granice praw trzecich. W zakresie handlu zagranicznego państwo w taryfach swych dróg żelaznych ma w ręku środki działania dla dobra ogółu czasem potężniejsze, niż cła ochronne. System mieszany może zatém być usprawiedliwiony tylko jako przejściowy, jak to było w Belgii i Niemczech, i jak to zdaje się być w Węgrzech, gdzie już jest 70% kolei żelaznych w posiadaniu państwa i to najważniejszych i rentowniejszych.

Żywotny interes Przedlitawii przemawia za tém, aby i ona wstąpiła w te same ślady, zwłaszcza wobec zaczepnéj i bezwzględnéj polityki ekonomicznéj Węgier; Węgrzy prowadzą istną wojnę ekonomiczną przeciw swéj połowicy państwowéj i posługują się w niéj głównie bronią taryf. Na czele tego ruchu stoi minister handlu, Barosz, stanowczy zwolennik kolei państwowych, dzielny mąż stanu, działający

w powyższym kierunku z pełną świadomością środków i celów. Taryfowa polityka węgierska coraz dotkliwszą staje się dla Austryi. Na przykład. Wedle sprawozdania wiedeńskiéj Izby handlowéj za rok 1888-my olbrzymia rafinerya nafty w Fiume sprzedaje znacznie więcéj, niż połowę swego wyrobu w krajach koronnych austryackich przez to, że za pomocą taryf, wywóz jego z Węgier jest bardzo ułatwiony, z drugiéj zaś strony przywóz nafty z Galicyi do Węgier stanowczo uniemożliwiony. Z wielkiéj fabryki cukru w Szerencz kosztuje sprowadzenie jednego metrycznego centnaru cukru do Wiednia 70 centów, z Ołomuńca do Wiednia $91,_{3}$ centów, z Pragi do Wiednia 1 złr. 7 centów, z Szerenczu do Lwowa 1 złr. $47,_{7}$ c., z Opawy do Lwowa 2 złr. $39,_{9}$ c., z Szerenczu do Fiume $88,_{4}$ c., z Pragi do Fiume 1 złr. 93 c. Każdy więcéj w Węgrzech, niż w Austryi, wyprodukowany centnar metryczny znaczy 11 złr. zysku dla skarbu węgierskiego, a tyleż straty dla austryackiego. Podobnież się dzieje z naftą rafinowaną. Węgrzy to, co pozornie tracą przez obniżone taryfy na swych kolejach państwowych, odbiérają w dziesięćkroć inną drogą. Ta walka interesów ekonomicznych obudwu połów monarchii uwydatnia się téż szkodliwie dla Austryi w dziedzinie handlu nietylko wewnętrznego, ale i zagranicznego, zwłaszcza ze Wschodem. Przedlitawia może tylko temi samemi środkami bronić swoich interesów, t. j. za pomocą szerszego upaństwowienia dróg żelaznych i prowadzenia mądréj polityki taryfowéj.

Wedle autora, nieodżałowana jest szkoda, że sprawy kolejowe nie zostały zaliczone w 1867 r. do spraw wspólnych austryacko-węgierskich. Węgrzy-by i w tym razie wyzyskali swą przewagę polityczną, lecz nie mogliby tak bezwzględnie szkodzić interesom ekonomicznym austryackim. Temu złemu możnaby w części zaradzić przez ogólne upaństwowienie kolei w obu połowach monarchii. Wtedy łatwiéj byłoby zobopólnie się porozumiéć w wielu sprawach z dziedziny ekonomicznéj i zaprzestać niezdrowego dla całości monarchii współzawodnictwa. Trudności upaństwowienia są wszakże ogromne i autor ich bynajmniéj nie zataja.

Oprócz samych, istotnie wielkich trudności upaństwowienia kolei, jest także w Austryi inna anomalia odnośnie do wkładów państwowych na drogi żelazne, a to mianowicie, że obligacye prywatnych kolei żelaznych, poręczonych przez państwo, nawet tych, które jedynie w subwencyach państwowych znajdują możność płacenia odsetek, że obligacye te znacznie wyższy mają (w stosunku do swoich procentów) kurs, niż renta austryacka, t. j. renta gwarantującego państwa. Skutkiem tego państwo zmuszone jest uciekać się do takich środków, że kolejom, których upaństwowienie jest wskazane i zamierzone, a na

które potrzebne są nowe wkłady, podwyższa gwarancyą, zamiast je upaństwowić; takim bowiem sposobem zdobywa sobie tańszy kredyt dla tych nakładów (np. kolej I węgiersko-galicyjska, kolej Karola Ludwika, a nawet nowa gwarancya dla nowéj małéj kolei Eisenerz-Vordenberg w Górnéj Austryi).

Oceniając ten I tom dzieła p. Leona Paszkowskiego, unikałem wszelkiéj polemiki, któraby się zresztą rozciągała tylko na poboczne ustępy i zdania, będące w luźnym związku ze sprawami kolejowemi; np. ruch ludności i sprawa emigracyi, uwaga, że w najnowszych czasach charaktery ludzkie zmalały i t. p. Ten I tom mieści w sobie nader cenne dane i rozumowania z faktów najnowszéj daty. Niewątpliwie spożytkują je mężowie stanu i publicyści. Nie dla każdego jednak jest tam wszystko dostępne, trzeba się niejednego uczyć, bo mało kto jest obeznany ze sprawami tam podnoszonemi. Są tam ustępy świetne, pociągające samą treścią, jako też i wymowną argumentacyą, oraz barwnością stylu. Są zaś inne, co do których można autorowi zarzucić długość i zawiłość zdań, wynikające bardzo widocznie ze zbytniego usiłowania dokładności i jasności w orzeczeniu.

Zapowiedziany tom II-gi mieścić będzie rozdziały: V-ty o taryfach, VI-ty o kwestyi rentowności dróg żelaznych, VII-my o lokalnych drogach żelaznych, VIII-my zadania Galicyi.

Do tego dalszego ciągu dzieła próbka dana w I-ym tomie winna wzbudzić wysokie zajęcie nietylko fachowych ekonomistów naszych. Wszystkim tym, którym chodzi o rozświecenie niejasnych dróg ekonomicznych, na jakie musimy wstąpić pod grozą zacofania i upadku, powinno bardzo zależéć na tém, żeby autor jaknajprędzéj ziścił oczekiwania wywołane przez tom I-szy.

Dr. St. Kłobukowski.

Ernest T. Breiter. Bartosz z Wiszemburga. Kraków, 1889.

Rozniesiono wieść na Zachodzie, że książęta szląscy, synowie wygnanego Piastowicza, Władysława II-go, z chęcią przyjmują na swe dwory szlachtę niemiecką, do urzędów i zaszczytów podnoszą, bogate lenna nadają i t. p., nie dziw, że Niemcy zaczęli licznie na Szląsk napływać i wcale nieźle im się tutaj działo. Wśród tych przybyszów znalazł się i ród Wiszemburgów, być może aż z Alzacyi pochodzący, który na Szląsku doszedł do wielkiego znaczenia. Jeden z Wiszemburgów, Pilgerim, zginął w obronie pana swego, księcia Henryka Brodatego; wzmogło się przez to znaczenie rodu, ale nie słyszymy już odtąd nic o nadzwyczajnych zasługach Wiszemburgów na Szląsku. Następnie Wiszemburgowie poraz drugi zmienili ojczyznę, bo przenieśli

się ze Szląska do Czech i Polski. Czy i ile wiodło im się w Czechach— nie wiemy, natomiast niemałą rolę odegrali oni w XIV-ym wieku w Wielkopolsce, gdzie się osiedlili. Prędko spotężniał ten ród na naszéj ziemi: przybył za Łokietka, a już za Kazimierza Wielkiego jeden z Wiszemburgów wielkopolskich, Maćko Borkowicz, był na tyle potężny, że odważył się podnieść rokosz przeciw możnemu królowi chłopków. Inny Wiszemburg, Bartosz z Odolanowa, zasłynął w dziejach jako jeden z najwybitniejszych przywódców szlachty wielkopolskiéj w drugiéj połowie XIV-go wieku. Życiorys tego Bartosza skreślił w osobnéj rozprawie p. Ernest T. Breiter i przyczynił się przez to do rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Wielkopolski za rządów Ludwika d'Anjou i Jadwigi. Skrupulatnie pozbierał autor wiadomości źródłowe, zestawił je, nie potrafił jednak dostatecznie nad tym materyałem zapanować, dlatego téż praca jego nigdzie nie wyjrzała poza ciasne granice suchéj biografii, jakkolwiek miała ku temu wdzięczne i obszerne pole przy opisie walki Grzymalitów z Nałęczami. Ciekawa ta pod wielu względami wojna domowa, w któréj wielki brał udział Odolanowski Bartosz, występuje w rozprawie p. Breitera blado; prawie zupełnie nie wychodzi autor poza suche zestawienie faktów, a przecież byłoto obowiązkiem biografa Bartosza z Odolanowa, sięgnąć głęboko w tym razie w *meritum* rzeczy i pouczyć nas o przyczynach téj wojny, ażebyśmy mogli poznać motywa najważniejszéj działalności Bartosza i na téj podstawie ocenić jego charakter. Tyle się dowiadujemy z rozprawy p. Breitera, że szlachta wielkopolska stanowiła stronnictwo konserwatywno-narodowe, w przeciwieństwie do Grzymalitów i Małopolan, trzymających się polityki utylitarnéj. Wynikałoby z tego, że większość wielkopolskiéj szlachty należała do stronnictwa, które nie uznawało polityki utylitarnéj, ale walczyło nie wiedzieć po co pod hasłem narodowego konserwatyzmu.

Licznie rozrodzona szlachta wielkopolska zadowolona była zupełnie z tego, jeżeli mogła spokojnie zarabiać na chléb na własnej glebie; tudzież zbywać i nabywać towary na własnych rynkach; przeciwnie, bogata mniejszość Wielkopolan, tudzież wielmoże małopolscy posiadali potrzebne kapitały na kolonizacyą ziem ruskich i handel zewnętrzny; nie dziw, że pierwsi nie chcieli ani na krok odstąpić od pojęcia Polski piastowskiéj Łokietka i Kazimierza W-go, bo ta zapewniała im względny dobrobyt i znaczny wpływ na rządy, drudzy naodwrót z chęcią łączyli się z Węgrami, Rusią i Litwą w celach kolonizacyjnych i handlowych. Piastowska Polska ubezpieczała Wielkopolan od zagranicznéj konkurencyi i dawała im liczebną przewagę w rządzie; Polska połączona z Węgrami i Rusią, lub lepiéj

jeszcze z Litwą i Rusią, przynosiła ogromne korzyści „wielmożom“ małopolskim, bo pomnażała ich majątki i liczbę. Z drobną szlachtą wielkopolską miało identyczne interesa polskie mieszczaństwo o tyle, o ile powiązane było w cechy, które nie znosiły konkurencyi handlu zewnętrznego. Naodwrót—mieszczanie nie powiązani w cechy, a więc wolni kupcy, mieli te same interesy co wielmoże małopolscy, bo przez rozległy handel zewnętrzny zabijali konkurencyą mieszczaństwo cechowe. Miasta wielkopolskie nie należały do miast handlowych, — były to ogniska cechowego przemysłu; nie dziw, że w czasie wojny Nałęczów z Grzymalitami szli ręka w rękę z pierwszymi, tudzież z najwybitniejszym ich naczelnikiem Bartoszem. P. Breiter dowiódł tego faktycznie, ale o przyczyny nie zapytał, nie dziw, że u niego Bartosz i szlachta wielkopolska owiani są jakimś urokiem idealnego, iż się tak wyrazimy — konserwatyzmu, gdy tymczasem oni walczyli tak samo w celach utylitarnych, jak Grzymalici i małopolscy wielmoże; naturalnie, jedni i drudzy utylitaryzm ten z swego oceniali stanowiska, a przebieg dziejów sprawił, że utylitaryzm Nałęczów był konserwatywny, gdy naodwrót utylitaryzm Grzymalitów i Małopolan był — iż się tak wyrazimy — nowatorski i postępowy w swoim kierunku. Dlaczego p. Breiter nazwał politykę konserwatywną Wielkopolan specyalnie narodową—tego nie pojmujemy; przecież więcéj narodową była polityka Małpolan, którzy, rozszerzając granice państwa, chcieli podnieść przez to potęgę narodu.

Gdyby był p. Breiter rozwikłał przyczyny wojny Grzymalitów z Nałęczami, to wówczas Nałęcze i jeden z ich przewódców, Bartosz, byliby może stracili na uroku rycerskości i bezinteresowności, natomiast zyskaliby na uroku prawdy.

W szczegółach nie wiele myli się p. Breiter, dostrzegliśmy kilka ledwie mniéj ważnych usterek. I tak: nie możemy zgodzić się z autorem jakoby za rządów Ludwika w Polsce wysługiwanie się dworowi szło w parze z popularnością (str. 9); nie sądzimy, ażeby Władysław Biały był tak bardzo „niedołężny umysłowo i srogi“ (str. 13), nie rozumiemy dlaczego autor starostę Wielkopolski Domarata nazywa zdradzieckim (str. 44), kiedy on nigdy nikogo nie zdradził; wreszcie niech nam wolno będzie zaznaczyć, że należenie Maćka Borkowicza do rodu Wiszemburgów nie jest odkryciem autora, lecz zmarłego Ign. Zakrzewskiego (Kod. W. Pol. IV, uwagi o pieczęciach), o czém przecież wypadało wspomnieć.

Kazimierz Józef Gorzycki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Ostoja.* **Nowele** z przedmową D-ra Piotra Chmielowskiego (Warszawa. J. Paprocki, 1890, str. 334). Nowy ten zbiorek wielce utalentowanéj nowelistki zawiéra dwa większe obrazki, znane czytelnikom „Ateneum" („Z moich stron", „Złych duch") oraz kilka drobniejszych, pomieszczanych poprzednio w różnych czasopismach. Bystrość i trafność obserwacyi w zakresie pewnych, silnie w sobie skoncentrowanych charakterów, umiejętność wysoce dramatycznego przedstawienia stanów i walk duchowych, nadzwyczajna zwięzłość w kreśleniu szczegółów znamiennych wyróżniają nowele p. Ostoi od mnóstwa tych wodnistych, rozwlekłych, lub powierzchownych i banalnych zarysów, którémi czasopiśmiennictwo obecne bywa przepełniane. Cierpienie i smutek najczęściéj w nich się spotyka, lecz autorka nie wywleka ich na pokaz jedynie w jakiejś zgóry powziętéj myśli, odtwarza tylko to, co ją w życiu głównie zastanowiło. Uśmiéch humorystyczny rzadko się przewija na jéj ustach, lecz i tego powabu artystycznego nie jest pozbawiona, jak to widzimy wyraźnie z „Miłości babuni", a poczęści i z „Listu". Dziękując p. Ostoi za dary dotychczasowe, życzyć jéj wypadnie chyba, ażeby zawładnęła tajemnicą kompozycyi artystycznéj w obrazkach na większą skalę pomyślanych.

— Bardzo miłą przysługę zrobił wszystkim czcicielom wielkiego wieszcza p. *Władysław Piast*, ogłaszając powabnie się przedstawiające pod względem wydawniczym, a pełne zalet wewnętrznych **Album pamiątkowe Adama Mickiewicza** (Lwów, księgarnia H. Altenberga, str. XIX, 39 w wielkiéj ćwiartce). Na czele znajdujemy tu portret poety przez Horowitza, następnie — krótki życiorys z uwzględnieniem szczegółowém tych faktów, jakie są w „Albumie" ilustrowane, a potém rzecz główną t. j. wizerunki osób i obrazy miejsc upamiętnionych przez Mickiewicza, a więc portrety główniejszych członków rodziny, profesorów, kolegów zarówno w Wilnie, jak późniéj w Paryżu, widoki Zaosia, Nowogródka, Tuhanowicz, Świtezi, Wilna, Kowna, pokoju w Wilnie, w którym była pisana „Grażyna", Krymu, wizerunki Maryli, Maryi Szymanowskiéj, Zenejdy Wołkońskiéj, Oleszkiewicza, Puszkina, Goethego, Klaudyi Potockiéj, Towiańskiego, Armanda Levy, Służalskiego i wielu innych. Parę podobizn pisma Mickiewicza i Maryli kończą wydawnictwo, pełne zalet i warte szerokiego rozpowszechnienia.

— W Berlinie z datą r. 1890 wyszła niewielka książeczka, napisana przez p. *Gustawa Karpelesa* p. n. **„Goethe in Polen**. Ein Bei-

trag zur allgemeinen Litteraturgeschichte" (str. 220; dołączony jest portret Mickiewicza z r. 1829 według rysunku Józefa Schmellera, wykonany sposobem światłodrukowym). Autor wielce starannie wyszukuje w dziełach Goethego wzmianek o nas, podaje nieznane dotychczas szczegóły o znajomościach wielkiego poety, zawartych z Polakami bawiącymi w Karlsbadzie, o zwiedzeniu przezeń w r. 1790 Krakowa, Wieliczki, Częstochowy, omawia bardzo szeroko stosunek Goethego do słynnéj fortepianistki Maryi Szymanowskiéj, opowiada pobyt Mickiewicza i Odyńca w Weimarze r. 1829, zastanawia się wreszcie nad wpływem niemieckiego wieszcza na literaturę polską. Ten ostatni dział jego książki najmniéj może zadowolnić krytykę ścisłą, ale téż nie stanowi głównéj treści. Ze szczegółów ciekawszych, nie wiedział widocznie autor tego, że w r. 1830 Goethe został wybrany na członka honorowego w warszawskiém Towarzystwie przyjaciół nauk za prezydencyi Juliana Niemcewicza i że wybór ten powitany był przez romantyków naszych jako dowód zwycięstwa nowego ducha poetyckiego.

— **Kalewala**, *das Volksepos der Finnen. Uebersetzt von Hermann Paul, 2 Bände.* Helsingfors, 1885, 1886. **Kanteletar**, *die Volkslyrik der Finnen. In's Deutsche übertragen von Hermann Paul.* Helsingfors. 1882). Komunikacya księgarska z Finlandyą u nas prawie nie istnieje; przypadkowi więc tylko lub uprzejmości osób postronnych zawdzięczać zazwyczaj musimy zapoznanie się z utworami tam wychodzącymi. To tłómaczy, dlaczego tak późno o wydawnictwach wyż wymienionych tutaj wzmiankujemy. Zalecić je należy każdemu, kto się chce dokładniéj zaznajomić z twórczością ludową różnych narodów i ciekaw jest form przerozmaitych, w jakich się ona objawia. Epopeja fińska u nas bardzo mało była i jest znana; prócz zwięzłych wiadomości, zawartych w dziejach literatury powszechnéj i drobnych artykułów, posiadamy jedną tylko obszerniejszą o niéj rozprawę pióra p. Feliksa Jezierskiego, umieszczoną przed 10-u laty w „Bibliotece Warszawskiéj". Ci, którzy ją u nas czytali, używali zazwyczaj tłómaczenia francuskiego Léouzon'a le Duc; dawniejsze bowiem niemieckie Schiefnera należy już do rzadkości. Obecnie dzięki przekładowi Hermanna Paula nastręcza się ta dogodność, że do zbadania ducha i formy Kalewali posługiwać się będzie można porównaniem ze sobą dwu tłómaczeń, a tym sposobem lepiéj wniknąć w istotę rzeczy. H. Paul pracował nad swym przekładem bardzo starannie i bardzo sumiennie. Sam on znał język fiński niedostatecznie i twierdzi, że język poezyi ludowéj wogóle rozumie całkowicie nadzwyczaj mała liczba ludzi wykształconych. Do téj liczby należy p. Henryk Pantsar, który słowo

w słowo wytłómaczył zarówno Kalewalę, jak i liryki fińskie dla Paula; profesor zaś August Ahlqvist cały rękopism dokładnie przejrzał i uwagi swoje nad nim porobił, z czego tłómacz niemało korzystał. Przy takim trybie tłómaczenia można mieć gwarancyą jego wierności. Co się tyczy formy wiersza, którego użył tłómacz dla oddania oryginału, to wydaje mi się ona bardzo płynna, potoczysta i dźwięczna. Zamiast tradycyjnie używanéj czterostopowéj zwrotki trochaicznéj, przeplatał tu trocheje daktylami, przeplatając nieustannie rymy męskie żeńskiemi, o alliteracyą, którą się znamionują wiersze oryginału, tłómacz się nie kusił i słusznie, gdyż próba taka byłaby pomnożyła trudności, zmuszała do dziwacznych kombinacyi, a pewnie i do zaciemnienia myśli. Tak jak dokonane zostało, tłómaczenie, z małemi wyjątkami, czyta się gładko, wiersze wpadają w ucho mile, a myśli i obrazy zawsze się jasno w wyobraźni czytelnika rysują. Paralelizm dykcyi zachowany został naturalnie i uwydatniony należycie, a dobór wyrazów umiejętny i prawdziwie poetyczny. Oto drobna próbka: *Frost und Winter lehrte mich Lieder*, | *Und der Regenschauer Gesang*, | *Zaubersprüche lehrten die Winde*, | *Töne zogen über das Meer*, | *Selbst die Vögel brachten mir Worte*, | *Sagen rauschte der grüne Wald* (t. I, str. 3). Nie myślał oczywiście tłómacz o upiększaniu utworu fantazyi ludowéj, nie zaciérał nierówności, nie usiłował spajać artystycznie tego, co widocznie z zupełnie luźnych pierwotnie powstało cząstek; dbał jedynie o oddanie wierne charakteru epopei fińskiéj, tak różnego od bliżéj nam znanéj—greckiéj. Nie czyny bohaterskie, nie bitwy i walki orężne są tu na pierwszym planie, ale cuda słów czarodziejskich, walka na wyrazy, zawierające w sobie moc tajemniczą, prace, w których zręczność i przebiegłość łączy się z wytrwałością i potęgą cudowną.— Co do zbioru pieśni lirycznych, które pod nazwą *Kanteletar* ogłosił tenże sam tłómacz wprzód, zanim się zabrał do przekładu wielkiéj epopei, zawiéra on bardzo ciekawe i interesujące zarówno pod względem obyczajowym, jak estetycznym rysy usposobienia, uczuć, myśli, przekonań i zwyczajów ludowych, z przeważającym nastrojem poważnym i melancholicznym, przerywanym od czasu do czasu wybuchem rubasznego żartu lub ciętéj satyry. Wyrażenia przepiękne, obrazowe, pełne poetyckiego uroku, czasami idealniejszy polot myśli zdziwieniem przejmuje czytelnika, kiedy przegląda takie pieśni: jak „Znalazłem“ (str. 74), „Duma w nieszczęściu“ (str. 93), „Nadzieja po śmierci“ (str. 106), „Pochwała ojczyzny“ (str. 32), „Rezygnacya“ (str. 59), „W samotności“ (str. 275) i t. p. Objaśnienia podane przez tłómacza są krótkie i zwięzłe, ale jasne i w głównych rzeczach dostatecznie informujące czytelnika nie znającego mitologii lub obyczajów ludu fiń-

skiego.—Dowiadujemy się w ostatniéj chwili, że przekłady te Hermana Paula znalazłszy rozpowszechnienie, mają się niebawem doczekać nowego wydania za staraniem jego syna Aksela. Życzymy mu powodzenia, bo praca sumienna i dobra jego ojca zasługuje istotnie na szczere uznanie.

= *Dr. Stanisław Głąbiński*, **Pojęcie nauki skarbowéj.** Sambor, 1889, str. 63. W rozprawie powyższéj autor zastanawia się nad pojęciem nauki skarbowości, a z pojęcia téjże nauki ocenia, czy ją należy zaliczyć do nauk ekonomicznych lub państwowych. Prócz tego znajdujemy w pracy d-ra Głąbińskiego historyą pojęcia nauki skarbowości, przynajmniéj od czasu policystów XIII-go wieku, a w końcu zebrano skrzętnie określenia sprzeczne lub grzeszące niedokładnością, różnych koryfeuszów nauki z bieżącéj doby.

Przedewszystkiém dr. Głąbiński analizuje tezy postawione przez słynnego L. Steina, a utrzymujące, że dwie kardynalne różnice panują między gospodarswem indywidualném a gospodarstwem państwowém. Podług Steina różnice te polegają na tém, że gospodarstwo prywatne w zasadzie gospodaruje dla siebie, państwowe zaś dla drugich, a następnie, że w gospodarstwie prywatném wydatki stosować się winny do dochodu, gdy tymczasem w gospodarstwie państwa dochód stosuje się do wydatków.

Autor utrzymuje, że gospodarstwo państwa służy celom tegoż samego organizmu państwowego, a więc celom własnym. Również i druga teza nie odznacza się ścisłością. W gospodarstwie prywatném potrzeby naturalne nie mogą się do dochodu stosować już dlatego, ponieważ zaspokojenie ich jest warunkiem życia człowieka. Potrzeby jednostki, o ile są jéj wymogami stanu, posiadają w sobie tak silną tendencyą do ich zaspokojenia, że zazwyczaj naginają dochód do siebie, czyli do wydatków. Twierdzenie Steina w pierwszéj części jest zatém wypływem powierzchownego, mechanicznego śledzenia toku produkcyi i konsumcyi dochodu, lecz nie zgłębia ekonomicznych pobudek procesu. Prawdą jest wprawdzie, że produkcya wyprzedza konsumcyą, ale w istocie konsumcya jest bodźcem i miarą produkcyi.

Co się tycze drugiéj części tezy, to autor przyznaje wprawdzie, że wzrostowi potrzeb państwowych towarzyszyć musi wzrost dochodów, pod grozą upadku gospodarczego, — czyli, że dochód stosować się musi do potrzeb państwa, lecz dowodzi jednocześnie, że zasada powyższa nie jest absolutną i ulega jeszcze większym zboczeniom, niż w gospodarstwach prywatnych. Nagięcie bowiem dochodów do zwiększonych potrzeb państwowych, jest nawet trudniejszém, bo ma granice w sile

podatkowéj ludności: granica ta jest względną i ruchomą, ponieważ owa siła podatkowa nie jest ilością stałą, lecz elastyczną, podobnie jak dochód indywidualny.

Dr. Głąbiński przychodzi też do przekonania, że w obu formach gospodarczych, t. j. indywidualnéj i państwowéj, panuje we wzajemnym stosunku dochodu i potrzeb analogia. Mianowicie w obu tych formach istnieje: 1) tendencya do utrzymania równowagi między dochodem i potrzebami; 2) tendencya do stopniowego wzrostu potrzeb i dochodu; 3) wzajemne oddziaływanie dochodu na potrzeby i odwrotnie, pod wpływem obu powyższych tendencyi; 4) dochód nagina się do potrzeb, gdy ich zakres istotnie i trwale się zwiększy.

Źródła mylnéj zasady, powtórzonéj przez Steina, trzeba, zdaniem d-ra Głąbińskiego, szukać w rozwoju historycznym dochodów państwa. Wzrastające ciągle potrzeby musiały u polityków wywołać przekonanie, że niepodobna z góry oznaczyć stałéj miary podatków, lecz że podatki do potrzeb stosować się winny. Gospodarstwo państwowe, zdaniem autora, ma tylko jedyną charakterystyczną cechę, a jest nią podmiot tego gospodarstwa, państwo. Istota, idea, zadanie państwa stanowią o istocie gospodarstwa państwowego.

Gospodarstwo państwowe, zdaniem d-ra Głąbińskiego, jest nauką państwową, nie ekonomiczną. Jako nauka państwowa, różni się od nauki konstytucyjnéj i administracyi, chociaż z obiema zostaje w ścisłéj styczności. W systemie nauk państwowych należy się jéj więc oddzielne miejsce.

Pomijamy szczegółowe wywody zawarte w rozprawie, nadmieniając, że dowodzą one niewątpliwie oczytania się autora w literaturze przedmiotu oraz ścisłości znacznéj w argumentacyi. Z tém wszystkiém mniemamy, iż różnice poglądów między d-rem Głąbińskim a Steinem są więcéj pozornemi niż rzeczywistemi, albowiem niemieckiemu uczonemu było bardzo dobrze wiadomo, że w podmiocie, t. j. w państwie, leży główna treść gospodarstwa państwowego i różnice od gospodarstwa prywatnego z tego płyną źródła. Tezy też Steina opierają się na téj zasadzie, że potrzeby gospodarstwa państwowego są publiczne, a prywatnego—indywidualne. Natura obu potrzeb wpływa na pewną modyfikacyę zasad w polityce, co nie przeszkadza bynajmniéj, że analogie ekonomiczne, odszukane starannie przez doktora Głąbińskiego, istnieją i tylko polityce ustępować muszą. Na ogólnikowe wyznaczenie miejsca samodzielnego, czy odrębnego, nauce gospodarstwa państwowego, wśród nauk państwowych, zgodzić się trudno. Przecież każdy dział nauki administracyi ma miejsce odrębne i pobratymstwo ściste z naukami, które stoją zupełnie po za obrębem nauk politycznych,

a jednakże wszystkie te działy stanowią jednę naukę administracyi, którą tenże Stein nazwał pandektami nauk politycznych.

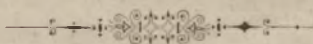
Definicye państwa i władzy państwowéj, podane przez dra Głąbińskiego, są nieco chwiejne, a szukanie początków nauki skarbowéj u św. Tomasza z Akwinu, nie wytrzymuje krytyki choćby dla téj prostéj przyczyny, że odkrycia, które autor przypisuje „anielskiemu doktorowi“ znajdują się już u Arystotelesa. Również zaznaczyć należy, że i Leszczyński nie był pierwszym w dawnéj Polsce, który pisał o skarbowości. Szereg jego poprzedników, choć nie długi lecz poważny.

Z tém wszystkiém praca d-ra Głąbińskiego posiada niewątpliwie dużo zalet i zawiéra niejedno cenne spostrzeżenie, które nakazuje w autorze powitać gruntownego i sumiennego pracownika. *A. R.*

= **Wielkiéj encyklopedyi** powszechnéj ilustrowanéj (wydawanéj nakładem S. Sikorskiego), ukazał się zeszyt 2-gi. Mamy tu dokończenie obszernego artykułu „Absorbcya fizyologiczna“, a z następujących po nim wymienimy jako obszerniejsze: Acacia, Achajowie, Achard L. A., Achenwall Gotfr., Achromatyzm, Acosta Uriel, Acton, Adam. Zeszyt ten, zawierający 8 arkuszy druku, a ozdobiony drzeworytami w tekście i dwoma tablicami litografowanemi, kosztuje kop. 50.

= Zakład Ossolińskich ogłosił **Sprawozdanie** z czynności swoich za rok 1889. Dowiadujemy się zeń, że liczba dzieł drukowanych wynosi 86150, rękopisów 3317, dyplomatów 964, rycin 24868, monet przeszło 20 tysięcy. W pracowni naukowéj było w ciągu roku 2904 czytelników, w czytelni zaś publicznéj wypadało dziennie 51 osób. W sprawozdaniu tém wydrukowana jest rozprawa W. A. Bruchnalskiego: „Geneza Grażyny“.

= Rozpoczęty przed laty kilku druk **Katalogu rękopisów** biblioteki Zakładu nar. im. Ossolińskich we Lwowie, posunął się znowu krok naprzód. W roku bież. dr. W. Kętrzyński wydał zeszyt 1-szy tomu III-go tego katalogu (str. 320), obejmujący rękopisy Nr. 562—937. Większa ich część odnosi się do dziejów Stanisława Augusta, mniejsza zaś pochodzi albo z wieku bieżącego, albo z dawniejszych stuleci; niektóre sięgają XIV wieku.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wybory czy dzieciobójstwo?—Votum nieufności dla krwi i żelaza.—Tryumf gnębionych.—W Prusach Zachodnich.—Na Warmii. — Smutna sława Warszawy. — Brak dozoru.—Spólnicy dzieciobójczyni.—Wina społeczeństwa.—Brak trybunów nędzy.—Kwestya szpitalna.—Ciężkie oskarżenia.—Dwie komisye.—Różnica majątkowa szpitali w Płocku. — Piękne zapewnienia o uczuciach dla dźwięku i pustki w sali odczytów.—Ospa.—Reforma pewna.—Zdanie organu urzędowego Min. Oświaty.

Wybory w Niemczech zbiegły się z wykryciem w Warszawie herodowéj działalności Skoblińskiéj i S-ki i dlatego nie znalazły może dość wolnéj uwagi publicznéj. A stało się to nie tylko u nas. W prasie petersburskiéj poświęcono zbrodni warszawskiéj daleko więcéj miejsca i artykułów, niż nadzwyczajnemu rezultatowi głosowania niemieckiego. Świeżo jeszcze, kiedy dzienniki nad porażką ks. Bismarka oddawna już przeszły do porządku dziennego, w n-rze „Now. Wrem.“ z 8 marca zamieszczono doskonałe portrety 5-ciu dzieciobójczyń i rysunek domu, który morderstwo osłaniał. Pisma angielskie też podobno niemało zdenerwowały publiczność swojemi opisami i rysunkami strasznego odkrycia. W obec tego można się zawahać, który z dwu wypadków posiada większą doniosłość? Ponieważ jestto w znacznéj części rzecz gustu, ponieważ każde założenie da się bronić i może być przedmiotem nieskończonego sporu, więc pytanie to wyminę i zacznę od wyborów z niewinnego względu grzeczności dla sąsiada, a może trochę i z powodu słabości do polityki.

Stronnictwa podtrzymujące ks. Bismarka i podtrzymywane przezeń—zostały na głowę pobite. Wielki tryumf święcą socyaliści i postępowcy, a więc heretycy polityczni, których ks. kanclerz i bitne jego organy ogłaszały nieustannie za wrogów ojczyzny. Innemi słowy, mąż stanu, który Niemcy rozbite spajał krwią i żelazem, który urągał zasadom ludzkości, a wierzył tylko w brutalną siłę materyi, zdumiewał bez-

graniczną pewnością siebie, otrzymał dotkliwe *votum* nieufności od własnych rodaków. Bodaj czy może on dziś żywić i czy żywi nadzieję, aby system jego przetrwał dłużéj niż mu życia starczy, a bodaj nawet system ten skończy się prędzéj, niż dni jego starości dobiegną do kresu.

Jeżeli wybory ostatnie nie są rezultatem prądu chwilowego, jeżeli oznaczają zwrot poważny w opinii, to skutki ich czuć się dadzą wtedy jeszcze, kiedy pamięć o Skoblińskiéj zaginie nawet w tradycyach ulicy Śliskiéj,—a historya zanotuje je jako wypadek bardzo doniosły. Zaświadczą one dobitnie raz jeszcze, że blaskiem powodzeń zewnętrznych, mamidłami potęgi materyalnéj można przyćmić nabytki cywilizacyjne, ale te w końcu—tam naturalnie, gdzie wieki na nie pracowały—wezmą górę. Nie znaczy to wcale, aby obecny parlament zwalił, chciał lub mógł zwalić panujący system, aby pokonać zdołał ks. Bismarka. Wcale nie. Mając armię zjednoczonych Niemiec, a choćby tylko pruską na swoje skinienie, można pomiatać wszelką większością i wszelkim parlamentem. A ks. kanclerz dzisiejszy zaraz na wstępie do karyery ministeryalnéj złożył dowody, że to zrobić potrafi. Ale to zawsze tak się zaczyna, iż siła rodząca się lub odradzająca się jest słabszą od potęgi panującéj, co wcale jednak nie przesądza o przyszłości dalszéj.

W obec zmartwienia z powodu nowego parlamentu, a podobno także kłopotów z młodym cesarzem, ks. Bismark nie zwrócił prawdopodobnie uwagi, że Polacy od ostatnich wyborów, po 3-ch latach natężonéj pracy komisyi kolonizacyjnéj, landratów, żandarmów, sądów, nauczycieli, a gdzieniegdzie nawet księży, posiedli większą liczbę głosów i zdobyli nowe 3 krzesła. Stanowią téż dziś partyę samodzielną, mają prawo stawiać wnioski i mogą wchodzić do komisyj. Co więcéj, niewiele brakowało, aby zjechali do Berlina jeszcze liczniéj, gdyż w paru okręgach chodziło tylko o drobnostkę kilkudziesięciu głosów. Cóż więc będzie, gdy wybory zostaną kiedy uwolnione z pod nacisku rządowego i pozostawione sobie samym!

Można przypuścić, że nawet junkier pruski, nawet godny naśladowca cynizmu fryderykowskiego, słyszy czasami, po przepełnieniu miary krzywd i gwałtów, głos protestu wewnętrznego. Łzy, wyciśnięte w Poznańskiém, nie zdołały przeważyć racyi stanu, ale może jednak kilkoma chociaż kroplami gryzącego wyrzutu spadły na serce kanclerza żelaznego. Udawał może tylko, że ich nie czuje, bo liczył, że to posunie na wschód granicę etnograficzną Niemiec. I oto karczowany las odrasta, pleni się, nie można znaleźć siekier tylu, aby wydołały sile żywiołu, czerpiącego soki z ziemi rodzinnéj. Zda się nawet, że posiew pruski nietylko zawiódł, lecz przyniósł owoce wprost przeciwne, niż oczekiwano w Berlinie. W Prusach Zachodnich, w okręgu susko-lu-

bawskim, gdzie dotąd zawsze wybierano Niemca, przeszedł dr. Rzepnikowski z Lubawy. Na Warmii, wcielonéj do Prus sto kilkanaście lat temu, w chwili najgorszego upadku, gdzie inteligencya jest germańską z ducha i mowy, gdzie ksiądz z ambony nakazywał głosować na Niemca, prości chłopi postawili po raz pierwszy kandydaturę swego rodaka i ten w pow. olsztyńskim otrzymał 4,625 głosów. Nie przeszedł, bo dawny wieloletni poseł, ks. kanonik Borowski (Niemiec), który miał wybór zapewniony, umarł na kilka tygodni zaledwie przed wyborami i agitacya nie miała czasu zajść dosyć daleko od miejsca swego powstania (wiec w Olsztynie 7 lutego), to też powiat reszelski głosował na Niemca. Korespondent jednak do „Kraju“, rodowity warmiak, niegrzeszący optymizmem, raczéj pessymista, który wcale przy tych wyborach nie przepowiadał tryumfu pana Szczepańskiego, zapewnia, iż w przyszłości kandydat chłopski może odnieść tryumf. A ten okręg raz zdobyty, już się chyba Niemcom napowrót nie dostanie. Komisya kolonizacyjna na Warmii nie zdołałaby może jednego kawałka ziemi zagarnąć, gdyż obywateli zrujnowanych tam niéma, a chłopi-„gbury“ mają się doskonale i gospodarstw swoich trzymają się mocno, żadna siła wyważyć ich nie zdoła.

A teraz z kolei przejdźmy do dzieciobójczyni, dzięki któréj Warszawa od pogromów żydowskich w r. 1881, po raz pierwszy używała szerokiego rozgłosu na szerokim świecie. Smutna sława, chociaż, co prawda, nie wyzyskano jéj w ten sposób, jakbyśmy to uczynili, gdyby spotkała sąsiada którego. Ani pisma zachodnie, ani wschodnie nie urągały nam, nie przypisywały winy zepsuciu obyczajów społeczeństwa całego, nie znaleźliśmy tam tych wykrzykników potępienia, jakie aż do przesytu mogliśmy czytać w pismach warszawskich, po drastycznych niegdyś odkryciach „Pall-Mall-Gazette“ i jakie zawsze gotowiśmy wygłaszać po każdém skandalicznem zajściu we Francyi. Różnicę w części przypisać należy większemu wyrobieniu i rozsądkowi, a może lepszemu wychowaniu ludzi zachodnich, w części zaś niezupełnéj zapewne czystości sumienia własnego, które szepcze obawy, czy jakiś dalszy lub bliższy pożar nie odkryje w innym kraju lub w innem mieście podobnego przytułku dzieciobójstwa.

Bardzo ważną stronę téj sprawy podniosły pisma ruskie. Mianowicie „Moskowskija Wiedomosti“ (nr. 43), oraz najbardziéj dziś może wpływowe „Nowoje Wremia“ (nr. 5,018), a za niemi inne zwracają uwagę na brak dozoru, a przypuszczając, że on istnieje również gdzieindziéj, domagają się ścisłéj rewizyi we wszystkich większych miastach. Wedle ich mniemania, procedery podobne praktykują się

wszędzie, a nazwisko Skoblińskiéj może być śmiało uważane za nazwę pospolitą zjawiska powszechnego.

Nie trzeba dowodzić, bo wszyscy to widzą, iż dach spadający na ulicy Śliskiéj odsłonił ranę społeczną, dotkliwą a trudną do wyleczenia. Przerażona opinia szuka ratunku i takowy dostrzega w publicznych przytułkach dla dzieci opuszczonych. Dzięki temu, powstało wiele różnorodnych projektów i pomysłów tego rodzaju instytucyj. Na szpaltach „Ateneum“ znaczenie społeczne przytułków roztrząsać będzie pióro od mego kompetentniejsze, ograniczam się więc na zaznaczeniu objawu, dodając, że chociaż w mniejszości stanowczéj, opozycya znalazła się jednak (np. „Prawda“) i że głosy jéj zasługują na poznanie i uwzględnienie.

Prócz tego, pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę, że trupiarnia Skoblińskiéj—to kwiat wyrastający z ziarna, rzuconego nie jedną ręką na glebę, uprawioną przez mnóstwo innych nadużyć, wskutek wielu przyczyn; do jaskini takiéj najczęściéj konieczność popycha matek tysiące. Jeżeli społeczeństwo nie wejrzy w przyczyny złego, będzie jak człowiek, który oszczędza sobie przykrości przez zatknięcie nosa i pozostawia nienaruszoném bagnisko, ziejące zarazą.

Skoblińska to tylko jedna ze spólniczek występku, to drobna cząstka zbrodniczéj mnogości. Po kraju całym liczne roje pająków snują siatkę, czyhają na nędzę, tworzą nędzę, aby żyć z niéj. Nietylko morderczyń ostatecznych szukać należy, bo to doprowadzi jedynie do zastąpienia jednéj megery drugą, jednéj nory inną, gorszą może. Spólniczkami Skoblińskiéj są szynkarze, żyjący ze zgubnych namiętności i paserstwa; są właściciele lombardów, którzy praktykują otwarcie, publicznie lichwę (96% patrz nr. 8 „Kraju“ r. b.); spólniczkami bezpośredniemi dzieciobójczyń są stręczycielki, których legion, które są bardziéj winne od nędzarki Skoblińskiéj, które życie pędzą wśród wygód, okupionych krzywdą jednostek i upadkiem społeczeństwa, które wreszcie drwią sobie z kontroli i zakazów, bo je zawsze osłoni można ręka wdzięcznych klijentów. Jestto straszny kontrast życia, że niejeden, co dzisiaj szczerze i z głębi serca oburzał się na potworne rzemiosło Skoblińskiéj, jutro, ba, za kilka godzin może, uśmiéchać się będzie słodko do stręczycielki. Gdyby kto zdołał kiedy odkryć i pokazać światu to bagnisko, straszne rozmiarami i głębokością, przekonalibyśmy się może, iż bez udziału stręczycielek, bez ich zapobiegliwości, bez ich energii i ostatecznego braku uczuć ludzkich, obyczaje nasze byłyby stokroć czyściejsze, a strasznych zbrodni dzieciobójstwa stokroć mniéj.

A jednak nie dzielą one i nie podzielą losu Skoblińskiéj!

Co więcéj, nikt chyba nie powié, że społeczeństwo całe wolne jest w tym razie od winy. Bodaj nawet, czy nie spada ona na nie przedewszystkiém. Pomiędzy obowiązkami téj cząstki ogółu, która korzysta z licznych przywilejów stanu, wygód życia i światła, do najpierwszych należy troska o dobrobyt powszechny, o pomyślność i zdrowie tych mas upośledzonych, które nie znają właściwych ścieżek postępowania, nie mają środków ratunku. A tymczasem my obojętném okiem spoglądamy na stan okropny klas niższych, tolerujemy wszelki wyzysk nędzy.

Wszędzie w większych miastach Europy postarano się o ludzkie mieszkania dla robotników, dostępne nawet dla zupełnego ubóstwa,—u nas tłumy robotnicze pozbawione są materyalnéj podstawy życia rodzinnego, marnieją w norach bez światła i ogniska (patrz „Kwestya mieszkań“ Suligowskiego).

Dopiéro téj zimy założona została pierwsza w Warszawie kuchnia prawdziwie ludowa na ulicy Piwnéj i projektowaną jest druga na Czerniakowskiéj. Przebieżmy wyobraźnią obszary robotniczych krańców Warszawy i Pragi, co za drobne znaczenie mieć mogą te dwa punkty, a jednego z nich przecie jeszcze niema, drugi ledwie że powstał.

Gdzie te tłumy spędzają chwile odpoczynku wieczorami i w święta, gdzie i jak się bawią setki tysięcy biedaków, co zajmuje ich umysł i serce—o tém, zdaje się, nikt dotąd nie myślał, lub jeżeli myślał, nie znalazł odgłosu wśród społeczeństwa, bo na seryo sprawa ta nie była u nas nigdy na porządku dziennym.

Zadawalniamy się mdłą i leniwą dobroczynnością biurową, która nic uczynić nie zdoła choćby dlatego, że środki jéj są niemal niedostrzegalne w obec potrzeb. Szuka ona zresztą i niesie pomoc tylko na krańce nędzy, zaognionéj nieszczęściem, a tu klasa cała, w najzwyklejszym stanie potrzebuje opieki i pomocy.

Nietylko nie wytężaliśmy sił wszystkich, aby zapobiegać złemu, ale bodaj czy dziś zapobiedz czemukolwiek potrafimy, bo bodaj czy kto zna dokładnie stan materyalny i duszę otaczającego nas biedactwa.

Za pewnik uznać należy, że poprawa rozpoczynać się winna nie od skutków, lecz od przyczyn. A przytém biurowo uorganizowana instytucya—to pomoc zawsze niedołężna; nie instytucye są głównie potrzebne, lecz ludzie, których pamięci nie opuszczałaby nigdy myśl o niedoli mas, którzyby życie swoje poświęcili niesieniu pomocy niedoli,

którzy byliby nieustannie pośrednikami pomiędzy społeczeństwem a nędzą: trybunami nędzy i organami działalności społecznéj.

A nie składajmy winy na ciężkie warunki, bo one wymagały większéj pracy i większéj energii, a na usprawiedliwienie nie mamy nawet starań powszednich.

Niejakie pokrewieństwo łączy kwestyę przytułków z kwestyą szpitali. A właśnie co do ostatniéj toczyły się w ubiegłym miesiącu po dwakroć bardzo ciekawe rozprawy w sekcyi technicznéj Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Na skutek odczytu p. Goldberga zebrani budowniczowie oraz lekarze (pp. Bujwid, Dunin, Natanson i inni) obradowali nad tém, jakie budynki szpitalne są w ogóle najodpowiedniejsze i o ile wymaganiom sanitarnym odpowiadają te budynki w Warszawie.

Aby dać czytelnikom poznać, na czém polega kwestya szpitali i jaką posiada doniosłość, oraz dlaczego może i powinna interesować szeroki ogół, przytoczę kilka cytat:

Przedewszystkiém poznajmy zdanie p. Diday, wypowiedziane w „*Gazette médicale de Lyon*“:

„Gdy robotnika rani maszyna, co się z nim dzieje? Zasada ogólna—oddają go do szpitala. Co znajduje on w szpitalu? Opiekę i dozór w każdéj chwili, biegłość najwyższą, współczucie najczynniejsze, ale zarazem atmosferę szpitalnianą, która z trzech nieszczęśliwych zatruwa co najmniéj jednego. Nauka stoi w obec tego bezsilna i biadać jedynie może, nietylko stwierdza ona klęskę istniejącą, ale pomimo wszelkich możliwych ulepszeń, rozpacza o przyszłości, widząc niemożliwość posunięcia tych ulepszeń po za pewną granicę. Jestto więc fakt stwierdzony, niezaprzeczalny, że na stu ranionych i odniesionych do szpitala, około trzydziestu umiera przez szpital, którzy, gdyby mieli środki leczenia się w domu, niewątpliwie byliby uratowani“.

Teraz posłuchajmy, co twierdzi Baron w dziele p. t. „*Le Paupérisme*“, uwieńczoném pierwszą nagrodą na konkursie Pereire'a w roku 1882:

„Zestawiając śmiertelność w szpitalach ze śmiertelnością ludności w ogóle w r. np. 1876 (we Francyi) znajdujemy, że prawdopodobieństwo śmierci w szpitalu jest czterdzieści dwa razy większe, niż przy zwyczajnych warunkach istnienia. Jeżeli porównamy średnią liczbę dni trwania choroby w szpitalu ze średnią liczbą dni choroby członków towarzystw wzajemnéj pomocy, leczących się w domu, przekonamy się, że dla szpitali wynosi ona 36 dni, zaś dla chorych, pielę-

gnowanych w domu, zaledwie 19. Wreszcie procent śmiertelności w szpitalach (z pomiędzy ogółu leczonych) wynosi 10%, pomiędzy zaś członkami towarzystw wzajemnéj pomocy (którym towarzystwo daje zapomogę na lekarza, na aptekę, jak również zasiłek na życie dla rodziny chorego) tylko 6%. Nie mówię już o epokach epidemii, podczas których szpital staje się grobem wszystkich, lub prawie wszystkich, co doń weszli. Jeżeli cyfry te są prawdziwe, szpital jest raną, którą należy jaknajprędzéj zamknąć. Najlepszy z nich pod względem materyalnym nie wart jest najsmutniejszego poddasza, najmarniejszéj lepianki".

Przechodząc do moralnych skutków szpitala, Baron mówi:

„Pod względem rodzinnym szpital również jest szkodliwy dlatego, że źle jest odzwyczajać członków rodziny od obowiązku solidarności, źle jest, gdy żona nie pielęgnuje męża, a dzieci—matki. Nie widzę nic, coby przemawiało za szpitalem, wszystko go potępia, nic go nie broni, chyba może interes pewnéj liczby ludzi bezżennych, którzy świat przebiegają bez rodziny i krewnych, a to zbyt mało dla utrzymania instytucyi, przynoszącéj szkodę pod wszystkiemi względami".

Daléj rozpatruje autor nakłady, jakie społeczeństwo ponosi dla wzniesienia i utrzymania szpitali. Powołując się na świadectwo d-ra Armanda Deprés, chirurga ze szpitala *de la Charité* w Paryżu, podaje wartość nieruchomości szpitali francuskich, ich dóbr ziemskich oraz kapitały w bankach na 2½ miliarda franków, co reprezentuje (według tegoż chirurga) dochód roczny 125 milionów, z tego na chorych przypada 85 milionów (reszta na przytułki dla starców i dzieci). Ponieważ przeciętnie szpitale posiadają 410,000 pacyentów rocznie, więc jedna choroba kosztuje przeszło 200 fr. Wedle tego rachunku, 220,000 chorych, członków towarzystw pomocy wzajemnéj, pochłonęłoby 44 miliony, a tymczasem kosztowali oni tylko 16 milionów. A przytem w liczbie ostatniéj znajduje się 5,246,000 fr. zapomogi dla chorych i 525,000 fr. wsparcia dla wdów i sierót.

Powyższe twierdzenia przytoczyłem bynajmniéj nie dlatego, aby je ogłosić za wyrok bezstronny i kompetentny, a więc słuszny. Pragnąłem tylko zwrócić uwagę na to, jakie istnieją podejrzenia (w najlepszym razie) co do szpitali. Chociażby głos Barona był tylko jednostronném oskarżeniem prokuratorskiém, zasługuje on na uwzględnienie, a obrona przez kogoś, widzącego rzeczy inaczéj, jużby całkowicie sprawę oświetliła. Zdaje się zaś, że opinia, która tak żywo wzięła do serca marnowanie się życia dziecinnego, powinna interesować się i wedle możności czuwać nad instytucyami, gdzie chodzi równie o życie i nie dziesiątek lub setek, lecz tysięcy, i nie opuszczonych niemowląt, lecz częstokroć ojców i matek rodzin.

Wątła jest jednak nadzieja, czy czarne malowidło Barona dałoby się bardzo osłabić. Też same dane u nas brzmiałyby jeszcze cmentarniéj. Przynajmniéj tak wnosić można ze świadectwa kompetentnych lekarzy, złożonego na zgromadzeniu wyżej wspomnianém w Tow. pop. przem. i handlu. Większość ich znaczna wielkie gmachy uznała za szkodliwe: przewietrzyć ich niepodobna, zarazków chorób wszelkich usunąć nie sposób. To téż jako ideał szpitala wskazano barak, który nietylko rozebrać, lecz w razie potrzeby spalić można i wybudować nowy. W najgorszym razie żądano przynajmniéj pawilonów na kilka lub kilkanaście łóżek. Zgromadzenie wybrało nawet komisyę, złożoną z lekarzy i budowniczych, którzy mają opracować wzorowe typy budynków szpitalnych.

Wszystko, co mówił Baron, stosowało się wyłącznie do gmachów dużych; baraki są, zdaje się, wynalazkiem nowym, o którym Baron prawdopodobnie jeszcze nie wiedział, a w każdym razie w dowodzeniach pod uwagę nie wziął. Stanowią zaś one ratunek na tę właśnie ranę, którą on wskazywał, ratunek zdaje się nietylko praktyczniejszy, lecz jedynie możliwy, gdyż bodaj czy nawet społeczeństwa z towarzystwami pomocy wzajemnéj, rozwiniętemi do ostatniéj granicy, mogłyby się obyć bez szpitali. Bądź co bądź, ucieczka do nowego typu szpitala dowodzi, że oskarżenia Barona nie były tylko wybuchem pesymizmu, że odpowiadały one choć w części rzeczywistości, kiedy inni ludzie—lekarze—również się o tém przekonali i szukają ratunku na klęskę gmachów szpitalnych. Cała ta sprawa nie jest bynajmniéj zagadnieniem teoretyczném, przeciwnie wiąże się ona jak najściśléj z życiem. Kwestya szpitali stoi w kraju całym na porządku dziennym, a u nas niéma przed niemi ucieczki do nieistniejących towarzystw pomocy wzajemnéj. Chodzi więc o rzecz bezpośrednio dotykającą dobrobytu całéj ludności miejskiéj.

W Warszawie szpital Dzieciątka Jezus ma być przeniesiony do nowego gmachu na t. zw. Folwarku Świętokrzyskim. W Płocku mają zamiar budować jeden lub dwa szpitale nowe. W Chełmie krzątają się koło czegoś podobnego. A bodaj zresztą czy jest w całém Królestwie choć jedno miasto gubernialne i większe powiatowe (w mniejszych niéma wcale szpitali), które byłoby zadowolone ze swego szpitala.

Narady więc i wnioski ludzi najkompetentniejszych w Warszawie przypadły jak najbardziéj w porę i wątpić niepodobna, aby one, jak również rezultat pracy komisyi, nie zostały wykonane, lub przynajmniej wzięte pod uwagę przy budowie nowego szpitala. Należy się tego spodziewać, témbardziéj, że komisya szpitalna (nie Tow. pop. przem. i handlu, lecz budowy nowego szpitala) zapowiedziała, iż prosić

będzie o radę i informacye ludzi kompetentnych; wysyła też ona podobno jednego z członków swoich za granicę, aby poznał ulepszenia już tam urzeczywistnione.

Czy prowincya zastosuje się do wskazówek powag krajowych — nic dotąd niewiadomo. Do Warszawy dochodzą z prowincyi (szczególniej z miast, które, jak Płock w téj chwili, nie posiadają własnego organu) tylko niedokładne pogłoski, mniéj pewne, niż z odległych stolic Europy. A przytém narada budowniczych i lekarzy odbyła się w karnawale, kiedy sprawozdania balowe zostawiały zbyt mało miejsca na sprawy mniéj wesołe.

W korespondencyi z Płocka, zamieszczonéj w nr. 50 „Słowa", jest wprawdzie mowa o „zastosowaniu najnowszych przepisów lekarskich i uwzględnieniu ostatnich w téj dziedzinie wynalazków i ulepszeń", ale sakramentalne te wyrażenia wyglądają trochę na przyniesienie przepisanéj ofiary bogom nieznanym, a daléj jest już mowa o względach całkiem innych. Dwa istniejące szpitale „Św. Trójcy" i „Św. Aleksego" posiadają fundusze niejednakowe. Pierwszy ma 99,400 rs. kapitału i 5,500 rs. dochodu, drugi—tylko 10,910 rs. kapitału i tylko 1,600 rs. dochodu. Czy więc należy łączyć biedaka z bogaczem? Zdania się podzieliły. Bardzo być może, iż istnieją jakieś poważne powody, stające na drodze połączenia gmachów, czy funduszów, korespondent jednak o nich nie wspomniał. Jako racyę, przemawiającą za połączeniem, podano w płockiéj radzie gubernialnéj dobroczynności publicznéj — oszczędność: jedna administracya, jedna kuchnia, jedna usługa, jedna apteka, taniéj kosztować będą. Gdyby twórcy projektów w Płocku wiedzieli, co w sprawie odnośnéj uradzono w Warszawie, oba względy dałyby się może pogodzić — wspólna administracya pawilonów lub baraków z odosobnieniem kapitałów—każdy szpital miałby liczbę budyneczków proporcyonalną do środków.

Byłoby bardzo pożądaném, aby lekarze nie ograniczali się w téj sprawie do przemówień w sali zamkniętéj i do referatów w pismach specyalnych, lecz aby objaśnili publiczność, jak ta rzecz stoi, w teoryi przynajmniej. Rozbudzenie opinii zawsze coś znaczy.

Coroczne odczyty na dochód „Tow. osad rolnych i przytułków rzemieśl." w sali ratuszowéj już się rozpoczęły. Przemawiał dr. Bujwid o chorobach zakaźnych i o szczepieniach ochronnych". Wprzód nim się ukazał na katedrze prelegent, wypadło obejrzéć audytoryum. Od niego też zaczniemy. Nadmierny zapał nasz do teatru tłómaczymy zwykle gorącém, entuzyastyczném przywiązaniem do dźwięków: ukochaliśmy teatr, bo tam je słyszéć możemy. Tymczasem sala ratuszowa

była zapełniona może w trzeciéj części, może nieco więcéj! A pamiętać należy, że Osady rolne cieszą się uznaniem publiczności warszawskiéj, że dr. Bujwid jest osobistością znaną i popularną, że bakterye są w modzie, mogą i powinny każdego interesować, a szczepienia ochronne obchodzą bezpośrednio tyle matek i ojców. Jeżeli dodamy, iż na innych odczytach bywa jeszcze mniéj osób, że dla półmilionowego miasta zapełnienie kilka razy do roku jednéj sali nie byłoby niczém nadzwyczajném, to oprzéć się niepodobna przypuszczeniu, że deklamacya o dźwięku jest blagą. Może to bluźnierstwo, ale co warte zapewnienia bez faktów!

Na odczycie widzieliśmy przedewszystkiém na widmie mikroskopu słonecznego bakterye: gangreny, karbunkułu, cholery i tak daléj; widzieliśmy je w stanie pomyślnego rozwoju i pochłonięte przez białe ciałka krwi — kiedy organizm wziął górę nad chorobą, zwycięsko odparł atak bakteryi. Dowiedzieliśmy się na czém polega, z punktu teoryi bakteryologicznéj, szczepienie ochronne. A nareszcie usłyszeliśmy fakt, że kiedy w r. z. był tydzień, przez ciąg którego ospa zabrała w saméj Warszawie 50 ofiar, w całych Niemczech, gdzie szczepienie (w wojsku i szkołach nawet podwójne) jest obowiązujące, przez rok cały straszna ta choroba spowodowała tylko 30 śmierci! Ponieważ zaś (o tém dr. Bujwid nie wspominał) spodziewany jest powrót epidemii na wiosnę, stąd więc wniosek, aby rodzice, którym życie dzieci miłe, nie ociągali się ze szczepieniem.

Wszyscy już zapewne czytelnicy „Ateneum“ słyszeli o zamierzonéj reformie programu gimnazyów w całém państwie. Główny punkt, zasadę niejako reformy stanowić ma zmniejszenie klasycyzmu, t. j. rozległości kursu języków starożytnych, wymagań egzaminowych, oraz naturalnie ilość godzin. Ostatnie zastąpione zostaną przez naukę języka ruskiego. Myśl reformy powstała bardzo niedawno, kilka miesięcy zaledwie temu, a wzięto się do dzieła, wskutek czynnéj inicyatywy samego p. Ministra Oświaty, bardzo energicznie; pracowało kilka komisyi i już z początkiem przyszłego roku szkolnego obowiązywać będzie nowy program.

Zamiarom i staraniom p. Ministra odpowiedziało jednozgodne echo pragnień ogółu w całéj Rosyi. W licznych i często bardzo gorących artykułach wszystkich niemal pism petersburskich i moskiewskich czuć, jak gdyby zwalenie się z piersi ciężkiego kamienia klasycyzmu. To téż dzisiejszy system przejdzie do przeszłości, żałowany bardzo mało, lub wcale może przez nikogo nie żałowany. Co więcéj, panujący stan rzeczy w ostatnich dniach swego żywota doczekał bardzo dotkliwych zarzutów w piśmie urzędowém ministeryum oświaty —

w *„Żurnału min. narod. proświeszczenija"*. Cios wypadł z pod pióra prof. uniwersytetu kijowskiego, p. Kułakowskiego. Żałuję mocno, iż brak mi tu miejsca na przytoczenie całego artykułu, bardzo ciekawego, opartego na znajomości rzeczy, obfitującego w uwagi niezmiernie trafne. Ograniczyć się muszę do wyjątków.

Prof. Kułakowski wielką część winy niepowodzenia klasycyzmu zwala na nauczycieli. Oto jak myśl jego streszcza „Now. Wrem. (Nr. 5019): „Dobry nauczyciel języka greckiego stanowi dosyć rzadki wyjątek, większość nie posiada ani wiedzy odpowiedniéj, ani taktu niezbędnego, nie okazuje ani gorliwości, ani sumienności w spełnianiu obowiązków; dla tego przy obecnym stanie rzeczy najważniejszą kwestyą stanowi: jak pedagog w klasie wykłada? Wykłada on wedle autora tak: nauczyciel nie uczy uczniów, lecz stara się zmusić ich do nauki, a środek do tego znajduje w zadawaniu lekcyi, a potém słucha; jest to wieczny egzaminator; całe zadanie zasadza on na łapaniu niewiedzy uczniowskiéj. Większość nauczycieli języków starożytnych z *praeceptores* przedzierzgnęła się w *inquisitores*, w sług ś. p. *sancti officii*".

„Nigdzie — mówi autor — korepetytorstwo nie rozpowszechniło się tak jak u nas, tłómaczy się to tém, że nauczyciele języków starożytnych nie uczą, nie wykładają, lecz tylko zadają lekcye. Nie — przyczyna nadmiaru korepetytorstwa tkwi w spotęgowanych, sztucznych trudnościach, któremi przeładowany jest system cały i w tém, że z pomiędzy rodziców, czwarta część nawet nie jest w stanie okazać jakiejkolwiek pomocy dzieciom przy nauce języków starożytnych... Korepetytorów biorą zwykle do dzieci z klas niższych, którym wedle wskazówek planu nie należy dawać do domu jakiejkolwiek pracy bez należytego, uprzedniego wytłómaczenia. Ale wszystkie tłómaczenia nie pomagają, lekcye przechodzą siły dzieci wskutek zasad fałszywych, na jakich oparty został system".

Bardzo ciekawe, pouczające są uwagi p. Kułakowskiego o szczegółach nauczania języków starożytnych.

„Praktyka szkoły europejskiéj — posługuję się streszczeniem „Dziennika łódzkiego" (Nr. 56) — i teorya pedagogiczna wskazują, że celem nauczania języków starożytnych w gimnazyach, jest poznanie życia i literatury świata starożytnego. Tymczasem autorzy ustawy r. 1871 i obrońcy klasycyzmu mówili dużo, niestety zbyt dużo o formalnym rozwoju umysłowym, zapomocą nauczania gramatyki języków starożytnych. Rozumowania te streszczały się w wyrażeniu banalném „gimnastyka umysłu". Frazes przypadł bardzo do smaku wielu osobom, nader płytko obznajmionym z pedagogiką. Obrońcy klasy-

cyzmu nie rozumieli, że przez tego rodzaju traktowanie sprawy tracili dużo na sile: oczywiście „gimnastyką umysłu“ może być gramatyka każdego języka. Takie niezrozumienie wpłynęło na charakter planów naukowych w gimnazych i ujawniło się z całą siłą w „komentarzu do planu naukowego języków starożytnych“. A ponieważ „plany naukowe“ i „komentarz“ musiały nadać charakter wykładowi języków starożytnych, przeto na ostatnim odbiła się cała fatalność téj pomyłki. Tutaj kryje się źródło i główna przyczyna niepomyślnych rezultatów nauczania języków starożytnych w gimnazyach.

Gramatyka, któréj zadanie polega wyłącznie na umożliwieniu zrozumienia autorów, z przedmiotu pomocniczego mianowaną została przedmiotem niezależnym, głównym. „Wykład gramatyki, jako przedmiotu niezależnego — mówi organ urzędowy — prowadzony jest we wszystkich klasach gimnazyum, od najniższéj do najwyższéj i kończy się stwierdzeniem faktu powszechnego, że odpowiedzi piśmienne uczniów na egzaminie dojrzałości dowodzą ich nieobeznania z najelementarniejszemi zasadami gramatyki języków starożytnych“.

Ćwiczenia piśmienne w tłómaczeniu z języka ruskiego na łaciński lub grecki, tworzą także jakoby oddzielny przedmiot z oddzielnie wyznaczonemi godzinami. I nawet przedmiot ten zajął najwybitniejsze miejsce w kursie gimnazyów ruskich. „Nauczyciele gimnazyalni— mówi prof. Kułakowski — wiedząc, iż powodzenie nauczania gimnazyalnego mierzy się przedewszystkiem tłómaczeniami egzaminowemi z ruskiego na języki starożytne, używają często większéj części swych lekcyj na nieustanne powtarzanie gramatyki. Czytanie autora starożytnego często sprowadza się tylko do powtarzania oddzielnych reguł gramatycznych z powodu danego zdania, danego zwrotu, danéj formy, napotkanéj w czytanym tekście. Treść tekstu znika zupełnie wobec objaśnień jego budowy i łapania uczniów na nieznajomości trudnéj dla nich gramatyki. Czytanie autorów jest zupełnie pochłonięte przez gramatykę i tłómaczenia piśmienne“.

Minął już bezpowrotnie czas, kiedy języki łaciński i grecki były dla nauki zawsze jeszcze językami żywemi; teraz przestały one być nawet językami nauki, ożywienie zaś ich jest niemożliwe i niepotrzebne. Tłómaczenia piśmienne mogą być żywym środkiem dydaktycznym, lecz tak jak obecnie stoją rzeczy w gimnazyach, zamiast korzyści, przynoszą szkodę niemałą. Wywierają one wpływ demoralizujący na uczących się i są jedną z głównych przyczyn niepomyślnego rezultatu zaprowadzenia klasycyzmu. Stanowią one oddzielny niezależny przedmiot nauczania, a przytém najtrudniejszy i niepokonalny;

w wyższych klasach tłómaczenia piśmienne wszędzie są jarzmem, ciążącém jednakowo na uczniach i na nauczycielach.

„Ogromna większość uczniów — zamyka prof. Kułakowski swój artykuł — kończy kurs, przesiadując po dwa lata w jednéj klasie i niepotrzebnie tracąc czas, przechodzi naukę byle jak i dociąga ją do końca tylko dzięki przywilejowi, jaki daje patent gimnazyalny, a mianowicie: prawu wstąpienia do uniwersytetu. Wprowadza to nienormalny i szkodliwy praktyczny pogląd na sprawę nauczania w szkole, która ze swego założenia winna urzeczywistniać piękną i czystą ideę wykształcenia humanitarnego“.

Lus.

NEKROLOGIA.

† **Bolesław Lutostański**, urodzony w Warszawie r. 1837, ukończywszy średnie wykształcenie w Królestwie, odbył studya medyczne w Heidelbergu; osiadłszy w Krakowie od r. 1867, brał bardzo żywy udział we wszystkich sprawach ogólniejszéj natury, należał do redakcyi dziennika „Kraj“, zajmował się zdrojowiskami galicyjskiemi, kreślił liczne artykuły publicystyczne i rozprawy naukowo-lekarskie, jako to: „Jad cholery i odtruwanie przenośników tegoż jadu“ (Kraków, 1867, str. 136), „Zbieranie szczegółów statystyczno-lekarskich i materyałów epidemiologicznych“ t. 1870, str. 180), „O księgach zejścia, studyum statystyczno-lekarskie“ (t. 1870, str. 32), „Działanie i użycie lecznicze kumysu“ (t. 1872), „Higiena zastosowana do potrzeb życia osobniczego i społecznego“ (t. 1873, 4), „Szczawnica“, „Żegiestów“ (t. 1874), „Iwonicz“ (1875—77). Zabiérał głos w sprawie reformy szkolnéj, w sprawie wodociągów m. Krakowa. Był jednym z najczynniejszych spółpracowników organu demokratycznego w Krakowie. W ostatnich latach był dyrektorem zakładu kąpielowego w Truskawcu, gdzie téż umarł 25 lut. r. b. Cześć pamięci czynnego i zasłużonego męża.

† **Katarzyna z Lipińskich Lewocka,** siostra Tymoteusza Lipińskiego, ur. 1799 roku w Zelwie na Litwie, wyszedłszy za mąż za Onufrego Lewockiego, jeneralnego wizytatora szkół w Królestwie od r. 1829, należała do szczupłego naówczas kółka kobiét poświęcających się literaturze, a skromny jéj salonik zgromadzał w ciągu lat kilkunastu w piątki wszystkich wybitniejszych przedstawicieli piśmiennictwa

w Warszawie. Rozpoczęła zawód literacki od przekładu młodzieńczéj powieści W. Hugo „Bug Jargal albo Powstanie w St. Domingo“ (Warsz. 1829, str. 288). Następnie spróbowała sił swoich w dramacie, napisawszy w 3-ch aktach prozą „dramę z wydarzenia prawdziwego“ p. n. „Kasper Owczarek“ (Warsz. 1832); wreszcie przeszła do powieściopisarstwa dla młodzieży i ludu miejskiego, i skreśliła parę udatnych i w swoim czasie popularnych obrazków, jako to: „Bal w resursie i dworek na Topielu“ (Warsz. 1838), „Powiastki dla dzieci z prawdziwych wydarzeń“ (Warsz. 1837), „Powieści starego sługi dla swoich kolegów“ (Warsz. 1840, drugie wyd. we Lwowie, 1849), „Krótki rys życia św. Jadwigi“. Kiedy grono literatek, pod przewodnictwem Pauliny Kraków, zaczęło wydawać od 1838 noworocznik, wyłącznie z pism kobiecych złożony p. t. „Pierwiosnek“, Lewocka należała do najwytrwalszych jego spółpracowniczek aż do czasu, gdy wydawnictwo przerwane zostało w 1843. Potém brała udział w czasopiśmie dla młodocianego wieku „Zorza“ wydawaném przez P. Kraków i Walentynę Trojanowską, w „Przyjacielu ludu“, wychodzącym w Lesznie, w „Rozrywkach dla młodzieży“ S. Pruszakowéj, w „Czytelni niedzielnéj“ Petrowowéj, w „Kółku domowém“ Śmigielskiéj; pisywała téż do „Piśmiennictwa krajowego“, które w r. 1840 ogłaszał Skimborowicz, jako dodatek do „Gazety porannéj“, a potém pomieszczała artykuły w „Gazecie codziennéj“. Zmarła w Warszawie 23 lutego r. b.

† **Józefa z Wilmontów Chybińska,** ur. 1858 r., owdowiawszy w 20-ym roku życia, poświęciła dziesięć lat kształceniu się zagranicą w kierunku przyrodniczym; ukończywszy wydział matematyczno-przyrodniczy w Zurichu, otrzymała przed dwoma laty na konkursie w Sztokholmie 5,000 fr. nagrody za monografią o wynalazkach elektrotechnicznych. Mając nadwątlone nadmierną pracą zdrowie, wyjechała wówczas do brata, Teofila Wilmonta, właściciela majątku Kotulice pod Odesą. Tam po 2 latach ciężkich cierpień, 8 lutego r. b. krótkie swe życie zakończyła.

SPROSTOWANIA.

W zeszycie styczniowym

str. 41, u dołu,	zamiast „versezte“	ma być „verzerte“
— 45, wiersz 13 od dołu	— „succubi“	— „incubi“
— 51, — 21 —	— „Madusze“	— „Madurze“

Wydawcy **W. Spasowicz i Adolf Pawiński.**—Redaktor **P. Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale IV-tym 1889 r.

1. **Odmiana rzeczownika, zaimka i przymiotnika** w języku staropolskim na podstawie kodeksu Floryańskiego ze stanowiska gramatyki porównawczej. Zakończenie. Napisał profesor *Steiner Alojzy*. 8-o, str. 64.
2. **Historya wojny Chocimskiej 1621 r.** Przez *Józefa Tretiaka*. Lwów, nakł. księg. Seyfartha i Czajkowskiego, 1889, 8-o, str. 235 i karty nlb. 2.
3. **Sprawozdanie** Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za dziewiętnasty rok istnienia Towarzystwa. Warszawa, 1889, 4-o, str. 77.
4. **Dwie księgi Hipokratesa.** (I. O powietrzu, wodach i okolicach; II. O lecznictwie pierwotnem; III. Przykazanie Hipokrata), z greckiego na język polski przełożył i przypisami objaśnił *Dr. Henryk Łuczkiewicz*. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. XVI i 130.
5. *Józef Kuczyński.* **Poezye.** II. Warszawa, 1890, str. 159.
6. **Szatan** (powieść wschodnia) *Lermontowa*. Z wydania szóstego przełożył *Michał Koroway-Metelicki*. Warszawa, 1889, str. 35, (cena 25 kop.).
7. **Historya rewolucyi francuzkiej.** Ark. 4—9. (Dodatek do „Prawdy". Kwartał IV—1889 r.)
8. *Herbert Spencer.* **Instytucye obrzędowe** stanowiące część IV Zasad Socyologii. Z drugiego wydania oryginału przełożył *J. K. Potocki*. Warszawa, 1890, 8-o, zesz. I, str. 96, (wydawnictwo redakcyi „Głosu").
9. **Życie i listy Karola Darwina** przełożył *Józef Nusbaum*, zesz. III, str. 145—192, (premium bezpłatne „Przeglądu tygodniowego").
10. **Rządy pana Gliksona** w teatrze krakowskim. Napisał *J. H. Błeszyński*. Kraków, skład gł. w księg. G. Gebethnera i S-ki w Krakowie, 8-o, str. IV i 60.
11. **Prace matematyczno-fizyczne**, wydawane w Warszawie przez *S. Dicksteina*, *Wł. Gosiewskiego*, *Edw.* i *Wł. Natansonów*. Tom II, zesz. I, Warszawa, skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 244 i tablica.
12. *Henryk Sienkiewicz.* **Ta trzecia.** (Sachem. Sielanka. Walka byków. Z puszczy białowiezkiej. Wycieczka do Aten). Wydanie drugie. Kraków, 1890, 8-o, str. 262.
13. **O dwiżenii wody**, kierosina i nefti w trubach. Rasczet kierosino- i neftieprowodów. Izsliedowanie *Genricha Merczinga*. Petersburg, 1890, 8-o, str. 24 i tablica.
14. **Wisła.** Miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom III, 1889. Warszawa, skład głów. w księg. Arcta. Zesz. IV, (str. 717—986) z rycinami.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

Дозволено Цензурою. — Варшава 7 Февраля 1890 г.

